



Agnieszka
Jeż

Paulina
Płatkowska

Szcześci@ry

Baśnie zawsze
kończą się ślubem.

A co księżniczki
i książęta robią
potem?...

Opowieść o tym,
jak nie puścić szczęścia,
gdy już się je złapie.



Agnieszka
Jeż

Paulina
Płatkowska

Szcześci@ry



*Szczęście to jedyna rzecz,
która się mnoży, jeśli się ją dzieli.*

Albert Schweitzer

Zanim zapytacie:
wszystkie postaci występujące w książce
– nawet pierwszoplanowe – są zmyślane.

*

W dzieciństwie Magda praktykowała taką zabawę: zamyka oczy, nieruchomieje, otwiera – i wie o swoim życiu tylko tyle, ile zobaczy, nie ruszając głową – wycinek rzeczywistości bez żadnego rozglądania się i dociekania. W tej zabawie lubiła sobie wyobrażać, że jest młodsza niż w rzeczywistości i ma wgląd w przyszłość.

Gdyby rok przed ósmymi urodzinami zobaczyła własne kolana, a na nich szarego, puszystego kotka, czy uwierzyłaby, że to się stanie? Że w przededniu urodzin znajdzie na klatce schodowej małego uciekiniera z piwnic, że mama i tata zgodzą się go zatrzymać, że będzie z nią spał w łóżku, zwinięty w rozkoszne mrużące kółeczko, ku zazdrości Joanny? Ona sama zaś będzie biegła do pobliskich piaskownic, a zimą do pryzm piachu do posypywania chodników, by podbierać z nich piasek do kuwety, bo w tamtych czasach o lawendowym żwirku silikonowym nikt jeszcze nie słyszał?...

Co da się wywnioskować, widząc swoje palce u stóp, obmywane falą z cieniutkim brzeżkiem piany, na granicy między piaskiem suchym i mokrym, z kawałkami morszczyku, dwiema muszelkami i kamykiem na skraju pola widzenia? Że tacie udało się załatwić kwatery, o które było w maju z mamą tyle krzyku, bo znowu się zrobiło za późno na szukanie – i jednak pojechali nad morze!

Czy w maju mogła być pewna, że to się ziści? Nie mogła. Ale gdyby wtedy wolno jej było wejrzeć w tę odrobinę przyszłości, ten skraweczek, który widzi teraz bez poruszania się, i wiedzieć, że to się zdarzy za dwa miesiące – już wtedy byłaby szczęśliwa i czekałaby radośnie, a nie niespokojnie.

Czy to duża różnica – czekać radośnie albo niespokojnie?

Dla Magdy tak. Radosne czekanie, czekanie na pewnik jest jak delektowanie się ciastkiem, które już przed tobą leży na babcinym talerzyku ze złożonym brzeżkiem. Oto jest: kształtna, złocista magdalenka; jedna z tych, które babcia piecze tylko dla niej – ale ona może ją dostać dopiero po zjedzeniu obiadu.

Jedz, Magdusiu, jedz.

Oto cały paradoks dzieciństwa: kiedy ma się wielką, przemożną, straszliwą ochotę na słodycz, a rodzice (albo babcia) mówią: „Dostaniesz, gdy zjesz ładnie cały obiad”. Tylko jak zmieścić upragnione ciastko, gdy brzuch ma się pełen zupy, kartofli, surówki, kotleta i kompotu?... I jeszcze – jak przebrnąć przez to wszystko, skoro na języku chce się poczuć nie kosteczki marchwi z jarzynowej, nie mielonego z jakimiś niepokojącymi grudkami, nie wymiękłe truskawki z kompotu, tylko cholerne ciastko?!

Dorosłość jawiła się przeto Magdzie jednoznacznie: będzie to czas, kiedy sama zdecyduje, kiedy jeść słodycze. Nie po obiedzie. Nie na podwieczorek. Niezależnie od posiłku! Przed! Albo i zamiast!

Trzeba przyznać, że w dorosłości Magda pozostała wierna upodobaniom z dzieciństwa. Nie lubi czekać. Lubi słodycze – jadać, piec, wachać, nie czekać z nimi do deseru.

Bawi się też w swoją zabawę.

Choć przestrzega narzuconych samej sobie reguł – tylko jedno spojrzenie, bez kręcenia głową – tym razem widzi całkiem sporo. Słońce wpada w jej kadr gdzieś z boku i kładzie się ukośnymi pasmami przez miłe oku wnętrze. Przebiega przez sosnową szafkę nocną, rozświetlając słoje drewna do wesołych żółcieni, dalej kładzie się na kołdrze – rustykalnej, w uroczą krataczkę. Spod przymrużonych powiek Magda widzi jeszcze ramię – jednoznacznie męskie, w sam raz owłosione, opalone i nawet nieco muskularne, obejmujące jej własne, apetycznie pulchne, z niepodrabialną konstelacją pieprzyków. Promyk wędruje dalej – i na drugim planie, za splecionymi ramionami, napotyka wystające spod kołdry dwa długie szaro-różowe zajęcze uszy. U nasady pluszowej głowy ściska je dziecięca łapka. Dalej zaś, w ciemnym jeszcze tle, czeka na słońce ciemnożółta staromodna kanapa.

*

Dzieciństwo Jagody... Nie, wróć. Dzieciństwo? Jagoda po chwili zastanowienia dochodzi do wniosku, że ten etap jej życia musiał być niezwykle krótki i z tego powodu go nie pamięta bądź nie było go wcale – Jagoda od razu weszła w fazę dorosłości. Jeśli przyjąć, że dorosłość to rozsądne zarządzanie pragnieniami, ustawianie sobie celów i granic, branie odpowiedzialności za siebie i cały świat, to Jagoda od narodzin była mentalnie pełnoletnia.

Wraca do niej wspomnienie z bardzo odległej przeszłości: stoi w drewnianym łóżeczku, przytrzymując się szczebelków. Kurczowo zaciska na nich piąstki i wspina się na palce, by podnieść brodę ponad górną barierkę. Dzięki temu lepiej widzi wielkie pudło oparte o regał z książkami. Dnieje; pierwsze niemrawe promienie słoneczne przebijają się przez niedokładnie zasuniętą aksamitną kotarę. Delikatnie rozjaśniają mrok salonu, w którym oprócz wspomnianego łóżeczka Jagody i rzędów półek stoi tapczan rodziców. Teraz rozłożony i zajęty przez mamę i tatę, przykrytych puchową kołdrą obleczonej w jasnobrązową poszwę. Taty nie było przez jakiś czas; wrócił w nocy, gdy Jagoda już spała. Wraz z nim w mieszkaniu pojawiło się TO. Zielone solidne pudło, z jedną ze ścianek pokrytą przezroczystą folią, która zdradza jego zawartość: lalka. Wziąwszy pod uwagę wielkość, to lala właściwie. Jest prawie tak duża jak Jagoda. Ma gęste jasne loki, które swobodnie opadają na ramiona. Ubrana jest w obłędnie piękną (gust Jagody wyszlachetniał później) błękitną suknię, sownicie ozdobioną koronkami w kolorze złota. Na szyi ma sznur różnokolorowych koralików. Ziszczenie marzenia (jednego z nielicznych) Jagody jest prawie na wyciągnięcie ręki. Żeby się dopełniło, Jagoda powinna zostać wyjęta z łóżeczka przez mamę lub tatę. Ta czynność jednak musi być poprzedzona obudzeniem ich, na co Jagodzie nie starcza odwagi. Ot tak, dla kaprysu, zerwać rodziców ze snu? Nie, to być nie może. Jagoda stoi więc uciepiona prętów oddzielających ją od wymarzonego życia, z czasem zaczyna cichutko pochlipywać ze smutku i frustracji, aż zasypia. Na stojąco.

Teraz Jagoda też śpi. W pozycji bardziej komfortowej, choć jeszcze dalekiej od standardu – na siedząco. Przycupnęła na brzegu łóżka Jeremka, którego obudziły „straszne głosy”. W nowym domu – jej i Jerzego – przedmioty żyją własnym życiem. Delikatnie trzeszczą drewniane klepki na podłodze, stukają więźby dachowe, szumi w kominie, syczy w piecu, gałęzie wybijałych drzew pukają do okien. Jeremi powoli przywyka do towarzystwa odgłosów, więc Jagoda często się wspina po wąskich schodach na pięterko, by potrzymać syna za rękę i odgonić strach. Potem, zdrętwiała i zmarznięta, ostrożnie schodzi i wraca do sypialni. Nie zaprasza Jeremiego do przedmałżeńskiego łóżka, bo byłoby im niewygodnie: Jeremi, Jerzy, Jagoda i jej wielki brzuch z małą Hanią w środku to zbyt liczne towarzystwo na jeden materac.

Od: malina_m@malibox.pl
Do: jaga.jablon@gmail.com
Data: 9.01.2016
Temat: Szczęście

Kochana Jagodo!

Dziś rano obudziłam się z przemożnym uczuciem szczęścia.

Byłam wyspana – minęły już czasy nocnych karmień małej Irenki, minęły koszmary moich bezsennych nocy. Byłam przyjemnie syta – niestety najlepiej śpi mi się po sutej kolacji. Byłam przytulona i ogrzana. Niewiele nocy spędziłam do tej pory ze Stasiem, acz wydaje się, że śpi on bardzo statycznie i jak już raz zaśnie, trzymając mnie w objęciach, to nie wyswobodzę się i do rana. Do kompletu pozwoliliśmy Irencie spać z nami – miałam więc na oku dwie najbliższe mi osoby (jedną wraz z pluszowym Kickiem, niech stracę). Przez uchylone okno wpadało mocne zimowe słońce. Do tego widok jak z lukrowanej laurki: białe czapy na drzewach, biała uliczka, biały płot (w rzeczywistości jest czarny – już myślę w skrytości, by wiosną go pomalować na jakiś wesoły kolor. Czemu ukrywać, że mieszkają za nim szczęśliwi ludzie?).

Skąd taka scenka? Otóż stąd, że wczoraj wieczorem zorganizowaliśmy sobie u Stasia... powtórkę z sylwestra, którego nie było. Jak to rozumieć? Ano tak, że grafik dyżurów w domu dziecka jest układany ze sporym wyprzedzeniem i Staś, jako stary kawaler, zwyczajowo spędzał noc sylwestrową w pracy. Nie inaczej było i w tym roku. Niezmacona pogoda ducha podszeptała mu wszak wcale niezły pomysł, by urządzić nam prywatne obchody sylwestra tydzień po fakcie; nawet tydzień z górką. Sama rozumiesz, że dla mnie, chodzącej grzecznie do nowej pracy, znacznie lepsza do takich celów była noc z piątku na sobotę aniżeli z czwartku na piątek.

Sylwester był kapitalny. Ugotowaliśmy razem dużo dobrego jedzenia, puszczaliśmy muzykę z niezmordowanych 80'ties, wyśpiewując refreny i co rusz tłumacząc Irencie, dlaczego „ten kawałek też jest świetny!”. Tańczyliśmy razem luzem, w parach, w kółku, wężu, obłapianego (gdy Irysek szedł siku) – i tak w swojskiej atmosferze wytrwaliśmy do samej północy.

Z petardami się nie wygłupialiśmy w trosce o to, by sąsiedzi nie posądzili Staszka o powariowanie, ale zapaliliśmy zimne ognie i wypiliśmy dziecięcego szampana. (Ukłon w stronę Irenki. Niewymuszony, bo ja za tym dla dorosłych nie przepadam, a Stach zadeklarował, że jest mu doskonale obojętne, czy powitamy nowy rok z ośmiiodniowym opóźnieniem alkoholem z bąbelkami czy musującym sokiem truskawkowym).

Spałam tak więc do rana w charakterze kremu w markizie między narzeczonym a córką, nieco, trzeba przyznać, przez nich zgnieciona – i czułam się niemożliwie szczęśliwa. Do tego mam poczucie, że jest to szczęście na dobre, sycące i stałe szczęście jak rzetelnie spleciona, wyrosła i wypieczona chałka drożdżowa z uczciwą, szczodłą kruszonką. Żadna tam efemeryda, zwiewność, ulotność, nie przymierzając, dietetycznego chleba chrupkiego o strukturze tapety.

W końcu łazienkowa potrzeba nakazała mi się wyplątać ze słodyczy mej miłosnej markizy. W czasie tej krótkiej nieobecności moje miejsce w łóżku jakby zarosło i uprzytomniłam sobie, że bez budzenia ich nie zdołam się wśliznąć z powrotem. Bogiem a prawdą byłam zresztą tak odrętwiała od przespania całej nocy w jednej pozycji, że z ulgą zesłam na dół na kawę.

Wiesz? Takie „na dół”, sugerujące, że jest i jakieś piéterko, a więc cały dom, strasznie mnie, oficjalnie jeszcze blokera, rajcuje. Dom! Z dołem, poddaszem i ogródkiem! Z córką, mężem i psem! Z przyjaciółką w sąsiedniej dzielnicy! Czy to będzie rok ziszczonych marzeń?...

Przyjaciółka, właśnie. Zaparzyłam sobie zatem tę kawę i przyszłam do saloniku, by do Ciebie napisać.

Wciąż mnie bawi, że jeszcze tak niedawno, jesienią, miałam wrażenie, że nasz kontakt mejlowy

ustanie. Przecież dzięki Twoim pomysłowym intrygom miałyśmy pracować w jednej firmie, widywać się co dzień, mijać na korytarzach, pijać kawę na stojąco przy najlepszym ekspresie w kuchni grafików!

Ale niech będzie: dobro Twojej ciąży ma wszelkie pierwszeństwo. A tym zeszlotygodniowym płamieniem napędziłaś wszystkim nam niezłego strachu! Dlatego nie wyrzucaj sobie, że posłuchałaś lekarza. W tym przypadku zwolnienie to nie pobłażliwość, korzystanie z okazji do łatwego L4. Odpoczywaj – i przestań bezustannie tak wszystko ogarniać! Odpuść sobie, co tylko można, zajmij czasem po prostu wygodną pozycję, pólleżąc – i pisz do mnie, pisz!

Wracając jeszcze do tego niespodziewania się, że znów będziemy do siebie pisać, wiesz, lubię wyprawiać się myślami do charakterystycznych punktów w przeszłości i rozważać: czy uwierzyłabym wówczas, że to się potoczy tak a tak? Co bym przeżyła inaczej, gdyby wtedy dane mi było wejrzeć w przyszłość – jak sprawy się potasują, by w końcu ułożyć zupełnie nowy ład? Czy przypuściłabym, że już wkrótce będę się szykować do powtórnego ślubu i przeprowadzki do maleńkiego domku męża?

À propos ślubów: robimy zakłady, która wyjdzie za mąż jako pierwsza?

Dobra, dobra, już nie drażnię ciężarnej. Nie dąsaj się, wiem, że działacie pod znacznie większą presją niż my. Po prostu to, że niemal równocześnie szykujemy się do powtórných naszych ślubów, jest tak niewiarygodne – TAK niewiarygodne – że tylko życie mogło się tak ułożyć. Żadna literatura by tego nie uniosła, bo czytelnicy zachnęliby się, że to za słodkie na prawdę.

Tymczasem natomiast kończy mi się kawa. Dopijam więc i idę gotować kakao – moi balowicze pewno lada moment wstaną.

Pozdrawiam Cię, Kochana, z wyżyn swej sielanki

Malina

Od: jaga.jablon@gmail.com

Do: malina_m@malibox.pl

Data: 10.01.2016

Temat: Harmonogram ślubów

Kochana Malino!

Nowy rok zawsze mnie przymusza do oglądania się wstecz, wpatrywania w przeszłość i planowania przyszłości. A co dopiero ten rok, który jest w zwielokrotniony sposób nowy?

Do tej pory wszystko toczyło się siłą rozpędu, nakręcanego adrenaliną, zakochaniem, emocjami rozsadzającymi serce i głowę – amok zupełny. Jak przez mgłę wspominam przeprowadzkę (raz jeszcze Ci dziękuję za pomoc – pakowanie dotychczasowego życia w kartonowe pudła, gdy co chwila biegasz do toalety wstrząsana wczesnościąowymi wymiotami, to nie jest łatwa sprawa), nieśmiałe, podszyte niedowierzaniem osvajanie się z nowym domem, szykowanie pokoików dla Matysi i Jeremka, pierwsze wspólne patchworkowe święta – rodzina model 2016!, żonglowanie dziećmi z jeszcze mężem. A do tego ukrywanie faktu, że z początkiem wiosny na świecie pojawi się Hania. Matysia wie o przyrodniej siostrze. Zdaje się, że wiedziona niezwykłym instynktem nie dzieli się z tatą tą nowiną. Na razie puchowy płaszcz skutecznie zakrywa niespodziankę, ale w sali sądowej wystąpię w subtelniejszym i lżejszym stroju. Dowód winy jak na dłoni! Podobno na skali stresu rozwód stoi tuż za śmiercią bliskiej osoby. Im bliżej do daty rozprawy, tym bardziej jestem skłonna dać mu pierwszą lokatę.

Jerzy bardzo by chciał obdarzyć mnie i Hanię swoim nazwiskiem, co oznacza alpejską wprost kombinację: rozwód na pierwszej rozprawie i znalezienie terminu na ślub (po uprawomocnieniu się wyroku oczywiście!) w ciągu trzech miesięcy. O takich drobiazgach jak sukienka niebędąca namiotem, buty na obcasach, gdy środek ciężkości nie wiadomo gdzie i nawet zwykłe trampki nie są już komfortowe, nie wspomnę. Dobrze, że przynajmniej sprawa świadkowej ustalona. Wybaczę Ci, że będziesz atrakcyjniejsza od panny młodej...

Siedzę nad kalendarzem, zastanawiając się, czy ten plan ma jakiegokolwiek szanse na powodzenie. 22 stycznia mam sprawę rozwodową. Tylko szalenie mógłby pomyśleć, że podczas jednego posiedzenia da radę zgodnie z opuszczanym małżonkiem podsumować kilkanaście lat wspólnego życia. Moja pani prawnik w przyszłym tygodniu spotka się z mecenas reprezentującą Piotra (wcześniej takie historie to tylko z amerykańskich filmów znałam), by porównać listy propozycji i żądań. Ciekawe, czy część wspólna będzie duża. Studzę bojowy zapał mojej prawniczki, podkreślając, że to, na czym mi najbardziej zależy, to opuszczenie sądu jako wolny człowiek. Patrzy na mnie jak na raroga, ale klientka nasza pani. Gdyby ten karkołomny plan się udał, to po trzech tygodniach, czyli w połowie lutego (trzydziesty szósty tydzień ciąży!) mogę brać ślub. Całe szczęście, że w USC nie ma nauk przedmażeńskich i wymogu odpowiednio długiego okresu narzeczeństwa. Mimo to znalezienie terminu będzie trudne, bo już przy składaniu papierów należy wykazać, że nie jest się bigamistą. Pomyślałam sobie nieśmiało, że może Staszek by poratował Twoją przyjaciółkę? Pamiętasz, jak opowiadał o swoim dobrym znajomym, który od czasu do czasu wspiera obecnością i prezentami jego dom dziecka? I że ten znajomy pracuje w archiwum USC? Na pewno ma odpowiednie kontakty w którymś z warszawskich urzędów. Zapytałabyś?...

A Wy kiedy? Wiem, że jesteście ze sobą zaledwie kilka miesięcy, ale w moim stanie ciała i ducha dziwię się każdemu, kto mógłby się z kimś wymienić obrączką, a tego nie robi. A może podwójny ślub? Motywacja Staszka do szukania terminu i miejsca byłaby większa... Zrozumiem jednak, gdy powiesz, że są bardziej romantyczne daty na wychodzenie za mąż niż luty.

Tak, życie dba o to, by nasza korespondencja kwitła. Nie wrócę już do pracy. Zabrzmiało to jakoś ostatecznie, ale rzeczywistość jest właśnie taka – rok urlopu i jakieś zaległe dni na wypoczynek, co razem daje perspektywę zawodowego niebytu do połowy 2017 roku.

Zwolnienie obrotów najwyraźniej było mi potrzebne. Poleguję, odpoczywam, czytam. Trochę się martwię, że narobiłam Wam kłopotów tym przedterminowym zniknięciem. Szef, zdaje się, nie ma jeszcze pomysłu na zastępstwo?...

Słyszę ruch na podjeździe – Jerzy i moje szkodniki wracają z lasu. Jeremi tak długo wyczekiwał śniegu, że ta skromna biała kołderka, która od dwóch dni pokrywa ziemię, wprowadziła go w stan niemal euforyczny. Zażądał sanek, włożył kombinezon, rękawice i buty – wszystko bardzo nieprzemakalne – i poszli na długi spacer. Zwlekam się więc z fotela, by grzać pomidorówkę.

Mimo wszystko, Kochana Moja, mam mocne przekonanie, że to będzie dobry rok – początek nowego, wyczekiwanego życia. Od kiedy odważyłam się pozwolić sobie na marzenia i nawet zaczęłam je realizować, jestem spokojniejsza – może to zadziwienie własną śmiałością, a może poczucie sprawczości? Tak czy owak lubię to nowe uczucie.

Całuję niedzielnie

Twoja J.

Od: malina_m@malibox.pl

Do: jaga.jablon@gmail.com

Data: 13.01.2016

Temat: Nie suknia zdobi człowieka.

Znajdź mi kobietę, która naprawdę tak myśli!

Jagodo!

Umysł kobiety, co przyznaję z samokrytycyzmem, wbrew temu, co lubimy o sobie sądzić (frapujące skomplikowanie, podzielność uwagi i wielofunkcyjność itd.) – jest jednak prymitywny. Oto przeczytałam Twój mejl, pełen przecież rewelacji – o patchworkowych świętach, dacie rozwodu, dacie urodzin Hani – tymczasem mój durny mózg przyjął je wszystkie spokojnie, by wobec jednej tylko sensacji zapulsować

alarmująco czerwonym światłem: będę świadkiem! Muszę kupić sukienkę!!!

No czyż nie prymityw? Sama powiedz. Powinnaś się wzruszać, zadziwiać, frasować, przeżywać wszystko siostrzanie wraz z Tobą – tymczasem moja uwaga zawisa (wstyd!) na głupim ciuchu.

Na swą obronę powiem, że może to efekt kumulacji, jaka mi się przydarza bodaj pierwszy raz w życiu: oto w bardzo nieodległym czasie – może w ciągu paru tygodni – wystąpię jako świadek ślubu i... główna bohaterka tegoż. Muszę więc wybrać nie jeden, a dwa stroje. Już jedno takie wyzwanie wydawało się bycze, a co dopiero dwa...

Prawdziwa szkoda, że z racji ciężowego polegiwania nie możesz mi towarzyszyć w zakupowych wypadach jak przy pamiętnym kompletowaniu ubrań na wyjazd do Paryża. Tak świetnie się wtedy spisałaś...

Swoją drogą, ze zdumieniem stwierdzam, że ów czas, obiektywnie przecież nie tak odległy (nie minął nawet rok!), wydaje mi się zamierzchły i tak przydymiony... Zaiste, jak u Sojki: „niepamięci cud”. Wieko mojej relacji z Wiktorem zatrasnęło się definitywnie (tworząc istną puszkę Pandory!). Tylko ubrania zostały. Tak trafnie je doradziłaś, że z przyjemnością je noszę do dziś. Fachura z Ciebie! Może, dla odmiany, po powrocie z macierzyńskiego zajmiesz się rubryką mody?

Nasza data ślubu już zaklepana: dwudziesty siódmy marca, Wielkanoc. Nie może to być luty, bo w lutym Wielki Post. Takie rzeczy to tylko w świeckim USC.

Kiedy możemy przyjechać wręczyć Wam oficjalne zaproszenia?

Jedna tylko rzecz mnie zasmuca. Rola świadkowej należy Ci się jak nikomu innemu, ale w moim życiu tyle się ostatnio wydarzyło niespodziewanych zwrotów akcji, że mam prawo się bać, że i mojego ślubu лихо może nie ominąć. Co by było, gdyby świadkowa zaczęła rodzić dwie godziny przed ceremonią? Jak wtedy odkręca się takie formalności? Ma się świadka rezerwowego? Ślub zostaje odwołany? Prosi się siostrę, żeby była w odwodzie? Nie, nie, nie kuśmy losu. Nie gniewaj się, ale o świadkowanie poproszę Joannę. Nie czujesz entuzjazmu – i słusznie nie czujesz. Ale innej przyjaciółki tak bliskiej jak Ty nie mam.

Może to zresztą trochę ociepli moje stosunki z Joanną, kto wie?...

Znajomy archiwista z USC to Alfred. Stach porozumiał się z nim, ale nie jestem pewna, czy Alfred pomoże... Jest życzliwy, i owszem, powiada też, że jak by co – najlepszy kontakt ma z kierowniczką urzędu ursynowskiego, działa jednak (imć Alfred, nie kierowniczka, o której nic nie wiem) w tempie archiwisty właśnie. Nawet wysławia się z namysłem – nie wiem więc, czy sprostą Waszemu pośpiechowi.

A! Odnośnie do urzędowego narzeczeństwa – tu niespodzianka. On mówi, że wobec urzędu jest jednak formalny wymóg czasu trwania narzeczeństwa, czyli okresu od złożenia papierów do zawarcia związku. I jest to jeden miesiąc i jeden dzień. Nie, nie żartuję. Sprawdź sobie.

Poza tym wypoczywaj. Oszczędzaj się. Nie forsuj i niczym nie martw. A jeśli opracujesz wygodną pozycję do pisania mejli na leżąco, to pisz do mnie dużo.

Całuję!

Malina

Od: jaga.jablon@gmail.com

Do: malina_m@malibox.pl

Data: 14.01.2016

Temat: Natłok

Malinko,

widzę, że praca w redakcji kobiecego pisma wydobywa z Ciebie cechy, które wcześniej głęboko skrywałaś. Może nie pod habitem, jak Twoje koleżanki z poprzedniej pracy, ale także dość skutecznie. Ja

zaś w modowym odwróceniu; raz, że rzadko ostatnio bywam, dwa – mnogość spraw do ułożenia skutecznie zapycha mi głowę. Sukienka, nawet ślubna, jakoś mi nie spędza snu z powiek. Może dlatego, że we wszystkim będę wyglądać podobnie: macierzyństwo, nie kobiecość, wysunie się na pierwszy plan. Poza tym ślub cywilny chyba nie budzi aż takich emocji jak kościelny?... Nie jestem reprezentatywna – mój sakramentalny też nie sprawił, że wzorem wielu par dostałam rocznego (lub dłuższego!) szmyrgła, zadręczając siebie i otoczenie dobieraniem koloru serwetek do kwiatu w butonierce pana młodego. Ty też odstajesz od średniej – drugi kościelny ożenek to początek rutyny, prawda?... Żarcik. Choć przyznam Ci się, że to unieważnianie sakramentu ślubu to dla mnie trochę jak historia: „paliłem, ale się nie zaciągałem”. Grunt, że jesteście zadowoleni. Ty i Pan Bóg. I Staszek też.

Zmartwiłaś mnie tym narzeczeństwem cywilnym. Wymagania nie są rozbuchane, a i tak nie możemy im sprostać. Liczę na jakiś bonus z racji gigantycznego brzucha. Jeśli panna młoda ma za chwilę wylądować na porodówce, to można założyć, że od kilku dobrych miesięcy coś ją z panem młodym łączy.

Denerwuję się – to moja aktywność z ostatnich dni. Nic z klimatów tradycyjnej przyszłej panny młodej. Odliczam czas do trzydziestego szóstego tygodnia ciąży (bo wtedy już przedwczesny poród niestraszny), do sprawy w sądzie, do ślubu. Gonitwa myśli intensywna jak kopnięcia Hani w żebro.

Pisanie nie idzie mi teraz składnie, dlatego przepraszam za brak odpowiedzi na listy czytelniczek. Nadrobię, naprawdę. Za chwilę.

Ścisk

J.

Od: malina_m@malibox.pl

Do: jaga.jablon@gmail.com

Data: 18.01.2016

Temat: Re: Natłok

Moja J.!

Już dawno nie czułam się tak zajęta. Zajęte mam przede wszystkim myśli. Robię jedno, a myślę o tuzinie innych spraw – co sprawia, że zastygam w głębokim namyśle – a wokół mnie a to kipi mleko, a to nie solę kartofli, a to wracam do domu z połową zakupów z listy lub też, jak ostatnio, w ogóle zapominam wziąć listę z domu. Gdy się opamiętuję, że znów coś przeoczyłam – poganiam samą siebie i staram się wszystko nadrobić. Jak to więc wygląda? Proszę bardzo – na przykład sprzątanie mieszkania: zauważam kurz. (Cud, że w ogóle coś zauważam!). Idę do kuchni po ściereczkę. Po drodze zbieram naczynia pozostawione tu i tam. Doszedłszy do celu, spostrzegam, że kwiatek ma sucho, aż przywiądnął. Rzucam wszystko, by go napoić. W ten sposób tłukę kubek, a o ściereczce w ogóle zapominam, nie mówiąc już o tym, co miałam nią ścierać.

Albo: pracuję tak machinalnie, że wciąż czegoś szukam. W komputerze szukam, gdzie zapisałam porcję przepisów na domowe lody i koktajle (numery: czerwcowy i lipcowy), w domu tropię, gdzie zachomikowałam dopiero co kupiony diadem i blond perukę (akcesoria Elzy na przedszkolny bal, sukienkę szyje babcia).

Czym mam tak zajęta moją biedną głowę? Otóż układaniem w myślach najbliższych tygodni. Twój ślub, mój ślub. Obrączki! Kreacje – już wiesz, że mi spędzają sen z powiek. Staszek się niecierpliwi, że już pora kupować garnitur. Ja nie wiem, jaka będzie sukienka, więc jeszcze go trochę stopuję – a czas leci, topnieje bez ustanku. A jeszcze zaproszenia (wydatnie pomógł mi ten miły grafik Krzyś), zdjęcia, potrawy, muzyka. Wesele – to zresztą za duże słowo na nasz planowany skromny poczęstunek – żadna pompa. Ale czymś trzeba jednak Was wszystkich podjąć. Usadzić. W tle włączyć miłą dla ucha, konsumpcji i konwersacji muzykę (mam specjalny folder różnych kompilacji pogodnych standardów jazzowych – powinny Ci się spodobać).

Pisałaś, że rozwód jest tak stresogenny. A zamążpójście to niby nie?! Choćby i drugie. Uch...

Jedynym, ale jakże ważnym wyjątkiem, pozostającym poza tą moją nerwówką, jest pan młody. Nie wiem, czemu kiedyś myślałam, że aby dobrze wyjść za mąż, trzeba się solidnie poznać. A to, w moim ówczesnym mniemaniu, dawał jedynie czas – liczony w latach „chodzenia”. Może z wiekiem ów czas bardziej się ceni, zaczyna do nas docierać, że jest go ograniczona liczba lat – i długotrwałe prowadzenie się z kandydatem celem utwierdzenia nie ma sensu? Tak jest w moim przypadku teraz. Znam Staśka mniej niż rok. I czuję do niego... hmm, pomyślmy. Kolejno: najpierw irytację. Potem zaintrygowanie. A gdy się do niego przekonałam, ominęłam chyba etap zauroczenia, przechodząc od razu do stabilnego, przekonanego kochania. Nie było całego tego zakochaniowego obłądzenia, tracenia głowy, targania emocjami. Może dlatego, że on nigdy nie był tajemniczy? Szedł do mnie z sercem na dłoni, nie kryjąc intencji. Co ciekawe, po przygodach z Wiktorem w przypadku Staszka wcale nie brakowało mi tych miłosnych podchodów. Przeciwnie, jest mi on konkretem i wytchnieniem, jak pozytywizm po romantyzmie.

Jestem też spokojna jedynie o część kościelną, czyli sam ślub. Zgodnie z tradycją odbędzie się w parafii panny młodej, czyli u naszych pasjonistów. Ojciec Przemek serdecznie mi pogratulował, że „ruszyłam z posad starego dziada Stacha”, a Daniel, kompletnie niezaskoczony, twierdził, że od początku wiedział, na co się zanoszą.

Kończę, Moja Droga, bo piszę do Ciebie, a myślami już jestem w czterech butikach ślubnych, do których jadę dzisiaj prosto po pracy. Strasznie mi łyso – ani przyjaciółki, ani świadkowej...

No nic. Poprzymierzam je, nastrzelam sobie slifoci i Ci wyślę, będziesz doradzać zdalnie.

Ścisk!

Malina Myślicielka

PS

A wieczorek panieński Ci urządzić?

Kogo ewentualnie byś chciała zaprosić?

Od: jaga.jablon@gmail.com

Do: malina_m@malibox.pl

Data: 18.01.2016

Temat: Niemłode panny

Malinko,

ja już jakiś czas temu zaobserwowałam u siebie to, o czym piszesz – rozkojarzenie, zapominanie, gapiostwo. Po części wynika to z emocji, po części ze stresu, ale także – z wieku. Nie obruszaj się: zużywamy się; smutno pomyśleć, że na pierwszy front idzie głowa, z drugiej jednak strony ten aspekt ukryć łatwiej niż urodę naznaczoną czasem. Ja nawet nie tyle zapominam (choć to też), ile w przedziwny sposób przeinaczam, szczególnie to, co czytam. Choćby tak: zamiast napisu na bramie „zakaz parkowania” widzę: „zaraz wracam”. Na budynku szyld: „skup butelek”, a ja odczytuję: „spytaj papę”. I tak dalej... czy ja dobrze pamiętam, że Twoja mama i jej psiapsiółki leczą się jakimiś cud-ziołami mielonymi samodzielnie, które przepychają żyły, stymulują głowę, a przy okazji dbają o cerę?...

Pewnie mi się trochę poprawi, gdy już jasne będzie, jakie stanowisko rozwodowe zajmie Piotr, co ma się okazać jutro, ale ziołolecznictwo zawsze dobre.

Kochana jesteś, że pytasz o wieczorek, odważnie zakładając, że ślub się odbędzie. Ale chyba nie planuj. Nie wszystkie moje znajome już wiedzą, że nie jestem z Piotrem. Z częścią przyjaźniliśmy się krzyżowo: ja z nią, Piotr – z nim. Niezręcznie teraz, prawda? Jeszcze większy dylemat miałaby moja (nieliczna) rodzina. To prawomyślni katolicy. Nie, nie obrażam ich, po prostu nie każdy jest katolikiem wyzwolonym, jak Ty. Dla niektórych po wsze czasy pozostanę żoną Piotra. No, są jeszcze koleżanki

z pracy, lecz tu też mam wątpliwość. Bo tak szczerze: żyjecie sobie tam troszkę tym skandalikiem, o którym nie opowiadałam nikomu?... Nic tak ludzi nie nakręca jak tajemnica. Chyba nawet romans Troglodyty poszedł w odstawkę.

Więc wieczorek z Tobą. Może jakiś miły hotel ze spa (teraz mają dla ciężarnych pakiety, tak się porobiło!)? W pobliżu Warszawy. I szpitala położniczego.

Na wybieranie sukienki tobym kogoś wzięła na Twoim miejscu. Oni tam na pewno mają takie lustra, wnętrza i oświetlenie, że każda panna młoda wydaje się sobie ósmym cudem świata. A jaka jest prawda – wystarczy zrobić sobotnią rundkę po kościołach w miesiącach letnich z „r”.

Całus serdeczny

J.

Od: malina_m@malibox.pl

Do: jaga.jablon@gmail.com

Data: 19.01.2016

Temat: Audrey

Yago!!!

Mam, mam, mam!

Wiem, miałam Ci wysłać selfie, ale na miejscu tak się zakręciłam, tak mnie te ekspedientki obsiadły, ubierały, podpinały, obracały, że zupełnie wypadło mi to z głowy (jak wiele rzeczy ostatnio. Prócz włosów).

Opiszę Ci ją.

Po pierwsze jest czysto biała. Za Macieja wychodziłam w leciutkiej kości słoniowej, écru, tym razem zamarzyła mi się śnieżna biel. Jeśli, wzorem poprzednich lat, tegoroczna Wielkanoc także będzie śnieżna, to będę się spójnie prezentować.

Po drugie na jej widok doznałam przeszywającego olśnienia. A przeszywające olśnienie to najlepszy doradca!

Po trzecie wygląda jak żywcem wyjęta z lat pięćdziesiątych. Powiem więcej – jest niemal doskonałą repliką sukienki, w której Audrey Hepburn odbierała Oscara za *Rzymskie wakacje*.

Nie pamiętasz? No więc włącz wyobraźnię i słuchaj, jadę od góry: dekol w kształcie łezki. Dalej może dwucentymetrowe ramiączka, ręce gołe. Kibić ciasno opięta aż do talii. W talii wążutki paseczek – i wnet pod nim zaczyna się fantastyczne rozkloszowanie. Nie za szerokie, żadna tam beza – tylko takie w kształcie litery A, klasyka lat pięćdziesiątych. Wierzch z dość dużej kwiecistej koronki, pod tym atłas i pod spódnicą sztywna halka.

Bajeczna!...

Nie przymierzyłam wprawdzie, bo mierzenie w trzech poprzednich butikach zabrało mi tyle czasu, że nie zdążyłabym po Irenę – ale wiem już, że to jest TO.

Wpłaciłam malutką zaliczkę i w środę pójdę ją dokładnie pomierzyć, żeby w razie potrzeby krawcowe zdążyły mi ją dopasować.

Uff! Wielka ulga. Teraz pozostały mi już tylko sukienka do Ciebie, garnitur dla Staszka na obie okazje, strój dla Irenki oraz przekonanie jej, że nie może pójść na ślub mamy w stroju Elzy (tak – sukienka od babci znalazła u niej wielkie uznanie!), à propos Elzy znalezienie tej cholerne peruki i diademu...

Słuchaj, a co zrobić z włosami? Audrey miała do tej kiecki króciuteńkie, jej wążutka jak u ptaszka szyja tak ładnie wyglądała nad tym dekoltem... Może też sobie obciąć? Jak radzisz?

Całuję

Audrey Malinowska

PS 1

Zioła mamy i jej fanklubu: ostropest, wiesiołek, pestki dyni i siemię lniane. Mielisz wszystko i wsuwasz na sucho. Popijając, oczywiście, czym tam chcesz. Łyżeczkę dziennie. Do tego krzyżówki, po parę dziennie. I już masz pamięć jak brzytew.

PS 2

Katolik wyzwolony?... Że niby ja? Ależ ja właśnie wracam pokornie w szeregi sakramentalnych!

Od: jaga.jablon@gmail.com

Do: malina_m@malibox.pl

Data: 20.01.2016

Temat: Inna bajka

Malinko Moja!

Ty już wiesz, co będzie, gdy tak zaczynam, prawda? No wiesz, wiesz przecież. Będzie szczerą prawdą. Naga – w tym kontekście bardzo akuratne to sformułowanie. Kochanie, przecież Ty słowo talia znasz tylko ze słownika; z autopsji – w żadnym razie. To nie zarzut, tylko długoletnia obserwacja. No i co zrobisz z tym „wąziutkim paseczkiem podkreślającym talię”?... Chyba opaskę na włosy. Lub bransoletkę. Wiem, jak wyglądała Audrey. I model sukienki znam. I potrafię sobie wyobrazić, jak Ty będziesz się w niej prezentowała. No więc włączam wyobraźnię i jadę od góry: dekolt à la łezka to akurat najmniejsze zmartwienie; Twoje gęste, długie włosy się na nim rozsypią, więc kształt nie ma znaczenia. Gołe ramiona. Przy odrobinie szczęścia włosy zakryją także je. Jedziemy więc dalej, nie przejmując się tymi drobnymi defektami i niedopasowaniami. Materiał rozciągający się na szwach, mnący pod naporem fałdek; trudno będzie powiedzieć, gdzie się kończy talia, a zaczynają biodra. Beza z dolnej tiulowej części będzie drugą połówką tej górnej...

Malinko, to nie jest dobry wybór. Gdybyś mnie zapytała, poleciłabym Ci na przykład suknię Elizabeth Bennet z *Dumy i uprzedzenia*. Krótki rękaw, dopełniony rękawiczkami (końcówka marca może być zimowa, a wtedy takie rękawy à rebours – jak znalazł). Dekolt będący hołdem dla piersi – należy im się! Odcięcie tuż pod biustem, tam gdzie ewidentna różnica obwodu – materiał lejąco okryje Twoje ponętne ciało w rozkwicie, zamiast je brutalnie ścisnąć. Z bielą może być pewien problem – ta suknia wręcz domaga się pastelowej barwy: rozmyty róż, subtelna wanilia, zabieleny błękit. Ale skoro to drugi ślub (pewnych rzeczy nie da się wszakże unieważnić...), to może rezygnacja z nieskalanej barwy anielskiej wcale nie będzie taka od rzeczy?

Myśl, myśl, kochana. A może te moje uprzedzenia są na wyrost i akurat się okaże, że Hepburn może mieć różne oblicza?

Z brutalnej prozy życia: Piotr uznał, że skoro przekreśliłam naszą przyszłość i mącą terażniejszość, to on nie zostawi suchej nitki na przeszłości. Całą winę za rozwód mam wziąć na siebie. Dzieci chce połowicznie. Alimentów oczywiście nie będzie płacił. Z domu się nie wyprowadzi i spłacać mnie nie będzie – skoro i tak wszystko zostanie dla dzieci, bo on się już nigdy nie ożeni (katolik niereformowany).

I wiesz co? Zgadzam się. Wezmę winę na siebie, majątku teraz ruszać nie będę. To bardzo by wydłużyło proces, a ja chcę się rozwieść. Pani prawnik aż się zatrzęsała, ale klientka nasza pani.

Całuję

Ciężarna nierozwiedziona

Od: malina_m@malibox.pl

Do: jaga.jablon@gmail.com

Data: 20.01.2016

Temat: Potulnie

Jago... Z przykrością przyznaję, że masz rację. Sama widzisz, ile niedobrego się dzieje, gdy Cię przy mnie nie ma w takich chwilach. Nie wiem, co mnie wzięło, jakiś amok chyba, że w euforii kompletnie nie pomyślałam o... hm, delikatnie mówiąc, różnicach w figurze mojej i Audrey.

(Aż tak źle z tą moją talią?... Buu...).

Druzgocące potwierdzenie Twoich ostrzeżeń miało miejsce dziś, gdy pojechałam tam znowu, by ją przymierzyć.

Jakąż byłam optymistką!

Jak najkrócej opisać ten blamaż?

Otóż sukienka nie weszła. Ani góra, ani dołem, ani w ogóle nijak. W pasie ma sześćdziesiąt sześć centymetrów, gdy tymczasem mniej bliżej do dwóch Hepburn niż do jednej.

W biuście też masakra. I w ramionach. Właściwie tylko biodra miałyby się świetnie pod fałdami halki. Tyle że przez niedopasowanie reszty nie dane im było się tam dostać.

Kłops, Jago.

Kłops tym większy, że podupałam na duchu i żadna inna sukienka mi się nie podoba. Siedzę rozgoryczona, jem czekoladę i skubię skórki przy paznokciach. Kiedy ja tak przytyłam?... Po porodzie, po trzydziestce czy już dawno? Czemu nic mi nie mówiłaś?

Ech. Też mi się ślubów zachciało.

Przytulam płetwami

Wieloryb

PS

Co do Piotra – to jest jego widzenie świata. Jeśli – jeśli! – kiedykolwiek miałaś nań wpływ, to już go nie masz i pogódź się z tym. Inaczej niż Twoja prawniczka, a podobnie jak Ty myślę też, że dobrze robisz, zgadzając się na jego postulaty. To właśnie jest picie nawarzonego piwa. Wypij – niech Ci możliwie lekkostrawne będzie – straw i puść w niepamięć.

Od: jaga.jablon@gmail.com

Do: malina_m@malibox.pl

Data: 20.01.2016

Temat: Re:Potulnie

Malinko,

to nie jest kwestia przytycia – takiego oczywistego i dość prostackiego w swej otwartości: że siedzisz i jesz więcej, coraz więcej. To chyba niestety, bez względu na szlachetniejszy wymiar rozrastania się, sprawa wieku. I metabolizmu. No po prostu tak to działa. Niezauważalnie, pomalutku, 10 dekagramów tu, 10 tam, nowe zaokrągłonko, coś te dzinsy się skurczyły, bluzka się wrzyna pod pachą, też się materiał zbiegł czy co?...

Kompleksowo trzeba do sprawy podejść. Jeść mniej, ruszać się więcej. Doksztalcić się dietetycznie i działać. Na pewno znajdziesz jakiś plan naprawczy w naszych numerach archiwalnych. Możesz też prosić o pomoc Aldonę, naszą dietetyk na usługach konsultacyjnych. Od razu Cię ostrzegę – niech Cię nie deprymuje. Jest chuda z genów i najpewniej od urodzenia. Mogłaby pączki colą popijać, od czasu do czasu zagryźć smażonym bekonem, a i tak by się jej więcej nie zrobiło.

Mam też drugie rozwiązanie, choć już trochę późno: ciąża. Doskonale maskuje naddatek ciała. Jasne, potem trzeba się martwić, ale to zawsze rok taryfy ulgowej...

Zaczęłam 31. tydzień ciąży. Wiesz, że to moment, kiedy skóra Hani robi się coraz mniej pergaminowa, a to za sprawą tkanki tłuszczowej, która się rozwija? Tak, tu się zaczyna przeznaczenie, przed którym trudno uciec...

Byłam dziś u lekarza. Jako starsza matka (trzydzieści sześć lat!) mam bogatszy program badań. Prawie za każdym razem pan doktor robi rundkę głowicą usg po moim brzuchu, by zobaczyć, co tam u Hani. I jest okej. 46 centymetrów, 1600 gramów. To już jest konkret.

Ja także w dobrym stanie. Plamienia się nie powtarzają, oznak rychłego porodu nie widać. Pozycja horyzontalna służy nam obu, choć przymusowe wyhamowanie jest trudne. Matysia i Jeremi wykazują spore zrozumienie dla mojej zmniejszonej żywiołowości. Jerzy zaś bardzo się stara udzielać domowo i rodzinie.

W piątek sąd. Zaczynam rozumieć, dlaczego ludzie latami nie formalizują rozstań.

Całuję

J.

Od: malina_m@malibox.pl

Do: jaga.jablon@gmail.com

Data: 21.01.2016

Temat: Ukojenia szukaj w pracy

Jej!... Będzie Haneczka chudzińką czy przybierze w ostatnich tygodniach ciąży, jak myślisz? Jak to się ma do „norm”, bo już nie pamiętam?

Co do mnie i mej chudzińkowej sukienki, to chyba znalazłam rozwiązanie. Nie, nie dietetyczka Aldona: jednak się do niej nie zwrócę, źle znoszę widok chudych kobiet. Miast tego przywlekłam się dzisiaj do pracy cokolwiek zrezygnowana. Zaparzyłam kawę i siadłam markotnie do makiety numeru kwietniowego. Przeglądam, porządkuję, zaznaczam w naszej magicznej tabeli, kto jeszcze wisi ze swoją rubryką (swoją drogą, kiedy odpiszesz na listy czytelniczek, hę?). Wtem w połowie numeru natrafiam... na rewolucyjną wiosenną dietę dobraną indywidualnie do temperamentu. Zaczęłam czytać. I wiesz? To jest wybitna dieta!!! Czuję to. Czuję, że zadziała, bo znów doznałam przeszywającego olśnienia. Oto wyjście, którego mi trzeba! Na ślub i na nową drogę życia schudnę widowiskowo. Po prostu!

Jest tylko jeden szkopuł. Opisy temperamentów jeszcze do nas nie dotarły, więc nie wiem, którą wersję wziąć dla siebie. Powiedz mi, jakim ja jestem według Ciebie temperamentem? Na wszelki wypadek wydrukowałam wszystko, bo może się okazać, że jestem mieszanką?

Napisz mi szybko, bo chcę jeszcze dziś zakupić potrzebne produkty i nie wiem, czy pójść w zielone warzywa, jabłka z owsianką czy w chude białko.

Startuję od jutra rana. Albo nie – na przekór wszystkim nieudanym dietom – startuję dziś. Dziś wieczorem. W pracy zjem jeszcze obiad, który sobie przyniosłam, bo szkoda, by się zmarnował – a wieczorem już nic. Ani wina, ani orzechów, ani czekolady. Chyba że tak będzie w diecie.

Ściskam z werwą! I życzę Ci dużo animuszu jutro w sądzie. Depeszuj, esemesuj, zachowaj (możliwy) spokój.

Odmieniona

Od: jaga.jablon@gmail.com

Do: malina_m@malibox.pl

Data: 21.01.2016

Temat: Quiz

Ale mi dałaś zadanie! W sam raz na rozrywkę przed jutrzejszym sądem.

No dobrze, pomyślmy.

Powiedziałabym, że jesteś ostrożną eksperymentatorką. Masz temperament, któremu pozwalasz w kontrolowany sposób czasem pofikać. Romantyzm cały czas walczy z pragmatyzmem; wygrywa

częściej, ale pragmatyzm depcze mu po piętach. Nie lubisz nowości, z rutyny robisz tak miłą codzienność, że nie masz potrzeby, by ją zmieniać. Jesteś niezniechęconą optymistką, choć nie objawiasz tego w euforyczny sposób.

Pomogło?... Wybierzesz coś z tych magicznych superdiet dla siebie?

Uciekam sprzed monitora. Jutro w południe rozwiąże się mój los. Oby.

J.

PS

Na listy odpowiem na początku lutego, dobrze? Matyśka jedzie na ferie z Piotrem, Jeremi spędzi tydzień u dziadków. I wtedy nadrobię zaległości.

Od: malina_m@malibox.pl

Do: jaga.jablon@gmail.com

Data: 23.01.2016

Temat: Dieta cud

Droga Jagodo!

Nie dzwonisz, nie piszesz, nie esemesujesz. Telefon mi się rozładował od ciągłego sprawdzania, czy się nie odezwałaś. Powiedźże wreszcie, co w sądzie???

Co do mnie, mija drugi dzień mojego odchudzania. Miewam się wspaniale. Już teraz, po 50 godzinach po ostatnim tłustym pieczystym, które nieprędko się powtórzy, czuję się lekka jak mgiełka. Dlaczegoż nie wpadłam na ten pomysł wcześniej? Pewnie dlatego, że słuchając opowieści różnych kobiet, nabrałam przekonania, że dieta to mordęga, wyrzeczenia i wiecznie zły humor. Tymczasem u mnie nic podobnego. Najwyraźniej klucz do sukcesu to właściwa dieta i pozytywne nastawienie. Z Twoich rozważań na temat mego temperamentu wyszło mi, że jestem ESTETKĄ. Mam sobie przygotowywać lekkie koktajle z oszronionym brzeźkiem, małe a piękne porcyjki, tartinki z pełnoziarnistego chleba z łososiem i gałązką koperku, kanapeczki wielkości specjałów sushi, także jak i one urozmaicone i pracochłonne – tak by cała para szła w przygotowania, a nie w pochłanianie – „by było ci żal zmieść je zbyt szybko z talerza. Jedz powoli, przeżuвай, wachaj, rozkoszuj się – to odwróci twoją uwagę od wielkości porcji”. Dobrze, że lubię gotować, prawda?

Z nowinek poza dietą: na wieść o tym, że sukienka jest i że jest śnieżnobiała, Staszek kupił garnitur, buty, koszulę – wszystko jednego dnia, w jednym centrum handlowym, za jednym zamachem, dasz wiarę? ... Obawiałam się, że taki strój wcale nie będzie do niego pasować. Nigdy wcześniej nie widziałam go wystrojonego, chyba żeby jako wystrojenie policzyć mu te mniej wystrzępione dzinsy i mniej kraciaste koszule. Jednak się myliłam. Bardzo w tym wszystkim mu ładnie. Więcej: dopiero w dobrze dopasowanej marynarce widać, jakim jest zgrabnym, ładnie zbudowanym mężczyzną. Rozczuliłam się, wiesz?

I jeśli cokolwiek mi to rozczulenie psuło, to leciutki niepokój, że sukienki jednak nie ma. Mimo restrykcyjnego niejedzenia do talii 66 jeszcze mi daleko. Ekspedientki po telefonicznych konsultacjach z butikową krawcową przekazały mi, że fason można poszerzyć maksymalnie do siedemdziesięciu pięciu centymetrów. Podeszłam do sprawy metodycznie i przeliczyłam sobie, ile muszę zgubić tygodniowo, by zdążyć. A jeszcze biust mógłby mi się nieco uciszyć...

Słowem – mam cel, działałam.

Nowina nr 2 – rzutem na taśmę znalazłam diadem i blond włosie Elzy. Przedwczoraj, dwa dni przed balem. W składziku z doniczkami z balkonu; wraz z błękitnymi rajstopkami, o których nawet nie pamiętałam, że kupiłam.

Nowina nr 3 – plotka. Wystaw sobie, że w pracy już dwie osoby stanęły do walki podjazdowej o tymczasowe objęcie Twojego stanowiska! Obstawiasz kto? Obstawiaj, ale i odpisuj czytelniczkom.

Sprawa coraz bardziej paląca. Podobnie jak mój niepokój o Twój rozwód. Pisz natychmiast.

Malina Chudnąca

Od: jaga.jablon@gmail.com

Do: malina_m@malibox.pl

Data: 24.01.2016

Temat: Dygot

Malinko,

chyba się stało. Jestem już prawie wolna. Prawie, bo wyrok musi się uprawomocnić. Czyli teraz przede mną trzy tygodnie rozwodowego czyścica.

Było... okropnie. Do tego stopnia, że nie miałam siły, by do Ciebie dzwonić. Na nic nie miałam siły. Najpierw czekanie na korytarzu w towarzystwie pań prawniczek. Jak obcy sobie ludzie; na palcu Piotra wciąż tkwiła obrączka. Ja w luźnej narzutce, która jednak nie zdołała ukryć odmiennego stanu.

Sama rozprawa poszła zadziwiająco sprawnie. Prowadził ją młody sędzia; znał nasze stanowisko, bo wcześniej przedstawiły mu je zgodnie obie prawniczki. Odpytał nas jednak na okoliczność wspólnie spędzonych lat, pytał o przewiny i zastrzeżenia. Głos mi się łamał, musiałam się pilnować, by się nie rozsypać. Piotr – o dziwo – nie był napastliwy, nawet przyznał, że wie, iż nie jest pozbawiony wad. Po piętnastominutowej przerwie wróciliśmy na salę. Sędzia przyjął zapisy z porozumienia prawniczek. Jednak (i to było zdziwienie wszystkich w sali, pani Kinga powiedziała mi, że z takim komentarzem do wyroku jeszcze się nie spotkała) powiedział, że uznaje moją wyłączną winę tylko dlatego, że tak postanowiliśmy. Trudno mu jednak przyjąć, że w ten sposób wyglądała rzeczywistość, a życie pokazuje, że rozwód jest efektem zaniedbań, błędów obu stron. W jakiś przedziwny sposób mi to pomogło. Może po prostu ustrzegło mnie przed tym, by widzieć siebie jako potwora, nieudacznika i wielkiego winowajcę?...

Jerzy czekał na mnie przed sądem. Skinęłam tylko głową na znak, że to już. Nie miałam siły na rozmowę. Dopiero wczoraj opowiedziałam, jak to wyglądało. Jerzy poprosił: „To powiedz jeszcze tylko, że nie żałujesz”. Nie, nie żałuję, Malinko.

Wytrwałości Ci życzę. Dieta to trudna sztuka, ale motywację masz solidną.

Nie, chyba się nie domyślam... Podpowiadaj, kto się szykuje, choć trup jeszcze ciepły...

Ściskam

Wycieńczona

Od: malina_m@malibox.pl

Do: jaga.jablon@gmail.com

Data: 26.01.2016

Temat: Re: Dygot

Droga J.,

uff! To... gratuluję przeprawy i rozprawy...

Domyślam się, że skoro nie chcesz wieczorku panińskiego, to divorce party nie szykować tym bardziej?

Otóż faktycznie redakcje prasy kobiecej lubią plotkować. Plotkuje się i o Tobie – w tonach rozmaitych, acz raczej przyjaznych – wiesz, baby nie są świadome stopnia zażyłości, jaka nas łączy, więc wyrażają się przy mnie swobodnie. Po fali zdumienia zatem teraz dominuje coś w rodzaju podziwu, że się szarpnęłaś na tak dużą życiową zmianę. Jeśli mam być z Tobą szczerą, to irytację spowodowałaś (i powodujesz nadal – tak, tak) głównie rosnącą stertą listów od czytelniczek.

Co do dybania na Twe miejsce – podejrzewam, że Sylwia z Elwirą ostrzą sobie na nie zęby. I wiesz, co jest w tym najśmieszniejsze? To, że – jak mi się wydaje – wcale nie tak bardzo im na tym zależało, ale gdy jedna odkryła, że druga też ma na nie chrapkę – kompletnie się nawzajem nakręciły. Coś jak nasze kumoszki z parafii, co się wcale nie w przenośni wzięły za łby w walce o posadę gospodyni proboszcza. Pamiętasz? Pisałam Ci o tym przy okazji poznania Staszka. Kiedyż to było!... A zarazem od tamtej pory minęło ledwie parę miesięcy...

Także plotka o moim rychłym ślubie i związanym z nim odchudzaniu szybko rozniosła się po firmie. Jestem teraz „życzliwie” zaczepiana, „motywowana” i „wspierana”. Osoby, których bym nigdy nie posądziła o to, że w ogóle mnie kojarzą, naraz częstują mnie kremówkami (zawsze miło zepchnąć bliźniego, a zwłaszcza „bliźnią” z drogi ku figurze, prawda?), dopytują, czy to prawda z tym ślubem, domagają się opowieści, a co, a jak, a skąd. Z niezmaconym spokojem potwierdzam, skrótowo opowiadam, pozwalam się wygadać i pozachwycać, przyjmuję gratulacje, odmawiam poczęstunków.

Z niezmaconym spokojem... Tak było aż do dziś. Oto bowiem doktor Ewa, autorka diety żywiołów, dosłała dziś resztę swego artykułu (w egzaltacji nawet nie zauważyłam, że był niekompletny). I cóż. Stoi w nim jak wół, że aby dieta była efektywna, należy bezwzględnie włączyć do niej aktywność.

Minimum trzy razy w tygodniu po półgodzinie.

Natychmiast wyjęłam kalendarz i zaczęłam sprawdzać, kiedy mogę powtykać te aktywności. I zamyśliłam się, co to niby miałyby być.

Mogłabym chodzić na basen. Ale Irenka, która przepada za wodą, zaraz by chciała chodzić ze mną. A basen z dzieckiem to zabawa w brodziku, nie pływanie.

Mogłabym biegać. Ale mogłabym się przy tym nałykać zimnego powietrza, rozchorować się i umrzeć, nie wyszedłszy za mąż. Nie ryzykujemy.

Mogłabym pójść na jakąś formę aerobiku. Ale ćwiczeniom tego typu zawsze towarzyszy tak zła muzyka, jestem pewna, że byłabym rozdrażniona. A gdy jestem rozdrażniona, to jem. Nie kuśmy losu.

Można by też niby spróbować z siłownią. Ale siłownie mnie peszą. Dużo tam gibkich, jędrnych ciał i maszyn niczym narzędzia tortur. Nigdy nie wiem, co do czego służy, musiałabym kogoś pytać. To też mnie peszy. Samo słowo „trener” mnie peszy.

Wszystko to byłoby do zniesienia, gdybyś chodziła ze mną. Ale coś mi mówi, że masz teraz bardzo mocną wymówkę...

Ech. Co robić, Redakcjo?

Malina

Od: jaga.jablon@gmail.com

Do: malina_m@malibox.pl

Data: 27.01.2016

Temat: Do boju!

Malinko,

naprawdę Sylwia z Elwirą by chciały wskoczyć na moje miejsce?! No tego bym się nie spodziewała. Żmije podstępne! W korpo to jednak nie ma sentymentów – zejść w ciążę to jakby już cię pochowali.

Tak, tak. Jeść mniej, to raz. Ruszać się więcej, to dwa. Bo – jak na pewno pamiętasz – metabolizm zwalnia. A im on wolniejszy, tym Ty musisz być szybsza. Choć głodna. Odwieczny cykl kobiecego losu...

Rzeczywiście, argumenty przeciw masz mocne. Może poszukaj czegoś pośredniego? Na przykład zamiast biegać – chodź. Wsiądź trzy przystanki przed pracą. Lub przed domem. Szybkim marszowym krokiem dotrzyj do celu. Zamiast aerobiku wybierz zumbę. Muzyka też może nie trafić Ci w gust, ale będziesz tak zajęta pilnowaniem koordynacji i zastanawianiem się, czy nie wyglądasz idiotycznie,

niezbornie machając rękami i nogami, że nie będziesz zbyt zwracać na nią uwagi.

I wreszcie – możesz ćwiczyć w domu. Nabywasz karimatę, DVD z instruktażem i dajesz! Widziałam wpisy dziewczyn na fejsie, które chwaliły się spektakularnymi efektami po „wspólnym” ćwiczeniu z Chodakowską na przykład. Czy to prawda, a nie działanie piarowe – pojęcia nie mam. Ale inwestycja niezbyt drenująca kieszeń, spróbować warto. Trzeba tylko co dzień się motywować. Ustal może sama ze sobą hasło dopingujące „Audrey” i zagrzewaj się nim po każdej serii dziesięciu brzuszaków.

À propos brzuszaków – trzydziesty drugi tydzień się zaczął. Przeglądałam strony internetowe, dowiadując się, co tam u mojej Hanusi. Mózg się jej intensywnie rozwija i z zapalem ssie palce. Co u mnie, to czytać nie muszę: coraz częściej siku, coraz trudniej oddychać. Są i wskazówki, jak sobie poradzić z tak zmienioną rzeczywistością. Oto jedna z nich: „Cierpliwości. Finał już niedługo. Wykorzystaj ostatnie tygodnie ciąży na odpoczynek, zrób coś miłego dla siebie, na przykład spotkaj się z przyjaciółką”. Co Ty na to, Przyjaciółko?

Nim się jednak zobaczymy, muszę wystosować listę prośb:

Sumienie mnie dręczy, że moje biedne czytelniczki pozostają bez odpowiedzi. Jestem słowna, więc podczas ferii nadrobię opustki, ale może przez ten ostatni tydzień stycznia Ty byś zechciała mnie zastąpić? Wybierz listy w sprawach cielesnych (nadwaga, drugi podbródek, oponka) i duchowych (rosterki moralne) i siadaj do klawiatury. Dobra?

Punkt drugi to Alfred. Upatrzyłam sobie na termin ślubu dwudziesty lutego. Ni cholery nie zdobędę wymaganego stażu narzeczeńskiego. Weź sprawy w swoje ręce i zmotywuj kolegę Staszka. Wejź mu na ambicję lub omotaj urokiem osobistym – wszystko, byleby mój ślub się odbył.

Sprawa numer trzy zależy od powodzenia Twojej misji – po co mi się teraz głowić nad suknią, jeśli ślubu może nie być?...

Całuję

Jagoda bojowa

Od: malina_m@malibox.pl

Do: jaga.jablon@gmail.com

Data: 31.01.2016

Temat: Szykuj suknię, będzie ślub!

Jago z Hanną w brzuchu,

tak bardzo Ci do twarzy w stanie błogosławionym! Ładnie Ci w krągłościach, rumieńcach, pełnych piersiach. Nawet włosy masz jakby bardziej puszyste. Będzie mi bardzo miło zabrać taką przystojną ciężarną na całą dobę relaksu w konstancińskim spa „Memento vitae”! Już sama nazwa dodaje wigoru, prawda? On Ci się teraz bardzo przyda. Zarezerwowałam dla Ciebie pakiet „Będę mamą”, dla siebie – żeby nie jechać tak po próżnicy – innowacyjny, ultraskuteczny dzień rozmaitych zabiegów spalających tłuszcz. Ponoć ubywa po nim w pasie nawet cztery centymetry!

Gotuj się! W najbliższy piątek przyjeżdżam po Ciebie o 15.00 (Troglodyta dał mi pół dnia urlopu), a Jerzego uprzedź, że odstawię Cię w sobotę mniej więcej o tej samej porze.

Niech to będzie Twój swoisty wieczorek paniński.

Skoro będzie wieczorek, będzie i ślub! W piątek Alfred omówił sprawę z kierowniczką ursynowskiego USC. Równa babka, rozumiejąca. Podobno nie robiła żadnych problemów. „Proszę, żeby narzeczeni dostarczyli wszystkie dokumenty bezpośrednio do mnie. Do mnie – powiedziała mi z naciskiem. – To istotne, bo za podwładnych mam tu wyjątkowych służbistów” – dodała, a Alfred, relacjonując rzecz Staszce, mówił, że przysięgłby, że puszczała do niego oko.

Tymczasem u mnie... nienawidzę sportu. I wiem, co mówię – rozmawiasz z praktykiem.

Przeszłam na tę stronę mocy, bo... skończyły mi się wymówki. Oto w czwartek, jeszcze przed

naszym spotkaniem, zwierzyłam się ze swych udręk sąsiadce Karolinie; wiesz, tej singielce z łóżem w jaskółki. Karolina jest dusza człowiek i dobry organizator. Tego samego dnia wieczorem zadzwoniła do mnie, by powiedzieć, że po namyśle znalazła dla mnie rozwiązanie: oto w tak szczytnym celu jak moje schudnięcie na nową drogę życia chętnie zostanie z Irenką dwa razy w tygodniu na półtorej godziny (dojazd, sport, powrót), jeśli tylko zechcę jej się zrewanżować angielskimi konwersacjami. Ona chciałaby się podszkolić, nabyć nieco swobody w mowie, a „ty przecież mieszkałaś kiedyś w Londynie, *didn't you?*”...

Właśnie, kiedyś. Dziś wydaje mi się, jakby to było niebywale dawno. Angielski wszak pamiętam. W sobotę przed moim sportem poszliśmy zatem z Karoliną, Irenką i Carlosem na spacer, przyjmując założenie, że gadamy tylko mową wyspiarzy (Irenka gadała w tym czasie z Carlosem po dziecio-psiemu).

I wiesz? Fajnie to wyszło.

Czego nie można powiedzieć o późniejszym sporcie. Zdecydowałam się na trening na rowerach stacjonarnych, myśląc, że z wielu przykrych opcji ta będzie możliwie mało przykra: rower sam w sobie jest przyjemny, ćwiczenie w grupie jest mobilizujące.

Jeszcze teraz, gdy o tym piszę, zgrzytam zębami.

Po pierwsze zajęcia odbywały się przy hip-hopie.

Po drugie wzięłam na nie złe buty: delikatne, lekkie jak piórko adidasy na podeszwie, która właściwie pokrywa tylko piętę i podbicie, podczas gdy środek stopy dzieli od ziemi cienka warstwa białej skóry. Efekt: naoliwione jakimś smarem pedały trwale zabrudziły mi tę białą skórę brunatnymi tłustymi plamami.

Niesmak pozostał.

Po trzecie wszystko mnie boli. Lecz zamiast satysfakcji czuję tylko złość. W dodatku po początkowo zrzuconym pół kilo waga przestała się ruszać w ogóle. Ponoć przyrost mięśni ma wpływ na ciężar masy, ale czy po jednorazowych ćwiczeniach?... Nawet ja nie jestem taką fantastką.

Listy od czytelniczek posegregowałam, wybrałam dwa do odpowiedzi na łamach i dwanaście najdłużej czekających do odpisania bezpośrednio. Na te z rozterkami duchowymi odpowiadam dobrotliwie, krzepiąc własnym przykładem, dzieląc się swym szczęściem jak błogosławieństwem. Na te od za grubych nie mam na razie pomysłu – zakładam, że panie nie piszą do redakcji po to, by usłyszeć, że otyłość to przekleństwo, a dieta i sport to szatańskie wynalazki?...

No wiem, wiem. Coś wymyślę.

Tymczasem całuję – i pamiętaj o piątku!

Malina

Od: jaga.jablon@gmail.com

Do: malina_m@malibox.pl

Data: 1.02.2016

Temat: Zieleń za oknem

Moja Malino,

siedzę sama (Hani nie licząc) w pustym domu. Piotr zabrał Matysię na ferie (Mazury; śniegu i tak nie ma w całej Polsce, a tam przynajmniej luźno, przyjemny hotel z basenami i liczne animacje dla dzieci, no i cennik przystępniejszy niż w obleganych górach). Jeremi u dziadków, a Jerzy pojechał na dwudniowe spotkanie do Wrocławia.

Dziwnie mi w takim osamotnieniu. Podobno momenty wycieszenia pozwalają zajrzeć w głąb siebie. Zajrzałam i... osobliwe uczucie. Poczułam się jak w grze komputerowej – jeden cykl się kończy, odpalasz następny. Życie po życiu. Nie, to chyba nie są wyrzuty sumienia – to już przećwiczyłam: raz podjętej decyzji należy się trzymać, patrzeć w przyszłość, ciesząc się terażniejszością. Nie umiem Ci tego

wyjaśnić, chyba po prostu bycie w pojedynkę mi nie służy. Rozwiązania są dwa: odwiedź mnie w tym tygodniu, jeszcze przed naszą eskapadą. I prześlij listy od czytelniczek, którymi nie miałaś czasu się zająć – pochylę się nad nimi troskliwie.

Bardzo Ci jestem wdzięczna, że ja i Jerzy dwudziestego lutego o czternastej połączymy swe losy w ursynowskim USC. Piękna data: Światowy Dzień Sprawiedliwości Społecznej, tuż przed Międzynarodowym Dniem Języka Ojczystego. Nigdy nie byłam na ślubie cywilnym. Ten będzie pierwszy – i od razu mój. Rozmawiałam dziś z miłą panią Janiną – kierownik – przez telefon. Wyobrażam ją sobie: natapirowany włos upięty w kok-gniazdo, spódnica z grubej wełny podobnej do obicia tapicerskiego, paznokcie wypilowane w ostry migdał i pokryte różowym lakierem. Zrewiduję te wyobrażenia dwunastego lutego, kiedy się zobaczymy. Mam przywieźć uprawomocniony wyrok rozwodowy. Mam nadzieję, że już go dostanę. Przez tydzień będę wesołą, choć ciężarną rozwódką. Widać stan wolny nie jest mi pisany.

Przygotuj swoje dane, Świadkowo! Nie obgadałam tego jeszcze z Jerzym, ale impreza posturzędowa będzie skromna i domowa. Ty z przyległościami, Jerzy i jego świadek Robert z żoną, córka Jerzego z mężem. I już. To najbliższa rodzina – jeśli ruszymy kolejny rząd krewnych, to będziemy musieli wynająć dużą salę...

Musimy jeszcze dopasować się stylistycznie. Dobrze, że Twój program odchudzania nie jest zbyt zaawansowany, bo czułabym się nieforemnie przy świadkowej, której ciało naznaczyły intensywne treningi. Marzy mi się zielona sukienka – widziałam bardzo ładną na Allegro. Taki trapez w stylu lat siedemdziesiątych; piękny butelkowy odcień. Zaraz zapytam sprzedającego o rozciągliwość materiału...

To co, kiedy się Ciebie spodziewać? Przygotuję dietetyczną zieleninę (dla Ciebie) i coś bardziej konkretnego dla mnie i Hani.

Całuję w trzydziestym trzecim tygodniu

J.

Od: malina_m@malibox.pl

Do: jaga.jablon@gmail.com

Data: 2.02.2016

Temat: Malinowe sporty zimowe

Samotnico!

Zazdroszczę Ci tego nienawyknięcia do samotności. Ja dość długo nie miałam innego wyjścia – musiałam się mierzyć z ciszą w domu, długimi wieczorami i zimnym łóżkiem. Na samo, nieodległe przecież, wspomnienie tego skóra mi cierpnie i jakoś wewnątrz sztywnieję. Ale basta! Zazdroszczę Ci i jedynie „wstecznie”, bo wszak i moją samotność udało się w końcu przegnać. Toteż bez zbędnych ceregieli wybawię Cię z Twojej – i przyjadę. Pokażesz mi w komputerze sukienkę, pomyślimy w co ubrać świadkową. Mogę być jutro lub w piątek – co wolisz?

Teraz zapytaj, dlaczego akurat w te dni – a ja Ci ochoczo odpowiem. Z detalami i przedwstępem, jak to ja.

Po czym poznać, czy mężczyzna Cię kocha? Kto jak kto, ale Ty zaraz profesjonalnie sypniesz z rękawa pięćdziesięcioma wskaźnikami, zawodowa babska pomagaczko. Niech koniecznie znajdzie się pośród nich coś, co nazwałabym wspierającym działaniem na rzecz dobrostanu ukochanej. (W tej roli w mojej opowieści, pozwolisz, wystąpię ja).

Mamy więc ukochaną, która w tajemnicy przed narzeczonym się odchudza. Tak, w tajemnicy. Odchudzanie się krępuje mnie, zawstydza i nie chcę się zeń opowiadać szczupłemu do granic Staszki. Dopóki nie wie, nie dopatruje się ani postępów, ani ich braku, nade wszystko zaś nie przygląda się, czy jest się z czego odchudzać. Wiesz, jak to idzie: dopóki nie wskażesz komuś tropu, nikt nie widzi, że masz

jedno biodro ociupinę wyżej od drugiego, lewa brew zaczyna się bliżej nosa niż prawa, a brzuch, gdy zapomnisz go wciągnąć, układa się w sporą fałdę. Jeszcze by mi tego brakowało, by Stach zaczął się przyglądać i uznać, że jest coś na rzeczy! Na ten temat w głowie mi pobrzmiwa dobrze wpojone porzekadło mamy: przed facetem nigdy nie pokazuj całej... No jak to teraz ująć, by mama nie wypadła z roli damy?... Powiedzmy, całej nagiej prawdy. Pamiętasz, jak bywałaś u mnie czasami w soboty, gdy tata miał dyżur, a mama właśnie wtedy, pod jego nieobecność, rozkładała w kuchni cały salon fryzjersko-kosmetyczny? Czego tam nie było! W misce z wodą, solą i jakimiś olejkami mamine stopy szykowały się do pedikiuru, na głowie pod foliówką własnoręcznie położona farba albo wałki, a w rondelku na małym gazie, roztaczając miłe wonie, podgrzewał się воск do depilacji. Do dziś mama nigdy, przenigdy nie robi tych zabiegów przy tacie – jakby za punkt honoru stawiała sobie wydawać mu się piękna z natury – ot, niezobowiązująco gładkie pięty, nieporośnięte włosiem łydki, brak odrostów. Ty wiesz, że byliśmy już w liceum, gdy tata odkrył, że mama farbuję sobie włosy?!

Niestety! Obawiam się, że Stach ma niewiele z mego poczciwego, dobrotliwego, ale i gapowatego taty. Zauważa i zapamiętuje szczegóły. Nie komentuje ich, nie robi wielkiego halo, ale widzi. Co z kolei widzę ja – zwłaszcza ja przeczulona na punkcie odchudzania. A to uniósł brew nad moim nagłym zainteresowaniem sportem. A to spojrział pytająco, gdy w sobotę podałam obiad bez deseru. A to nie powiedział dokumentnie nic, gdy na wspólne z Ircią oglądanie bajki dla nich uprzyżyłam popcorn, a sama poprzestałam na beznamytnym chrupaniu łydy selera naciowego (tfu, wciąż mam jego smak, a raczej niesmak w gardle! To jednak wierutne paskudztwo jest).

Nie skomentował więc, nie dopytał – lecz wczoraj ni stąd, ni zowąd zadzwonił z propozycją pójścia na łyżwy. Znalazł ponoć fajne kryte lodowisko, z wypożyczalnią sprzętu, niedrogo i niedaleko mnie. Wszystko to brzmi bardzo ładnie, ale skoro znalazł, to znaczy, że szukał! A po co szukał?... Obstawiam, że po to, aby dyskretnie mnie wesprzeć. W rodzinnej atmosferze, z Ircią i swym męskim ramieniem.

Byłam sceptyczna. Na łyżwach nie jeździłam sto lat. Sprzęt pewno będzie zapocony. Zresztą łyżwy to sport, a sport to zło – dopiero co doszłam do siebie po zeszlotygodniowych rowerach. Z drugiej strony – waga i talia bardzo mnie ostatnio rozczarowują... Koniec końców przystałam na te łyżwy. Szkoda by było zlekceważyć jego starania. Idźmy, zaliczmy i będzie święty spokój.

Poszliśmy wczoraj. Bogiem a prawdą nie było wspaniale. Tłumy młodzieży (ferie!), łyżwy trochę mnie uwierały, a nogi trzęsły mi się kretyńsko. Ale zawsze jest druga strona medalu, prawda? Zatem ten medal miał istnieć złoty rewers pod tytułem „rodzinne wyjście”. Ujęła mnie już pani w kasie: „Pan, żona i córeczka, tak? Proponuję bilet rodzinny, bardziej się opłaca”. Dodaj do tego rozpromienioną Irenkę, która była na łyżwach po raz pierwszy. Trzymaliśmy ją za ręce jak prawdziwi rodzice, ja z jednej strony (tej od barierek), Staś z drugiej. Piszcząca, oczy jej lśniły, policzki miała zaróżowione. Ona z każdym kolejnym okrążeniem nabierała więcej odwagi, moje zachwiania, potknięcia i strach przed przewróceniem się wywoływał ich śmiechy, które z kolei były zaraźliwe i dla mnie. Po godzinie ślizgów opuściliśmy lodowisko całkiem usatysfakcjonowani.

Przy wyjściu na takich jak my czekała podstępna niespodzianka: buda z kiełbaskami.

– Coś tu przepięknie pachnie!... – Irenka zawachlowała nozdrzami. – O, mamuniu, jaka ja jestem głodna! Co to tak pachnie? – zwróciła się do mnie z nadzieją.

– Glutaminian sodu – mruknęłam, zagłuszając własne burknięcie w brzuchu. Jednocześnie zastanawiałam się, jak najskuteczniej i możliwie szybko przeprowadzić akcję „To jest niezdrowe i po co przepłacać, chodź szybko do auta, zjemy coś w domu” (byle nie seler naciowy).

W sukurs niespodziewanie przyszedł mi Staszek. Najpierw grzebał i grzebał w swym przepastnym plecaku, w końcu wynurzył zeń obie dłonie, w jednej dzierżąc duży plastikowy pojemnik, w drugiej trzy widelce.

– Co to, co to, co to? – popłynęło wartko z ust domniemanej córki.

Staś skinął na nas i z tajemniczym uśmiechem skierował się ku niskiej ławeczce. Tam usiadł, my go

oblepiłyśmy z prawej i lewej strony. Wtedy wręczył nam po widelcu i otworzył pojemnik.

– Sałatka owocowa!... – rzekła Irenka tak tkliwie, że oboje zachichotaliśmy. – Czyli nie będzie kiełbaski? – dopytała jeszcze dla porządku.

– Nie będzie. To jest zdrowsze i tańsze – odparł Staś.

– Aha – przyjęła Irenka, a ja na chwilę się zadumałam. Więc moje żmudne dydaktyczne trucie „To jest niezdrowe, po co przepłacać...” można wyrazić tak prosto i tak skutecznie zarazem? Fiu, fiu...

Sałatka nie była całkowicie legalna (Tyle cukrów! Po osiemnastej!). Do tego wyglądała nie całkiem jak dla ESTETY, a raczej jak pocięta maczeta. Mimo to byłam wzruszona i wdzięczna.

Gdzie tkwił haczyk?

Otóż gdy już wzięłam do ust ostatni plaster kwaśnego kiwi, Staś rzucił niewinnie:

– To kiedy powtórka? Pojutrze może?

Euforia, która wybuchła na te słowa w całym jestestwie Irenki, nie pozwoliła mi się wyłgać pod byle pretekstem.

– Bardzo chętnie – przytaknęłam, przełknęłam to kwaśne draństwo i uśmiechnęłam się jak do dekoracji orderem uśmiechu.

A to łotr cwany. Kochany.

Podsumowując, Jago, widzimy się jutro lub w piątek, wyznaczaj. W czwartek idę się ślizgać.

Malina z sałatki owocowej

Od: jaga.jablon@gmail.com

Do: malina_m@malibox.pl

Data: 2.02.2016

Temat: Przeszłość i przyszłość

Malino wyczynowa,

żebyś się nie połamala na tych łyżwach, bo zaawansowana ciężarna w sukni ślubnej (choćby i cywilnej) ciągnąca za sobą świadkową o kulach to już by była desperacja w dążeniu do zmiany stanu cywilnego. Kolejne pokolenia zaśmiewałyby się z prababki Jagody, oglądając ją na zdjęciach z USC...

À propos. Jakąs nostalgią mnie ten nasz nowy dom napełnia. Od razu zauroczył mnie i Jerzego: swoją klasyczną bryłą, gankiem, na który się wchodzi po pięciu niedużych stopniach, trzszczęcym parkietem, cudownym piecem w salonie, dużą kuchnią z ogromnym blatem kuchennym, malutką spiżarnią. No i tym, że ma zarówno piwnicę, jak i strych. Dom z duszą i bagażem doświadczeń. Zastanawiam się, kim byli ludzie, którzy go budowali. Sąsiadka opowiadała, że mieszkało tu niezwykle szczęśliwie dobrane małżeństwo i że z pewnością pozostała po nich dobra energia. Gdybym widywała w życiu aury, to w naszym domu zobaczyłabym taką pierwszego sortu. Smutny jest tylko koniec tej opowieści: córka się wyprowadziła, pan umarł, mocno starsza pani nie dawała rady sama zająć się domem, dlatego zdecydowała się na sprzedaż. Ten powiew historii zmobilizował mnie do uporządkowania rodzinnych fotografii, którymi nigdy wcześniej nie miałam czasu się zająć. Leżały od dawna w trzech niedużych pudełkach, z grubsza tylko przeze mnie posegregowane. Wyciągnęłam je wczoraj wszystkie i rozłożyłam na dywanie. Ileż tam zatrzymanych chwil, wydarzeń, emocji, miejsc i ludzi. Strasznie żałuję, że gdy byłam młodsza, zdawkowo tylko rzuciłam na nie okiem, nie dopytując babci o rodzinną przeszłość. Teraz, gdy już nie ma jej i dziadka, rodziców także, skazana jestem na zbieranie tych pozacieranych wspomnień i snucie domysłów. Dlaczego – ślubnej fotografii nie licząc – nie ma wcale wspólnych zdjęć babci i dziadka? Dlaczego najstarsza siostra mojej babci urodziła się na Żmudzi (tak jest opisana fotografia z tyłu), gdzie był majątek rodziny prababci, a babcia i jej brat – w Krakowie, z którego pochodził pradziadek?... Kim jest ładna, elegancka kobieta stojąca obok mojego taty w wieku okołolicealnym na rynku w Starym Sączu (nie jest to babcia, która była postawną góralką, zawsze ubraną na ludowo)? Tyle

pytań, na które już nie dostanę odpowiedzi, a to przecież te bliższe pokolenia. A ci, co byli przed nimi? Zastanawiam się, czy ci, co przyjdą po nas, też kiedyś wyciągną z pudełka (może właśnie dlatego wciąż wykonuję papierowe odbitki i wkładam je do albumów – żeby jakiś ślad po mnie pozostał?) wyblakły kartonik, na którym będzie jedna widocznie zaokrąglona pani z rudawymi falami, obok druga pani z ciemnymi lokami, przy nich szpakowaty mężczyzna o stalowych oczach i wysoki smukły brunet. I będą sobie dopowiadać historie, które przywiodły ich do tej daty i tego wydarzenia, bo z tyłu będzie podpis: Jagoda i Jerzy, ślub, Warszawa, dwudziesty lutego 2016.

Wspomnienia z dzieciństwa, kiedy asystowałam mamie w misteriach urody, też się wpisują w tę moją nostalgię za czasem rodzinnym minionym. U mnie w domu było podobnie – mama i babcia nawzajem świadczyły sobie usługi kosmetyczne. Zawsze pod nieobecność mężczyzn. Wszystko po to, by oni widzieli je zawsze ładne i zadbane, a one były takie bez wysiłku, z natury i od niechcenia. Popieram ten styl. Jestem za równością, ale nie wyobrażam sobie golenia pach przy Jerzym lub paradowania w jego towarzystwie w turbanie z folii, pod którym siwizna zmienia się w rudy brąz. Dlatego cieszy mnie nasz wspólny wyjazd i z przyjemnością planuję, jak się upiększyć. Na pewno poproszę o lakier na paznokciach u nóg. Ja go widzieć nie będę, chyba że machnę nogą pod kątem prostym, ale Jerzy zapewne się ucieszy z moich pięknych, ubarwionych kolorem stópek, które tak dzielnie noszą Hanię.

Malinko, jutro będzie już Jerzy, zapewne stęskniony, więc wieczór przeznaczę na miłą kolację przedślubną. A skoro my mamy jechać w piątek wczesnym popołudniem, to może udałoby Ci się wziąć w ten dzień pracę do domu i przyjechałabyś do mnie już rano? Żadne oszustwo – siadłybyśmy do komputera i poodpisywały wspólnie na te listy, które jeszcze nie doczekały się odpowiedzi? Przeplatając tę czynność rozmowami na tematy prywatne, dzięki czemu nasze doświadczenie ekspertek od życia jeszcze by wzrosło?

Całuję Cię
Jaga w nostalgii

Od: malina_m@malibox.pl
Do: jaga.jablon@gmail.com
Data: 4.02.2016
Temat: Randka pod z psem

Droga Jago!

W największym skrócie: postanowiłam się przemóc. I nic z tego nie wyszło.

Czasami jest tak, że układamy sobie w głowach mniej lub bardziej szczegółowy plan przyszłości. Wyobrażenie, jak będzie wyglądał wyczekiwany dzień lub zdarzenie – na przykład święta, urlop czy randka. Wydaje mi się to ważne, bo czy bez tych wyobrażeń mielibyśmy siłę napędową, żeby w ogóle jechać na urlop, iść na randkę czy spędzić wiele godzin na sprzątaniu i w kuchni w imię świątecznego nastroju?... Ta siła napędowa to nadzieja. A my, kobiety, jesteśmy specjalistkami w przyozdabianiu jej w niestworzone rojenia.

Cały następny dzień po lodowisku przekonywałam samą siebie, że to jest fajne. Robimy coś razem, aktywnie, sprawiając radość dziecku. Pójdziemy znowu i będzie jeszcze fajniej. Postaram się być mniej spięta, będę śmieiej jeździć, nie będzie mi zimno. I więcej się uśmiechać – tak!

W środę wieczorem Irenka zaczęła kichać.

W czwartek odebrałam ją z przedszkola z czerwonym nosem i katarem, a mój świeżo nabyty zapalniczka chętnie ustąpił miejsca matczynej trosce o zdrowostan. Zadzwoiłam do Staszka i po krótkiej naradzie (dwa do zera na nie) uznaliśmy, że łyżwy dziś odpuścimy.

Irenka dała się udobruchać w jeden tylko sposób:

– Dooobrze, możemy nie iść na łyżwy, aleee... za to pójdę do cioci Karoliny na języki!

(Z Karoliną, która zaoferowała się zostawać z Ircią na czas moich sportów, grają w gry planszowe. Ircia czerpie z tego pokłady zachwyty).

Znów szybka telefoniczna konsultacja, tym razem z Karoliną. Naświetliłam jej sprawę, a ona ucieszyła się niemal tak jak Irenka:

– Jasne, przyprowadź, jeszcze z niej zrobimy małą szulerkę! A wy idźcie sobie na randkę. Ko-niecz-nie!

Randkę?...

Właściwie to przednia myśl! W naszym nie za długim narzeczeństwie stanowczo za mało chodzimy na randki tylko we dwoje. Na co dzień jestem Stasiowi głęboko wdzięczna za to, że traktuje obecność Irenki za stan naturalny, ale... jakaś mała romantyczna cząstka mnie chciałaby niekiedy pobyc z nim sam na sam. Pójść do parku, kina, do kawiarni. Pogadać. Wystroić się dla siebie (no, tu się chyba zagalopowałam).

Jeszcze jeden telefon.

Staś nie krył zdziwienia.

– Na randkę?... To my potrzebujemy randek?

– Potrzebujemy – nadałam się lekuchno, że trzeba mu to tłumaczyć.

– I co chcesz robić?

Podsunęłam pomysły ze spacerem, kawiarnią i kinem.

– Na park za ciemno. Na kino za mało czasu, bo mała może się poczuć źle i trzeba będzie szybko wracać – torpedował, niestety słusznie. – Co do kawiarni... ty tam chyba masz jakieś deserowe postanowienia? – zadał cios wprost w mą feralną talię, a ja całkowicie straciłam rezon. O, ty brzydki, ty.

Milczałam nadęta.

Staś coś kalkulował.

– Okej. Przyjadę do was po pracy. Odprowadzimy Irenkę do Karoliny i pójdziemy na długi spacer z psem, może być?

– Może – odparłam z rezygnacją. On naprawdę tego nie rozumie, skonstatowałam i zrobiło mi się troszkę smutno.

Spacery z Carlosem dzielą się na „małe kółko” i „duże kółko”. Małe to pętelka z domu do skweru i z powrotem, duże – to właściwie nie kółko, a kwadrat: obejście kwartału ulic, między którymi mieści się spore osiedle strzeżone. Ogrodzone ze wszystkich stron, nie pozwala cyganić – żaden skrót nie wchodzi w grę, kiedy już tamtędy idziemy, Carlos wie, że czeka go solidna porcja świeżego powietrza, i drepce wesół, merdając ogonem od pierwszej krzyżówki.

My, gdybyśmy mieli ogony, wcale byśmy nie merdali. Nastrój spaceru był kiepski. Ja nie potrafiłam się pozbyć urazy, że jedyne, na co nas stać, to spacer z psem, Staś był pograżony w swoich myślach. Wokół nas szaroburość bezśnieżnej zimy, przedwczesny zmierzch idiotycznego czasu zimowego.

W końcu, gdy skręciliśmy w drugą prostą, narzeczony westchnął i wreszcie się odezwał.

– Dostałem list od kuzynki.

Wszystko było w tym zdaniu nowe: i list (kto poza nami pisuje dziś listy?), i istnienie jakiejś kuzynki.

Staś ciągnął dalej.

– Mam rodzinę pod Białymstokiem. Dzieci brata ojca, siostra i brat. Niby bliscy krewni, ale kontakty zatarły się, jeszcze kiedy żyli moi rodzice. Nie za dobrze tam się dzieje; właściwie zawsze się działo. Bieda, picie.

Domyślałam się wszak, że nie o tym depeszowała kuzynka.

– Od wejścia Polski do Unii kto żyw we wsi wyjeżdżał do Belgii. O tym, czemu akurat tam, pewnie zdecydował przypadek: najpierw jakiś pionier przetaił szlak, ściągnął kolejnych ziomków, ci następnych, aż w chałupach pozostawali sami starcy, dzieci i faceci. O ironio, tak właśnie. – Uśmiechnął się. – Taka

ekonomiczna odwrotność wojny.

W Brukseli większe zapotrzebowanie było na kobiety do sprzątnięcia i prowadzenia domów paniczykom z Komisji Europejskiej i parlamentu. Toteż chłopcy zostawały na gospodarstwach, a żony jechały. Na fali exodusu wyjechała także Samanta. A potem Violetta.

Odruchowo parsknęłam.

– O kim ty teraz mówisz?

– Kuzynka i szwagierka. Lokalna moda na egzotyczne imiona – wyjaśnił Staś.

– Kuzynka to...?

– Samanta. Violetta to żona Bodzia, jej brata.

– A Bodzio to zdrobnienie od...? – Doprawdy, praca w „Być Kobietą” robi ze mnie sensatkę.

– Robert.

– Mhm.

– Bodzio z Violettą mają dwóch chłopaków – kontynuował Staś, a ja powstrzymałam się o pytania o imiona. – I właśnie o tym pisze Samanta.

– Że się urodzili? – domyśliłam się, oddychając z ulgą, że list zawiera tylko dobre nowiny. Przedwcześnie.

– Nie, urodzili się już dawno. Konkretnie trzy i pięć lat temu. – Staś się uśmiechnął. – Że mają kłopot, co z nimi począć...

Tym razem ograniczyłam się do pytającego spojrzenia.

– Widzisz, Bodzio trochę pił. Dużo nawet. Zawalał robotę za robotą, w domu bieda aż piszcziała. Kiedy się nadarzyła sposobność z tą Brukselą, Samanta ściągnęła bratową do roboty w firmie sprzątającej, w której sama pracowała. Violetta pojechała chętnie, bo i bieda, i wieś, i zachlany mąż już jej się porządnie przejadły.

– A dzieci? – zagadnęłam czujnie.

– Wiesz, ona te dzieci miała jako bardzo młoda dziewczyna – wyznał Staś. – Alana urodziła ledwie po osiemnastce, Adiego koło dwudziestki.

(A jednak! Tradycja dziwnych imion przetrwała i ma się dobrze!).

– Macierzyństwo było dla niej poświęceniem, lubiła marzyć, czego to mogłaby dokonać, gdyby nie dzieci. Powiedzmy... Nie wyszumiała się. Toteż propozycja szwagierki spadła jej jak z nieba. Wspaniała Europa stanęła otworem. Wyjechała szybko, zostawiając dzieci i Bodzia z matką. Pieniądze jednak nie poczęły spływać tak wartko, jak się spodziewali, za to sama Violetta wyraźnie kwitła. Choć obracała się tylko w środowisku krajanów z Siemiatycz, wnet zaczęła mówić z francuskim „er”. Wiem, bo widziałem ją na pogrzebie wuja Gienka w zeszłym roku. Atrakcyjna osóbką. – podsumował uśmiechem, którego nie umiałam rozgryźć.

– Co było w liście od, yyy, Samanty? – skierowałam rozmowę do meritum, bo zbliżyliśmy się już do ostatniego boku spacerowego kwadratu.

– By odseparować Bodzia od wody i kumpli od kielicha, Samanta znalazła mu robotę na jakiejś budowie w Antwerpii. Wyjechał zaraz po Bożym Narodzeniu, razem z siostrą i nie całkiem zadowoloną żoną. Tymczasem ciotka Lodzia – Staś napotkał moje pogubione spojrzenie i pospieszył z pomocą w koligacjach – matka Samanty i Bodzia, wdowa po wuju Gienku, babcia Alana i Adriana, dostała udaru.

– Czyli *adieu*, brukselska przygoda, wracamy do naszych synów? – domyśliłam się.

– A figę – odparł Staś. – Wróciła tylko Samanta, w zeszłym tygodniu. Zajmuje się bratankami i matką jednocześnie, co jeszcze jest wykonalne, bo matka ciągle w szpitalu. Wkrótce jednak wychodzi i wtedy...

– Co wtedy? – spytałam i aż podskoczyłam, gdy tuż za ogrodzeniem włączył się komuś przejmujący autoalarm.

– Zwróciła się do mnie o pomoc.

Przypieszyłam kroku, bo syrena alarmu wprost wwiercała się w mózg.

– I co zrobisz? – próbowałam ją jeszcze przekrzyczeć.

– Coś będę musiał pomyśleć – odparł z prostotą i spokojem Staś. A ja pomyślałam, że może i brak mu nieco romantycznego sznytu, za to kiedy trzeba coś zrobić, naprawdę zrobić – a nie mówić, że się robi, obiecywać, zbywać, niby działać – Staś pojawia się niezawodnie i robi, co trzeba. Niepostrzeżenie mój dąs ustąpił miejsca rozczuleniu. Dobry człowiek! Dobrego będę miała męża!

W piątek od rana na pewno nie dam rady – w redakcji zebranie, na które mam dla wszystkich przygotować materiały, a potem notować, podsumowywać, rozsyłać wnioski. Będę zatem raczej bliżej naszego wyjazdu. Nie bierz dużo ubrań, i tak większość czasu spędzimy w szlafrokach lub ręcznikach! Cieszę się ogromnie!

Twa

Ma

Od: jaga.jablon@gmail.com

Do: malina_m@malibox.pl

Data: 9.02.2016

Temat: Wieloryb po wypasie

Madziulku,

ten nasz wspólny wyjazd do spa to najfajniejszy wieczór paniński, jaki miałam. Wiem, skala porównawcza jest niezbyt wielka, bo to moja druga przedślubna rozrywka i na dodatek pierwszej nie pamiętam. Wieczór miał wszystkie cechy udanej imprezy: dużo piłyśmy i pozbyłyśmy się ubrań. No ale jak tu nie wlewać w siebie wody, gdy słoneczna łąka tak rozleniwia, że nie masz siły zejść z leżaka, na którym wystawiasz swe ponętne ciało (to Ty) do sztucznego słońca?... A poddawanie się wprawnym rękom masażystki, która zabiera ból obciążonemu ponad miarę kręgosłupowi (to ja) w ubraniu odbywać się nie może. Jestem pod wrażeniem, jak Instytut Piękna, Które Jest w Tobie, wyszedł naprzeciw rynkowym oczekiwaniom. Pakiety dla chudych lasek, które się zastanawiają, co by tu jeszcze sobie wstrzyknąć, odessać, domalować, lub propozycje dla wiecznie walczących z tłuszczem grubasek to już standard, ale oferta dla przyszłych mam! Słuszna koncepcja: coraz później kobiety się decydują na dzieci i najczęściej tylko na jedno. Celebrują więc te swoje ciąży, skoro już się mają nie powtórzyć. Baby szampan, czyli kąpiel bąbelkowa, Ukojenie oceanu – seans muzykoterapii, Refleksologia na cztery stopy, Talia na okrągło, Pakiet na dwa serca – no wprost niebywałe! Zbyt pewnie stąpam po ziemi (teraz na stopach cudnie ozdobionych krwistoczerwonym lakierem), by się nabrać na ten marketingowy lep, ale z masażu, hybrydy, basenu i parafiny na dłoniach jestem bardzo zadowolona. Czuję się dopieszczona, zadbana i piękna. Podwójnym pięknem, skoro jest ono we mnie...

Dzięki temu zastrzykowi energii z pogodą ducha przechodzę przez bezśnieżne ferie. Dziś pogoda była mocno kulawa, więc pojechałam z Matysią i Jeremkiem do kina. Dobry dinozaur doprowadził mnie do łez, które ze wstydem wycierałam w ciemności sali kinowej. Opowieść o młodocianym dinozaurze niedojdzie, który traci ojca i trafia na łono dzikiej natury, oddzielony od matki i rodzeństwa, to nie jest historia dla ciężarnych. Co ciekawe, spłakałam się tylko ja. Próbowałam subtelnie podpytać Jeremiego o przyczyny jego znieczulicy, ale okazało się, że źle zinterpretowałam jego dobry nastój. „A dlaczego miałbym się bać, że już nigdy nie zobaczy mamy? Na pewno by go znalazła, mamy zawsze tak robią”. No i ryknęłam po raz drugi.

Dla emocjonalnego bezpieczeństwa jutro jedziemy do Muzeum Wojska Polskiego.

Wiesz, opowiadałam Jerzemu o skomplikowanych historiach rodzinnych Staszka. I o Twoim wzruszeniu jego chęcią konkretnej pomocy. Jerzy to facet ulepiony z tej samej gliny (zatem to nie przypadek, że ich wybrałyśmy), więc zapytał:

– Świetnie. Ale co to za konkretna pomoc?

– No, czy ja wiem?... Może jakieś wsparcie zorganizuje? Opiekę, wakacje, pieniądze?

– Jak? W tej wyludnionej wiosce, gdzie jedyni niepijący i nieprzetraceni jeszcze przez życie to dzieci właśnie? Pieniądze skąd? Zawsze mówisz, że Magdzie i Staszku się nie przelewa, i wychwalasz ich zaradność, że tak sprawnie łączą te swoje biedy. A opieka jaka – zdalna?

– No... Pewnie coś wymyśli...

– Tu nie ma co wymyślać. Jeśli chce pomóc, to musi tych chłopaczków wziąć do siebie. Proste.

Aż mi tchu zabrakło, Malino. Bo najpierw też się cukierkowo wzruszyłam dobrocią Staszka i jakąś niedookreśloną wizją pomocy, więc mój usatysfakcjonowany mózg już nie drążył tego wątku. No ale rzeczywiście – rozwiązanie Jerzego to jedyny pomysł na ułożenie życia Alana i Adriana. Zastanów się zatem nad fajnymi ksywkami lub przeróbkami imion dla tych chłopców, bo czuję, że staną się oni częścią Twojego życia.

Całuję

J.

Od: malina_m@malibox.pl

Do: jaga.jablon@gmail.com

Data: 12.02.2016

Temat: W-SPA-niale SPA!

Miła Jagusiu!

Ogromnie się cieszę, że wypoczęłaś. To już tak niedługo Hania przyjdzie na świat. Ach, jakże jestem jej ciekawa!...

Z kolei ja z przyjemnością Ci donoszę, że po naszym cudownym spa schudłam dwa kilo. A także wbiłam się w parę nieosiągalnych wcześniej ciuchów po Tobie, które mi podarowałaś, gdy zaszłaś w ciążę. Nawet – tadamm! – w wiśniowe bryczesy, które z całego pakietu podobały mi się chyba najbardziej i zarazem były najbardziej nieosiągalne.

Efekt ten tak mnie uskrzydlił, że już dwa razy w tym tygodniu uprawiałam sport oraz codziennie – dobrze widzisz: każdego burego, błotnistej, ciemnowego popołudnia! – chodzę z Carlosem na duże kółko. (Kwadrat). (W bryczesach).

W weekend zaś jedziemy ze Staszkiem do Krowisk. Muszę przyznać, że zgrabnie to wykoncyrował: pod pretekstem wręczenia zaproszenia na ślub spróbuje się rozeznac w stanie zdrowia ciotki oraz sytuacji opiekuńczej pociotków. Co do przypuszczeń Jerzego – faktycznie, możliwe że Staś będzie musiał na pewien czas jakoś ich wkreślić do domu dziecka. Może codzienna obecność wujka złagodzi im szok trafienia tam... Nie znają go dobrze, ale Stach ma takie dobre i naturalne podejście do dzieci. Podopieczni go lubią, ufają mu prostą, dziecięcą intuicją. Zresztą to przecież będzie tylko rozwiązanie czasowe, przejściowe – do czasu wyzdrowienia babci lub powrotu rodziców.

Wyznam Ci, że trochę jestem tych krowiskowych klimatów ciekawa. Sama nie mam żadnych znajomych w tamtych stronach, wschodnią część kraju znam słabo. Ale najbardziej chyba się ekscytuję tym, że poznam wreszcie kogokolwiek z jego rodziny. Dotąd zaproszenia na nasze zaślubiny rozwoziliśmy tylko moim krewnym, kilkorgu przyjaciołom, w tym żadnym wspólnym, bo takich się jeszcze nie dorobiliśmy; księżom pasjonistom (których można by za takich wspólnych znajomych nieco naciągnąć) nie było potrzeby, bo będą obecni na ślubie w oczywisty sposób. Mówiłam Ci, że świadkiem Stasia ma być brat Daniel? Taka sytuacja!

Wesele, jeśli się upierać przy tej nazwie, nie będzie tłumną imprezą. Z mojej strony Wy, moje sąsiadeczki, rodzice, siostra mamy, Joanna z przychówkiem. Brat taty mieszka we Francji, nie przyjedzie, bo tydzień później ma w szpitalu planowany zabieg. Ze strony Staszka – ojciec Przemek (nie mogę się

pozbyć wrażenia niedopasowania przy zestawieniu nobliwego „ojciec” z młodym, wysportowanym czterdziestoletnim facetem, jakim jest nasz proboszcz) i dwie pary przyjaciół: najbliższa koleżanka z domu dziecka z mężem oraz para ni to świeckich misjonarzy, ni to obieżyświatów; nazwijmy ich pomagaczami. W tym kontekście prawdziwą sensacją byłaby obecność kogoś z prawdziwej Stasiowej rodziny. Tylko czy zdrowie ciotki na to pozwoli? A jeśli ona nie wydobrzeje, to i córka pewno nie będzie jej mogła odstąpić... A atrakcyjna Violetta z nadużywającym Bodziem – czy Staś jest im dostatecznie bliski, by ściągnęli na jego ślub z dalekiej Brukseli?

Cóż. Pożyjemy, zobaczymy. W każdym razie Was mam nadzieję zobaczyć na pewno.

Mentalnie głaszczę Cię po brzuchu.

Malina w wiśniowych

Od: malina_m@malibox.pl

Do: jaga.jablon@gmail.com

Data: 13.02.2016

Temat: Krowiska solo

Jaguniu,

piszę raz jeszcze, by Ci donieść, że rozłożyła mi się Irenka na dobre. Mama nie dzwoniła, gdy byliśmy w spa, by mnie nie niepokoić, kurowała ją babcinym syropem z sosny i gęsim smalcem, ale na wycieczkę do rodziny przyszłego ojczyma Ircia nie nadawała się nijak. W efekcie ja przejęłam od mamy opiekę nad Iryskiem, a Staś pojechał do Krowisk sam.

Zaproszenia wręczył, w sytuacji się rozeznał. Wrócił w dziwnym nastroju, ale z tego, co zdołałam z niego wyciągnąć, wydaje się, że – jak to zwykle bywa – nie taki diabeł straszny, jak go malują. Dzielna Sabrina (Samanta? Boże, będę musiała się tych imion nauczyć, by kiedyś czegoś nie chlapnąć!) stanęła na wysokości zadania i daje sobie radę i z chorą mamą, i z bratankami. Uff. Cieszymy się z naszych żyć, bo dobre one są – bez patologii i poważnych chorób. Doceniajmy.

M.

Od: jaga.jablon@gmail.com

Do: malina_m@malibox.pl

Data: 14.02.2016

Temat: Gdzie się nie obejrzyysz – ślub

Malinko,

nasze życie przypomina ostatnio wenezuelską telenowelę. Albo dbamy o gibką talię (to Ty, ja teraz zupełnie nie mam szans), albo wybieramy ciuchy, albo wychodzimy za mąż. Konkretnie zajęcia konkretnych kobiet. Bez zawracania sobie głowy pracą, sprzątaniami, wychowaniem dzieci i innymi drobnostkami. Choć nie do końca. Jakoś żartobliwie chciałam zacząć, bo właściwie to nie całkiem mi do śmiechu. W piątek widziałam się z panią Janiną z ursynowskiego urzędu. Bardzo była pomocna. Niby oschła i aż za bardzo konkretna, ale jednak życzliwa. Może dlatego, że nie jestem już zatrzważająco młoda, więc to nie przypadek wpadki nastolatki, którą rodzice przyszłej matki chcą upudrować szybkim ślubem. Pani Janina wzięła od nas wszystkie dokumenty, czyli niewiele, bo tego najważniejszego, czyli uprawomocnionego wyroku rozwodowego, wciąż nie mam (ma być w poniedziałek), i potwierdziła godzinę uroczystości – 14.00. Jako świadków wpisała Ciebie i przyjaciela Jerzego – Roberta. Wszystko sprawnie i miło. W dobrym humorze wróciliśmy z Jerzym do domu, po drodze odbierając Jeremiego z przedszkola, bo Matylda nocowała u koleżanki. Przy kolacji powiedziałam mu, że w następny weekend będzie ślub.

– A czyj? – zapytał Jeremi.

– No mój. Mój i Jerzego – odpowiedziałam.

– A wyjdiesz kiedyś za mąż za tatę? Żeby nie był sam. – Jeremi powiedział to bez specjalnych emocji, raczej z zainteresowaniem.

Zrobiło mi się strasznie przykro. Od razu włączyło mi się poczucie winy wobec Piotra. I jeszcze wyobraziłam sobie, jak dorastający Jeremi zrozumie, co się wydarzyło w życiu jego rodziców, i zacznie mnie obwiniać za rozpad rodziny i samotność ojca. Co w konsekwencji doprowadzi do tego, że przestanę być ukochaną mamą, a Jeremi odwróci się ode mnie, zacznie się buntować i Bóg wie co jeszcze. Awansem zaczęłam się martwić także o to, jak dzieci przyjmą Hanię. Matylda wydaje się dużo rozumieć; poza tym przeżyła już detronizację jedynaczki, gdy Jeremi pojawił się na świecie. No i jeszcze jeden smutek: po śniadaniu Piotr zabrał dzieciaki, bo to jego weekend. A miałam wyjątkową potrzebę, by z nimi pobyć, pójść na długi, spokojny spacer i tam spróbować dotrzeć do ich dziecięcych światów, gdzie pewnie dużo ciemnych zakamarków i zaułków wypełnionych lękiem.

Kiedy piszesz o rodzinie Staszka – tych dzieciach o egzotycznych imionach, robi mi się nieswojo. Przecież to, czego mały człowiek potrzebuje, by zdrowo i szczęśliwie rosnąć, to miłość i opieka rodziców. Nie trzeba mu zabawek, prezentów, pieniędzy – tylko kontaktu z mamą i ojcem, codziennego, zwyczajnego. Kiedy rodzice wyjeżdżają – nawet w słusznej sprawie, żeby zarabiać – dziecko traci grunt pod nogami, brakuje mu stabilizacji. A kiedy ten wyjazd to też ucieczka od dotychczasowego życia?... Określenie eurosieroty jest bardzo trafne, prawda? No cóż, dobrze, że ciotka się nimi zajmuje, zawsze to jakaś namiastka rodziny.

Pójdę z Jerzym na krótką leśną wędrowkę. Mam nadzieję, że wrócę w lepszym nastroju.

Wysłałam Ci zdjęcie sukni ślubnej, żebyśmy się ładnie komponowały. Ciemna zieleń i grafitowe dodatki. Bardzo prosty wzór – trapez, lekko przed kolana, długi rękaw, dekolt w łożkę. Minimalizm. Pantofle na obcasach, bransoletka jak metalowa rurka wypełniona migoczącymi kamyczkami (Swarovski – przedślubny prezent od córki Jerzego, Marysi). I już. Całość dopełni moja nowa fryzura – obcinam włosy. Trochę pewnie symbolicznie – nowe życie, nowy wygląd, trochę dlatego, że jestem już zmęczona pielęgnowaniem długich loków, no i wreszcie dlatego, że czas na farbowanie – na głowie zaczął się szron.

Całuję

J.

Od: malina_m@malibox.pl

Do: jaga.jablon@gmail.com

Data: 15.02.2016

Temat: Rany!

Jezusss Maria, Jagodo, nie mam sukienki na Twój ślub.

Nie wiem, jak mogłam przeoczyć ten drobny falcik, jestem na siebie wściekła. Niestety jestem także splekana i zawalona robotą. Wzięłam do domu dwie korekty na cito, nie wyrwę się nawet oblecieć szmateksów, by coś tam sobie znaleźć. Poratuj mnie swoją szafą. Na pewno masz milion wspaniałych kiecek pasujących do Twojej ślubnej.

Przepraszam, przepraszam, przepraszam.

Idio-Malina

Od: jaga.jablon@gmail.com

Do: malina_m@malibox.pl

Data: 16.02.2016

Temat: Re: Rany!

Malino,

dobrze, że wspominasz o tym drobiazgu teraz, a nie w sobotę rano. Skoro nie muszę się już martwić o garnitur Jerzego (jak dobrze, że Marysia wychodziła za mąż i przymusiła tatę do odzieżowej odnowy), to pokłopotuję się o Ciebie. Zawsze to lepsze niż niczym nieprzełamany stres porozwodowo-przedślubnościowy. Wczoraj odbyłam podróż do Siedlec po potwierdzenie, że jestem cywilnie wolnym człowiekiem. Mam meldunek niecały kilometr od granicy Warszawy, ale formalnie podlegam pod sąd oddalony od mojego starego domu o prawie 60 kilometrów. To podróż do innego świata. Masz wrażenie, że w tym mieście wszystko jest w skali mikro, każdy każdego zna, a życie toczy się od naturalnego porodu przez jeden ślub do spokojnej śmierci. Takie miałam myśli, gdy wtoczyłam się do małego pokoju, by odebrać ten swój cenny papier. Podałam nazwisko i numer sprawy. Pani ze spektakularnym tapirem i wesołym błękitem na powiece spojrzała na mnie z zaciekawieniem i... czy ja wiem?... chyba dezaprobatą.

– Wiem, wiem, pani mecenas prosiła, by przygotować ten odpis w pierwszym możliwym terminie, bo jest pani potrzebny... do ślubu.

To „ślubu” wypowiedziała wyjątkowo powoli, patrząc centralnie na mój brzuch. Mężnie wytrzymałam to spojrzenie i kiedy już papiery wylądowały na mojej połowie blatu, odważnie wygłosiłam życiowe credo:

– Każdy ma prawo do szczęścia.

Niby taka jestem współczesna, niezależna, wyemancypowana, a tu, proszę – zadrzałam pod karcącym wzrokiem urzędniczki. Na rozwodnika pewnie by tak nie patrzyła...

A z sądu na Ursynów. Pani Janina tym razem wydała mi się uosobieniem troski i czułości. Upomniała, by nie zapomnieć o dowodach osobistych i obrączkach. I poprosiła, żebym raczej nie zaczęła rodzić podczas uroczystości. Rozstałyśmy się prawie w przyjaźni.

A wieczorem, gdy położę dzieci spać, zacznę przegląd szafy. Już zapomniałam, co mam, bo od kilku miesięcy chodzę w ciążowych ciuchach. Dalej chudniesz? Uwzględnić i bardziej dopasowane sukienki?

Musisz jutro po pracy przyjechać; nie zostawiajmy przymiarki na ostatnią chwilę. Zabierzesz Irenkę?

Całuję

Jagoda

Od: malina_m@malibox.pl

Do: jaga.jablon@gmail.com

Data: 16.02.2016

Temat: Zamiast talii os pełniejszy trzos

Jago!

Chyba dostałam awans!!!

Skąd to „chyba”, zaraz zapytasz. A z przeczności: dopóki nie podpiszę aneksu do umowy, wszystko się może zdarzyć w takim gnieździe żmij jak redakcja kobiecego pisma.

A było tak. Właściwie od początku roku Troglodyta kropla po kropli, szpalta po szpalcie dokładał mi roboty. Najpierw miałam na próbę odpisać na parę listów do Twojej rubryki „Listy od Czytelniczek”. Potem niespodziewanie rozchorowała się Elwira i ktoś musiał pociągnąć jej dwa artykuły. Potem zrobiłam dwa razy korektę całego pisma, którą pani Ela szczerze pochwaliła – przy szefie. I w tej korekcie największe wpadki wytropiłam w dziale z przepisami. Nie takie oczywiste błędy jak ortograf czy literówka, tylko subtelniejsze sprawy: brak najlepszych przypraw w karnawałowym pasztecie.

Proporcje na sernik, który nigdy by nie stężał. Idiotyczny pomysł, by zalewać kiwi i ananasy galaretką. Niedodanie do wykwintnej sałatki z czerwonej kapusty soku z cytryny – co, jak wiadomo, uczyniłoby z tej ozdoby stołu nieapetyczną buropurpurową masę. Połapałam te oczka, Troglodyta zagadnął mnie o gotowanie w praktyce, pogawędziliśmy; jak wiesz, ja o jedzeniu mogę zawsze. Potem raz dałam mu spróbować moich dietetycznych tartinek, bo łytał tak chciwie, gdy je rozpakowywałam w kuchni. Wysłałam na tym jak Zabłocki na mydle: wściekła i głodna, bo pod pretekstem próbowania wyżarł mi połowę. („Czy tofu, pani Magdo, naprawdę da się tak doprawić, że nie będzie mdłe? Pozwoli pani, że skosztuję...”). W efekcie zjadłam tego dnia batona zamiast tej brakującej połowy. No i się zaczęło – tama odmawiania sobie słodkości została przerwana...

Pamiętasz słowa naszej koleżanki Lenki, co poszła potem na medycynę? „Mózg jedzie na glukozie!” – powtarzała. Usprawiedliwiłyśmy jej zbawienną myślą wszystkie pożarte w czasie sesji czekolady.

Ja poszłam tym samym tropem. Im więcej dokładał mi do pieca Troglodyta, tym łatwiej się rozgrzeszałam z kolejnej czekoladki. Posłodzonej kawy. Słodkich płatków z mlekiem.

A wszystko to, nie powiem, nadal bardzo estetycznie serwowane, jak na ESTETĘ przystało.

Koniec tej przypowieści jest przewrotny. Z tym chudnięciem, o które pytasz, to tego... Pomału godzę się z faktem, że nie przeskoczę siebie. Znow znalazła zastosowanie stara prawda, że najpiękniejsze dzieła romantyczne piszą nieszczęśliwie zakochani, a najskuteczniej chudną panny, co chcą znaleźć męża. Skoro kandydata na męża mam, moja determinacja, by się zmieścić w sukienkę, najwyraźniej okazała się za mała. Może latem byłoby łatwiej przetrwać na mikroporcjach i garści truskawek. Zimą potrzebuję energii.

Przy wyteżonej pracy potrzebuję energii.

Do dobrego humoru potrzebuję energii.

A energię czerpię z batoników.

Ale... teraz pora na tę część przewrotną.

Troglodyta zaczął regularnie wpadać do kuchni w porach lunchu, by skubnąć ode mnie to czy tamto. Przechodząc koło mego biurka, zawsze omiatał wzrokiem talerzyk z estetycznie podanymi łakociami. Raz czy dwa zrobiłam ciasto, które jadł, aż mu się trzęsły te wielkie uszy. Wczoraj zaś wezwał mnie do siebie i ni mniej, ni więcej tylko zaproponował mi objęcie działu kulinariów.

I co ja na to?

Już, już miałam się uradować. Szybko jednak wyobraziłam sobie Ciebie na moim miejscu. Co byś zrobiła? Bingo! – rzeczowo spytałabyś o podwyżkę.

Ja podeszłam do sprawy miarowo.

– A czy nowe obowiązki mam łączyć z dotychczasowymi?

– Tak, tak! – skwapliwie przytaknął ten łasuch. – W sekretariacie także radzi sobie pani świetnie.

– Ależ ja nie siedzę w sekretariacie... – wyraziłam zdumienie.

– Mam na myśli, by tak rzec, pani bycie sekretarzem redakcji... no, jakże to wyrazić? – począł się plątać.

– Miałabym zatem dalej organizować pracę zespołu, egzekwować terminy, sczytywać wstępnie artykuły od redaktorek i pilnować makiety, a jednocześnie do każdego numeru pisać przepisy i wstępniaki do działu kuchnia na szesnaście stron, czy tak?

– Taakkkk... – rzekł z przydechem. – Lepsi dostają więcej! – zażartował nerwowo.

– Ach! – ucieszyłam się. – Czyli ta zmiana łączy się z gratyfikacją finansową?

Tu nastąpiła chwila pauzy. Troglodyta nabrał powietrza, potem je wypuścił. Dwa razy pstryknął długopisem.

– Jestem rad, że pracuję z ludźmi, którzy cenią własną pracę! – odezwał się w końcu. – Oczywiście, że tak!

Marzec zapowiada się więc pomyślnie nie tylko z racji ślubu!

Co zaś do Twoich sukienek, to... tych taliowanych nie uwzględniaj. W najlepszym momencie diety schudłam trzy kilogramy.

Z czego jeden wrócił. Drań.

Przyjadę z Irenką. Będziemy po szóstej. No i może uradzimy, co w końcu zrobić z tą moją suknią ślubną – bo coraz czarniej widzę tę Audrey...

Pozdrawiam Cię, moja udokumentowana rozwódka!

Malina

Od: jaga.jablon@gmail.com

Do: malina_m@malibox.pl

Data: 18.02.2016

Temat: Już za chwileczkę, już za momencik...

Malino,

fajne to dwudziestolecie było, co? Bardzo praktyczne kiecki. W ramionach ładnie leżą, na plecach nie odstają, workowate nie są, ale talii nie dręczą, niby kolana i kawałek uda odsłaniają, ale frędzle, którymi są wykończone na dole, mają gęstość odpowiednią, by zakryć ewentualną obfitość nóg. Bardzo przyjemnie będziemy się komponować. Jaki to traf, że kupiłam tę sukienkę przed dwoma laty. Wprost wymarzona dla mnie – lejący jedwab, piękne detale, wszystko w najlepszym gatunku. Cena – skrajnie wyprzedazowa. Wiem – kolor zniechęcający, ale w amoku nabywania przyjęłam, że jakoś to będzie. Cóż, fiolet to jednak barwa, w której jest dobrze przede wszystkim biskupom... Ty jednak prezentujesz się w tej kreacji nadspodziewanie dobrze, więc z radością Ci ją darowuję.

Jeremiego i Matysię też mam już odzieżowo zaplanowanych. Ubierać dzieci na swój ślub – osobliwe przeżycie...

Jutro jeszcze zakupy i przygotowanie jedzenia. Domówka po cywilnym ślubie w gronie absolutnie najbliższych osób, bez uwzględnienia rodziny i znajomych – czuję się jak hipiska-kontestatorka. Powinnam ugotować gar bigosu, kupić dużo wina i włączyć Janis Joplin śpiewającą *To Love Somebody*. Nie przemogłam się też, by poinformować towarzystwo z naszej redakcji o planowanym zamążpójściu. Mam przeczucie, że potraktowaliby tę sytuację czysto dziennikarsko, to znaczy, z zainteresowaniem, lecz bez głębszej, życzliwej emocji. Praca w mediach przyciąga jednak specyficznych ludzi... A wiesz, że wczoraj Troglodyta do mnie napisał? Ecie-pecie, jak się czuję, troska, której zaniedbać nie można, bo nie wypada. Najwyraźniej nadszedł czas rozsad personalnych, bo poinformował mnie, że na czas mojego urlopu macierzyńskiego moje obowiązki przejmie... Jowita! Nie wiem, czy miałaś z nią już do czynienia? Jest szefową sekcji kontroli jakości (nie mam pojęcia, czym ten dział się zajmuje, z Jowitą rozmawiałam chyba tylko raz, bo ma pokój w siedzibie managementu, na IX piętrze, przy redakcji „Testosteronu”). Ty, co mi wyjaśnił, jak gdyby nie przypuszczał, że już wiem, obejmiesz „odpowiedzialną rubrykę kulinarną”, więc nie możesz się zająć moją działką. Wybór Jowity wydał mi się tak absurdalny, że aż nie wiem, co odpisać. Po pierwsze to przedziwne posunięcie – Jowita to typ osoby, która „z zawodu jest dyrektorem”. Jaki ma interes w objęciu szeregowego stanowiska?... Po drugie jak można oddawać tematykę wymagającą inteligencji emocjonalnej, wycucia i pokory wobec życia komuś, kto ma tylko tabelki przed oczami i wrodzony brak empatii. Poza tym Jowita nigdy nie napisała żadnego tekstu; jej jedyna twórczość to sformalizowane korporacyjne mejle. „Skrupulatność i terminowość”, które mają być powodem takiego zastępstwa, są doskonałe w kontrolingu, którego jednak nie da się zastosować w rozterkach i dylematach naszych czytelniczek. Przygotuj im przepisy odpowiednio wysycone cukrem, bo obawiam się, że po odpowiedziach od Jowity będą szukały pociechy w słodyczach...

Zdzwońmy się w sobotę rano, dobrze?

Pa, pa

J.

Od: malina_m@malibox.pl
Do: jaga.jablon@gmail.com
Data: 21.02.2016
Temat: Ach, co to był za ślub!

Droga Pani Flizowska,

żadne szkoły, kursy, studia, a nawet książki nie dały mi tyle wiedzy i weryfikacji różnych moich zeszytniałych poglądów, co praktyka życia. Do niedawna – właściwie do przedwczoraj – uważałam, że ślub cywilny wprost nie może być piękny. Sucha urzędnicza procedura, formułki, podpisy, zielone sukno, nieprzemijająca od PRL-u paproć w tle. Obrzęd bez ducha, a przez to – niepełnowartościowy.

Jakże się miło zdziwiłam! Wasz ślub był, owszem, urzędowy, nie za długi, na wskroś świecki – zarazem jednak wprost... wzruszający. Ładna oprawa muzyczna, przyjemne wnętrze wyremontowanego ratusza dzielnicy. Elegancka pani Janina. Gości niewiele, za to wszyscy przychylni, nieprzypadkowi i życzący jak najlepiej. Twój drżący głos. Jerzy, nadrabiający miną. Popłakana Marysia z jednej strony tuląca się do męża, z drugiej ściskająca łapki Twoich dzieci. Kiedy i jak zdołałaś ich zapleść w tak ciepłe relacje, Czarodziejko?!...

Ciepło mi na sercu, gdy to wszystko wspominam. Staszek zrobił przeszło dwieście zdjęć, z czego uchowa się pewno ze dwadzieścia – ale dobre i to, prawda? Uchwycił Was w paru naprawdę romantycznych momentach! Do tego trochę nieodłącznych podpatrzonych śmiesznotek: Jeremiś, który sobie uszczknął z Twego bukietka jeden kwiat do butonierki. Matysia z rysunkiem dla Jerzego. Zdumienie Irenki próbującej słodkiego ziemniaka. Prześlemy Wam wszystkie najlepsze.

A ten kurczak curry, którego zaserwowaliście na obiad!... Pal-ce li-zać! Do tego pieczone bataty i tapioka z malinami na deser – doprawdy, gdyby nie fakt, że przed Tobą długi i pełen domowych radości urlop macierzyński, drżałabym o swą świeżo zdobytą posadę w kulinariach!!

A kiedy już nadszedł wieczór i stawało się wiadome, że cały ten dzień udał się bez wyjątku, że dopisało wszystko, że nic nie zakłóciło świątecznej atmosfery Waszego ślubu, dobrze było od Was wychodzić. Byłam syta wrażeń, pyszności, ale nade wszystko – i to najważniejsze – syta Twoim szczęściem i dobrym przeczuciem na przyszłość. Mam poczucie, że zostawiłam Cię w zaufanych rękach Jerzego.

Niech tak będzie, kochana Przyjaciółko! Niech tak Ci się stanie! I jeszcze raz: niech się Wam bardzo, bardzo szczęści!!!

Twoja
M.

Od: jaga.jablon@gmail.com
Do: malina_m@malibox.pl
Data: 23.02.2016
Temat: Re: Ach, co to był za ślub!

Malinuś,

jeszcze się wzruszam tą naszą uroczystością. To też był mój pierwszy ślub cywilny – pod każdym względem. Nawet jako gość nie byłam w żadnej sali ślubów jakiegokolwiek USC. Myślałam, że wydarzenie będzie mocno sformalizowane, dużo papierów do podpisania, sztywna urzędniczka. A tu – proszę! Od soboty często przyglądam się swojej obrączce. Bardzo ładne Jerzy wybrał, niepowtarzalne. Fascynująca jest ta technika zdobienia – niello. Złoty ornament w postaci mocno splecionych szlaczków

przypominających znak nieskończoności, otoczony grafitową masą. Kontrast jasnego i ciemnego, pierwiastka kobiecego i męskiego. Jerzy nieprzyzwyczajony do biżuterii ślubnej co rusz sprawdza, czy krążek nie zsunął mu się z palca...

Szkoda, że nie udało nam się wyrwać choć na kilka dni w podróż poślubną. Nie mam jednak ochoty na chojrakowanie – do terminu porodu został niecały miesiąc. Poza tym Jeremi i Matylda czuliby się pewnie nieswojo, gdybym teraz, tak od razu po ślubie zniknęła z ich radarów. Obiecaliśmy sobie z Jerzym wyjazd nad morze w czerwcu – do naszego pamiętnego pensjonatu, w którym to zaczęła się historia Hani. A propos dopiero teraz się ocknęłam, że nie mam dla niej łóżeczka. To, które zapewniało spokojny sen Matysi i Jeremkowi, jest na strychu mojego dawnego domu. Przecież nie poproszę Piotra, by mi je ściągnął i przywiózł. Ty nie przechowujesz Irenkowego?...

To prawda, że z każdym kolejnym dzieckiem napięcie związane z oczekiwaniem na poród spada. Gdy byłam w ciąży z Matyldą, już pół roku przed terminem układałam wyprasowane na sztywno pieluchy w drewnianej komodzie... Ubranek mam sporo – od nowej sąsiadki. W naszej wąskiej uliczce mieszka bardzo sympatyczne małżeństwo z dwiema córkami – te same roczniki co moje dzieci. Kilka rozmów w lokalnym spożywczaku, spotkanie na peronie kolejki i tak od słowa do słowa zaczynamy się coraz bardziej lubić. Kasia jest bardzo uczynna i pomocna. I, co zdążyła mi już powiedzieć przy herbacie – patrzy na mnie z zazdrością, bo skrycie marzyła o trójce dzieci, jednak mąż najchętniej zostałby ojcem jedynaczki; druga córka już była ponad plan. Mam niejasne przeczucie, że nie jest to jedyna różnica zdań w tym związku. To takie małżeństwo, przy którym zapala mi się w głowie czerwona lampka. Mąż jest kimś bardzo ważnym w pracy, która pochłania go przez połowę doby. Żona jest ładna i zadbana (w ogóle wszystko dokoła tej pary jest schludne i estetyczne), na co ma czas, bo nie pracuje zawodowo. Świata poza swoją rodziną nie widzi, nie udziela się towarzysko, nie ma żadnego hobby. Czasem widuję u niej żywiołową, kolorowo ubraną panią koło sześćdziesiątki. Myślałam, że to opiekunka, ale nie, to mama Kasi. Wciąż aktywna zawodowo – jest garderobianą w teatrze. Fascynujące, prawda?

Ściskam ciepło

Twoja J.

Od: malina_m@malibox.pl

Do: jaga.jablon@gmail.com

Data: 25.02.2016

Temat: O białych meblach i białej Audrey

Prawdę mówią, że ciąża sprawia, że kobiety myślą i patrzą jakby bardziej ospale. Bywasz – no, może bywałeś gdzieś do połowy ciąży – u mnie regularnie, jesienią przesiedziałyśmy nawet parę minut w pokoju Irci na oględzinach kapy uszytej przez babcię – a nie spostrzegłaś, że owa kapa leży na wciąż tym pierwszym małym łóżeczku!

Nie ma jednak tego złego, co by na dobre nie wyszło: Twój mejl wyzwolił we mnie chęć zmian. Przecież już za miesiąc, po ślubie, przeprowadzamy się do Stacha! To świetna okazja, by kupić Irce większy tapczanik, a Tobie oddać dla Hani ten obecny mebel!

Ta myśl tak rozpałała moją wyobraźnię, że z miejsca zaczęłam przeczesać internet w poszukiwaniu fajnego łóżka. Chyba chciałabym drewniane, rustykalne, ledwo powleczone białą farbą. Oczywiście nie ma takich w rozsądnej cenie, dlatego wytypowałam kilka w ładnych kształtach i będę malować sama – nie może się nie udać. Okazuje się, że używane można kupić całkiem tanio... co z kolei sprawiło, że zamarzyła mi się jeszcze dla Irci nocna szafka. A że najładniejsza była akurat w zestawie z uroczą toaletką...

No dobrze. Dobrze. Kupiłam i tapczanik, i szafkę, i toaletkę. Miałam Ci wysłać linki, żebyś pomogła ocenić, czy warto, ale się bałam, że jeśli będę zwlekać, to ktoś mnie ubiegnie i rozkompletuje mój

upatrzoney łup. Słowem – kupiłam, zamówiłam dostawę do domu Staszka, w któryś weekend sprzedam Irenkę dziadkom, a sama się tam wybiorę je pomalować i ustawić. Ale będzie miała niespodziankę!

Mówię Ci, jestem taka podekscytowana wizją zamieszkania w wolno stojącym domu!

Z trzema pokojami, wielkim oknem w kuchni, ogrodem! Co za niespodziewane luksusy zdarzyły mi się w czwartej dekadzie życia! Oby i mnie trafili się mili nowi sąsiedzi w stylu Twojej Kasi i jej fajnej mamy... Dobre sąsiadki to skarb, wiem to jak nikt. Dla moich – Wandy, Danki, Marzeny i Karoliny na pożegnanie chcę zorganizować coś w rodzaju wieczorku panińskiego. Oczywiście Ty też czuj się zaproszona.

Co przypomina mi, że potem mam wyjść za mąż. A do tego jest mi potrzebna sukienka...

Ten temat nie przypadkiem zniknął ostatnio z moich mejli do Ciebie. Otóż... trochę się martwię.

Jutro pomiary zmodyfikowanej Audrey. Niby raz jeszcze podjęłam próbę odchudzania, ale idzie mi jak po grudzie. Tym razem, by oszukać samą siebie, nie nazywam tej akcji dietą, tylko zwykłym zdrowym jedzeniem. To taki fortel, żeby się nie spłoszyć. Gdybyś Ty wiedziała, jak ja nienawidzę tego wydzielania sobie, wyliczania, co jeszcze można i dlaczego tylko tyle!... Zaraz się spinam i cierpię. Zatem... to, co teraz robię, to żadne odchudzanie, a łatwy do zniesienia plan żywienia. Nie bardzo drakoński, by dało się z nim wytrwać dłużej, unikając efektu jo-jo. Ponoć najważniejsza jest regularność: jeść nieprzesadnie wielkie porcje o stałych porach, w równych odstępach. Wmawiam więc sobie, że to mnie wcale nie kosztuje tak dużo wysiłku, bo mogę wszystko, byleby nie podjadać w przerwach. Rzecz w tym, by te zasady wdrożyć i stosować – nie do końca jakiegoś przyjętego założenia, a na stałe.

Brzmi prosto – ale ja nie daję się tak łatwo oszukać, nawet sobie samej. Chodzę podenerwowana, jeszcze nigdy tak często nie zerkałam na zegarek. Do następnego posiłku zostało mi 47 minut. Czuję, że będą to minuty długie i żmudne jak lekcja matematyki u pani Poznańskiej.

Całuję

Biała Malina. Wychodzi na to, że Morwa.

Od: jaga.jablon@gmail.com

Do: malina_m@malibox.pl

Data: 28.02.2016

Temat: Historia zatacza koło?

I jak, Madziulku, Audrey dopasowana? To naprawdę dziwny i trudny do wyrugowania mechanizm – kobiety upierają się czasem na fasony/kolory/wzory, o których wiedzą, że bardzo im nie służą, lecz nie potrafią im się oprzeć. Ja tak miałam z włosami farbowanymi na kolor zwany oberżyną. Piękna nazwa, barwa też niczego sobie, ale na pewno nie na głowie. Wyglądałam jak topielica, granatowy fiolet podkreślał bladość policzków, piegi nie komponowały się wcale – okropność. A ja tak przez całe liceum, pamiętasz? Z ubrań zaś upierałam się na spodnie z nogawkami równej szerokości, które by optycznie skróciły nogi nawet żyrafie. Lata notorycznych potknięć wizażowych. Dobrze, że uświadomionych. Podsumowując, nie zamartwiaj się, jeśli nie będziesz zadowolona z Audrey. To może być początek udanej metamorfozy – coś wymyślimy.

U mnie bez takich emocji, bardzo spokojnie, choć...

Wczoraj pojechałam z Jerzym odwiedzić jego tatę. W całym tym ferworze, zamieszaniu, roszadach nie nadarzyła się okazja, żebyśmy zostali sobie przedstawieni. Szczerze mówiąc, to niespecjalnie do tego dążyłam. Z jednej strony myślę o sobie (i tak czuję), że jestem wyemancypowaną, niezależną i współczesną kobietą, a z drugiej... jakoś niezręcznie mi było jechać do przyszłego teścia, nie rozwiódłszy się, choć w widocznej ciąży. Ależ te normy społeczne w nas siedzą! No nic, skoro jednak od tygodnia nosimy to samo nazwisko, a za miesiąc przyjdzie na świat jego kolejna wnuczka – czas najwyższy, by się poznać. Dziwiłam się, że nie zjawi się na ślubie, więcej – było mi trochę przykro, ale

Jerzy twierdził, że cywilny węzeł nic dla jego ojca nie znaczy. Liczy się tylko sakrament, przed Bogiem i w kościele. A to już było – tyle tylko, że z tego nadania inni mąż i żona nam przypisani.

Słowem: jechałam bez zbytnej euforii, bo nie liczyłam na bardzo ciepłe przyjęcie, tymczasem...

– A jak właściwie powinnam mówić do twojego taty? – zapytałam, gdy ruszyliśmy w stronę Żoliborza.

– No, chyba „tato”, bo panie Tomaszu jest jednak dość formalne...

– Nie za dużo tych synowych? Twój ojciec pewnie codziennie się za ciebie modli. Za mnie chyba też.

– Mógł się pogubić w intencjach, w których należy się modlić. Czy mam wrócić do pierwszej, prawowitej żony, z którą dopiero śmierć nas rozłączy, a i to nie na długo, bo potem przecież życie wieczne... Ale zostawić inną kobietę, której ciąży jest się sprawcą, też brzydko, jak sądzisz?

– I tu byś się zdziwił. Porządny katolik zawsze powinien wracać do sakramentalnej żony. Sprawdziłam, takie jest stanowisko Kościoła. Twojego ojca też?... Jak myślisz?

– Nie wiem. Aż się boję pytać. – Jerzy puścił do mnie oko.

– Coś może być na rzeczy. Przecież zdecydował się na powrót do pustego mieszkania, a nie na przeprowadzkę do nas.

Przyznam Ci się, Malino, że ta kwestia trochę mnie dręczyła, lecz z drugiej strony uczciwie, sama przed sobą, przyznaję, że wolę takie rozwiązanie. Kiedy Jerzy zapytał, czy zgodzę się, by zamieszkał z nimi jego ojciec, odparłam, że oczywiście, że to naturalne, tak należy, taka rola rodziny. Moje dzieci, jego tata, wszyscy razem, nikt nie czuje się odrażony. Byłam z siebie dumna, że taka jestem odpowiedzialna i szlachetna. Nie mogłam niestety ukryć ulgi, gdy okazało się, że pan Tomasz woli jednak ciszę i spokój, nawet kosztem samotności lub trudnej samodzielności. Ta ulga ciut mi ciąży i trochę zawstydza, bo przecież lubię o sobie myśleć, że jestem dobra. A tu taka rysa.

– Nie przejmuj się tym, naprawdę. To nic osobistego. – Jerzy zaparkował w wąskiej uliczce i poszliśmy.

Ojciec Jerzego był podwójnie elegancki: raz, że wizyta, dwa, że niedziela. Mieszkanie było podobne do jego właściciela. Wszystko tu było na swoim miejscu, solidne, niezmiennane od lat. Paleta barw – od jasnego ugru przez zgaszone czerwienie do ciemnych brązów. Postawne dębowe meble z międzywojnia pachniały pastą do czyszczenia. Dywany w kwiecisto-orientalne wzory już dawno utraciły jędrny włos, lecz nigdzie nie prześwitywały wytarte placki. Błat okrągłego stołu przykryty kołkową serwetą zabezpieczono szybą. Przypominał mi się krakowski dom mojej babci.

– Zrobię wam herbaty, usiądźcie, proszę.

– Tato, tata usiądzie, ja zrobię. – Jerzy podszedł do ojca, kładąc mu rękę na ramieniu. – Wiem, gdzie co jest.

A ja zdrętwiałam. Ostatnią rzeczą, na którą miałam ochotę, było zostawanie sam na sam z nowo przysposobionym i zupełnie obcym teściem.

– Proszę usiąść, pani Jagodo. Czy może pani Jadwigo?

– Jagoda. Jestem po prostu Jagoda.

– A, no tak, no tak, Jagoda. Takiej świętej raczej nie było. Patronki zatem nie masz.

– Tak, świętej nie było, ale przecież obchodzimy – położyłam nacisk na „my” – święto Matki Boskiej Jagodnej.

– Naprawdę? A kiedy to?

– Drugiego lipca. Do lat siedemdziesiątych ten dzień był również świętem Nawiedzenia Najświętszej Maryi Panny, które potem przeniesiono na maj. Tradycja ludowa jednak przetrwała.

Punkcik dla mnie – udało mi się błysnąć wiedzą religijną.

– Całe życie się uczymy... – Pan Tomasz pokiwał głową.

Kiedy usiedliśmy do stołu, gorączkowo się zastanawiałam, czy wybrać wariant wycofany, czy

ofensywny. Milczeć czy opowiadać? Próbować tłumaczyć – co ustawić raczej na przegranej pozycji, lecz może zjednać przychyłność, czy uznać, że to zbyt osobiste sprawy, i zachować dystans, co może wzbudzić respekt, lecz sympatii nie zapewni. I wtedy usłyszałam coś, czego nigdy bym się nie spodziewała:

– Chciałbym ci coś opowiedzieć. – Teść siedział po drugiej stronie stołu, wpatrując się w jakiś punkt na ścianie, który miałam za plecami. – Wiesz, od dwudziestu lat jestem wdowcem. I drugi raz się nie ożeniłem. A przecież bym mógł – przed Bogiem, bez wstydu i grzechu. Ale to by było nieuczciwe wobec Zosi. No bo jakże to tak, spotykamy się, już po sądzie, i ja jej mówię, że jest inna pani? Nie, nie godzi się. Poza tym wiesz, ja tylko ją tak kochałem. Moją Zosieńkę. Była jedna, jedyna. Poznaliśmy się w wakacje, przed wybuchem wojny. Ja miałem osiemnaście lat, ona piętnaście. Śpiewałem w chórze kościelnym i tej niedzieli byliśmy na mszy w jej parafii. Jedno spojrzenie i już wiedziałem, już czułem. Zupełnie jakby mi Pan Bóg powiedział: Tomasz, ona tobie jest pisana. Umówiliśmy się na koniec września, że znowu przyjadę. A zobaczyłem ją po siedmiu latach. Przez cały ten okropny wojenny czas myślałem tylko o niej. Do nikogo tak nie tęskniłem, jak do Zosi. Kiedy przyjechałem do Warszawy w czterdziestym piątym, zacząłem szukać. Słowo tu, słowo tam i udało się. Przez znajomych, po roku. Kiedym ją zobaczył, gdy czekała na mnie na peronie, to myślałem, że... że... ach, że już nic więcej mi nie potrzeba. Że gdybym w tym momencie umarł, to i tak bym był spełniony, bo ją odnalazłem. Pamiętam, jakby to było wczoraj – szary płaszczyk, spod niego wystawała perkalowa sukienka, na szyi apaszka. Zosia tak mocno zaciskała palce na torebce, że aż jej kostki zbieleły...

Ukradkiem obejrzałam się przez ramię, sprawdzając, co tak przykuwało uwagę mojego teścia. Ze ściany patrzyła ładna blondynka w starannie upiętym koku. Miała delikatny uśmiech i lekko skośne oczy. Takie same jak Jerzy.

– Prawdziwa miłość jest raz na całe życie. Dar, Boży dar. Wiem, bo dostałem. Niektórzy pewnie nie dostają, bo się żenią, rozstają, zdradzają. Albo nie szanują – tak właśnie myślałem – nie szanują. Nigdy nie potrafiłem zrozumieć Jerzego, mój syn, a z innej gliny ulepiony. Nie popierałem jego ślubu z Olą, ale rozvodu tym bardziej! Nie rozumiałem, dlaczego wybrał Dorotę, choć już wtedy przestałem o to pytać. Bardzo był dorosły, jego życie. Próbowałem przynajmniej zrozumieć, czego on tak szuka, czego mu brak. I dopiero parę tygodni temu, kiedy mi powiedział, że jesteś ty, że pod sercem nosisz dziecko, zobaczyłem w jego oczach to, co u mojej Zosieńki na tym peronie w czterdziestym szóstym roku. I pomyślałem, że może do niektórych ten dar przychodzi później, kiedy wydają się już całkiem pogubieni... Dbajcie o ten dar, dostaje się go tylko raz...

I wiesz co, Malinko? Mimo że ojciec Jerzego nie zjawił się tydzień temu w urzędzie stanu cywilnego, to właśnie od niego dostałam najlepszy prezent ślubny – tę historię.

Całuję

J.

PS

Dziękujemy z Hanią za łóżeczko!

Od: malina_m@malibox.pl

Do: jaga.jablon@gmail.com

Data: 29.02.2016

Temat: Bridget Jones to przy mnie Lady Diana

Jago,

jaka ładna historia! Jeszcze jeden dowód na to, że nie warto martwić się z góry, bo często potem się okazuje, że do obaw wcale nie było powodu. Mam nadzieję, że poznam kiedyś Twego teścia. Tacy ludzie – konsekwentni w swych wyborach, szlachetni, prawi – budzą mój podziw. A jeszcze, że mimo wieku i silnych, jednoznacznych własnych przekonań wzniósł się na tę otwartość, by przyjąć Waszą

miłość, Wasz związek za dobro – inne dobro, ale jednak dobro – to mu się bardzo chwali. Mógłby wiele nauczyć o tolerancji tych dzisiejszych zaciętrzewionych prawników, z którymi mimo wartości, które niby podzielamy, tak trudno mi się w wielu kwestiach zgodzić.

Nie politykujmy jednak. W żadnym razie nie należy jątrzyć ciężarnej. Zwłaszcza że... na horyzoncie mam Ci jedną złowieszczą nowinę do wyznania.

Otóż... Audrey to totalna katastrofa. W końcu podczas ostatniej przymiarki, przy pełnym świetle obejrzałam w lustrzanym ołtarzyku – wiesz, taki otwierany, wielkie lustro z przodu i dwa lustrzane skrzydła po bokach – bezmiar swej klęski.

Nie wyglądam w niej dobrze. Ani z przodu. Ani z boku. Ani z tyłu. Ani z drugiego boku. Wcześniej optymistycznie poleciłam talię poszerzyć tylko trochę w nadziei, że do niej schudnę. Ale nie schudłam. Mierzyłam więc suknię z otwartym suwakiem. Wylewające się z niego ciało krawcowa taktownie nakryła białą łątką z satyny, by dać obraz, jak suknia może wyglądać ze wstawką.

Źle.

Z przykrótkich rękawów wзираły moje pulchne ramiona. Dekolt najlepiej prezentowałby się odkryty – ale wtedy musiałabym upiąć włosy. A rozpuszczone osłaniają mi nieco twarz. A... hm, wolałabym, żeby osłaniały.

Nawet jej długość jest zła. Łydkom lepiej przysłużyłaby się długość do kostek. Panie w salonie próbowały ratować sytuację, użyczając mi do przymiarki etatowych, salonowych butów na niebotycznie wysokich obcasach – że niby wydłużą optycznie nogę, znasz te triki.

I te buty ostatecznie przypieczętowały rozmiar porażki.

Wiesz, że nie chodzę na wysokich obcasach; no, może poza stabilnymi koturnami. Włożyłam te szpilki i zachwiałam się niebezpiecznie. Były za duże, ale panie przekonywały, że to nic, że noga od razu lepiej, żebym koniecznie sama zobaczyła. Doczłapałam w nich do ołtarzyka. Może i lepiej, tylko co z tego, skoro i tak w takich butach nie ustoję. „Oj tam, to tylko parę godzin, przemęczy się pani” – przekonywała jedna z tych wychudłych panienek. Ja się zaraz wewnątrz poirytowałam, bo nie chcę się na własnym ślubie przemęczać.

– A gdyby tak pokryć wszystko satynowym płaszczem? – wpadła na pomysł trzecia z obskakujących mnie ekspedientek.

Moja irytacja jeszcze podskoczyła – no bo, kurde, mam w tym płaszczu spędzić całą ceremonię?! Ona go jednak przyniosła i przytrzymała nade mną rozłożony, zachęcająco, gotów do włożenia. Ja się odruchowo uchyliłam. Wtedy w sadełko na lewym boku wbiły mi się wszystkie cztery szpilki wpinające łątkę. W takich chwilach reakcja jest nie do opanowania: wrzasnęłam i podskoczyłam – pamiętaj, obuta w za duże szcudła. A że ołtarzyk do przymiarek miał taki podest...

Rąbnęłam o ziemię tak, że wprawiłam w ruch kryształki z żyrandola nade mną – wiem, bo moja pozycja umożliwiała mi dokładny ogląd żyrandola. Chudziny wydały piski i ruszyły mi z pomocą. Za moment stanęłam na własnych nogach, purpurowa i obolała oraz tak wściekła swym upokorzeniem, że czym prędzej przebrałam się w swoje ciuchy, wybąkałam jakieś kurtuazje i się stamtąd zabrałam.

Sukienka pękła pod pachą, ale to bez znaczenia: nie odbiorę jej już i więcej tam nie pójdę.

Słowem – dwadzieścia siedem dni przed ślubem zostałam bez sukienki. Za to z siniakami na pośladkach i czterema dziurkami po szpilkach.

À propos szpilek – butów: jedyna pociecha w tym całym żenującym zajściu, że odłamały się od nich obcasy. Nie będą więcej dręczyć żadnej panny młodej.

Redakcjo, radź.

Potłuczona

Malinko,

sprawdza się stara prawda – dobry przyjaciel zawsze poprawi Ci humor. Uśmiełam się, czytając Twoją relację z salonu sukni ślubnych – jakbym Cię widziała! A tak mało mam rozrywek w końcówce ciąży... No dobra, już się nie pastwię. Jest problem, to trzeba go rozwiązać. Upieram się, że stylistycznie tego dnia powinnaś celować w znacznie starszą epokę. Kochasz delikatną porcelanę, kwiatowe wzory, koronki i haftki. Masz morze czarnych loków, bławatkowe oczy i mleczną cerę. Apetycznie krągłe ramiona, jeszcze apetyczniejsze piersi i brzuch, który nie lubi być ściskany. Wyobraź sobie: mocny dekolt (w kościele będziesz miała pelerynę, zgorzenia się nie obawiaj), odcięcie tuż pod biustem, dalej dość luźno, taki lejący trapez. Buty na średnim obcasie (zdrobienie pasujące tu idealnie – pantofelki na obcasiku). Delikatna biżuteria – perły blisko szyi. Będzie cudnie. Jest tylko jeden problem – gdzie taką sukienkę kupić? W sklepach odzieżowych raczej nie dają, krawcowa od sukni ślubnych może nie zdążyć uszyć, zresztą podejrzewam, że nie masz tyle kasy, bo ta, co była, poszła na nieszczęsną Audrey. No nic. Zrobimy tak: objadę jutro do południa okolicę, może któraś z lokalnych pań krawcowych się podejmie za niewygórowaną kwotę. Przejrzę też Allegro – tam rzeczywiście można kupić wszystko, więc niewykluczone, że i Twoją sukienkę.

Kolejna kartka w kalendarzu przewrócona. W tym miesiącu Ty wyjdiesz za mąż za Staszka, a my z Jerzym powitamy na świecie Hanię. Ależ się wydarzyło przez ten rok! Aż sobie zajrzałam do naszych mejli sprzed dwunastu miesięcy. Czwartego marca 2015 roku pisałam do Ciebie: „Niedziela z Jerzym była upojna. Nie mogę się nim nacieszyć. Po raz pierwszy zachwycam się męskim ciałem, wiesz? Jerzy ma tak przyjemną w dotyku i patrzeniu skórę – miękką, sprężystą, o ładnym kolorze. Pięknie wyrzeźbiony brzuch (to ponoć od młodzieńczego śpiewania w chórze), proste, odpowiednio szerokie plecy. Zadbane, kształtne dłonie – zgrabne (i sprawne), a zarazem męskie. No i twarz – istny Paul Newman! Jest piekielnie przystojny z tą idealnie zarysowaną szczęką. Jestem zrelaksowana, odprężona. I bardzo wiarołomna”.

Zmieniło się, prawda? Nie miałyśmy okazji ostatnio o tym rozmawiać, więc może teraz, nim się zobaczymy. Pamiętasz to moje opętanie z początku znajomości z Jerzym? Szaleństwo i pożądanie. Zakochanie oczywiście też, ale seks... Seks był bardzo istotny. I do tego zawsze w takich wzmacniających ekscytację warunkach: tajemnica, schadzka, hotel, wyczekiwanie. A potem ciąża, trudne początki, a na Słoneczną wprowadziłam się już z lekko wystającym brzuchem. Wydawało mi się, że to się położy cieniem na naszej sypialnianej relacji: kobieta w stanie błogosławionym staje się bardziej Madonną niż kochanką. Jerzy podszedł do tego niezwykle naturalnie. Ba, miałam nawet wrażenie, że dzięki tej ciąży jestem dla niego jeszcze bardziej atrakcyjna. I to kolejna nowość w moim życiu: erotyka w ciąży. Od kilku tygodni żyjemy jednak jak białe małżeństwo – lekarz zalecił wstrzemięźliwość ze względu na ryzyko przedwczesnego porodu. Pocięszył jednak, że w ostatnim miesiącu da dyspensę. Czyli za chwilę...

Wyobraź też sobie, że Jerzy zaofiarował asystę podczas porodu. I tu mi zabił ćwieka. Z jednej strony świetnie, takie zaangażowanie, budowanie więzi z córką od pierwszych jej chwil na świecie, lecz z drugiej... Jeszcze nie okrzepliśmy jako para, jeszcze czasem w swoim towarzystwie zdarzy nam się czuć nieswojo, a tu mam się tak otworzyć. Krew, pot i łzy, często doprawione przekleństwem. Zgodziłam się, ale ziarno niepewności zostało. No i jak potem kontynuować namiętny seks, gdy przed oczami zapamiętane obrazy dosadnej fizjologii? A Ty co byś zrobiła?

Ściskam Cię

Twoja J.

PS

Wypatruj listonosza!

Od: jaga.jablon@gmail.com

Do: malina_m@malibox.pl

Data: 3.03.2016

Temat: Kochaj przyjaciółkę swoją!

Czarne chmury, które zebrały się nad Twoją ślubną sukienką, chyba uda się rozgonić! Już Ci mówię jak: zapytałam sąsiadkę Kasię, czy poleca jakiś zakład krawiecki w okolicy – mieszka tu od ponad piętnastu lat, więc miałam nadzieję, że coś mi/nam doradzi. Od słowa do słowa i Kasia zaproponowała, by porozmawiać z jej mamą, bo może suknię uda się... wypożyczyć! Zadzwoiła do niej i okazało się, że w magazynie teatru są suknie ze *Ślubów panińskich* – kojarzysz, prawda? W sobotę po piętnastej mogłybyśmy pojechać i pomierzyć? Spróbować warto! Przy okazji byśmy się spotkały i nacieszyły końcówką mojego wolnego czasu – rzadko się ostatnio widzimy, brak mi tego.

Od: malina_m@malibox.pl

Do: jaga.jablon@gmail.com

Data: 3.03.2016

Temat: Najlepszy prezent

Ślubna sukienka z teatru?... No, to jest zgrywa na miarę mojego barwnego (ostatnio) życia – ironizuję, bo sama nie wiem, co o tym myśleć – czy jest sens się łudzić, że coś tam znajdziemy, czy jestem człowiekiem małej wiary?... Z braku lepszych pomysłów jednak – tak, jedźmy tam oczywiście. Gdyby coś się udało niekoniecznie operetkowego wynaleźć, byłby to dla mnie najlepszy urodzinowy prezent.

Wesoła Wdówka

Tfu, Rozwódka

A właściwie to Niewesoła Panna Młoda

Od: malina_m@malibox.pl

Do: jaga.jablon@gmail.com

Data: 4.03.2016

Temat: Urodziny

Jagusi!

Dziękuję Ci za prześliczną kartę urodzinową i życzenia, jak to u Ciebie, zwarte, krótkie, a trafiające w punkt! Trzeciego dnia trzeciego miesiąca skończyłam trzydzieści sześć lat.

Urodziny wypadły mi w czwartek: dzień naszego przenajświętszego posiedzenia redakcji. Wiesz, że w te dni trudno wyjść z pracy równo o siedemnastej. Czy mi się to podoba, czy nie, na zebraniu muszę tkwić do końca. Nie, żebym była tam jakąś superważną personą, lecz jako sekretarz redakcji mam przecież na zebraniach dwie misje: puszczenie slajdów z makietą aktualnego numeru pisma oraz robienie notatek z uwag obecnych.

Powiem Ci, że te czwartki wciąż przyprawiają mnie o palpacje i nerwowe skubanie skórek wokół paznokci. Sklecenie w całość makiety z materiałów przesyłanych przez poszczególne działy graniczy z cudem. Nikt nie dotrzymuje terminów sam z siebie. Trzeba je wychodzić, wyegzekwować prośbą lub groźbą, lecz jeśli prośbą, to nie nazbyt służalczą, by nie straciła nic ze swej skuteczności, a jeśli groźbą, to z wyczuciem, by dostać porcję artykułów, a nie kwaśnych złościwości od urażonych redaktorek („czy

ona sobie za dużo nie pozwala?...”). Pamiętam moje pierwsze zebranie, we wrześniu, zaraz po podjęciu tej pracy. Gdyby nie moja poprzedniczka, nieoceniona Krysia, która odfajkowała jedną porcję roboty na zaś, poległabym na całej linii. Przygotowania do drugiego czwartku mojej kariery sekretarza przemyślnie zaczęłam już w poniedziałek. Niestety spotkało się to z falą krytyki. „Zwariowałaś? Skąd ja mam ci dzisiaj dać content? Dziś to ja go dopiero zlecam na mieście!” – ofuknęła mnie Sindi od kosmetyków. Właściwie wszystkie redaktorki zareagowały podobnie. Do dziś przygotowywanie materiałów na zebranie wciąż mnie stresuje. Zarazem zachodzę w głowę, jak to możliwe, żeby styl pracy w miesięczniku różnił się tak przepastnie jak „Być Kobietą” od „On Żyje”?

„On Żyje”, kiedy to było!... Gdy się jest szczęśliwym, czas niewiarygodnie przyspiesza.

W tym roku z okazji urodzin przyznałam sobie dwie dyspensy:

Po pierwsze żadnej diety – tak, mimo spektakularnego porzucenia mrzonki o Audrey siliłam się jeszcze ostatnio na niejedzenie – na wypadek gdyby przyszła suknia też lepiej prezentowała się na dobrej figurze. Ale urodzinom należy się tort i basta.

Po drugie żadnych cholernych łyżew! Przed narzeczonym wymówiłam się nieobliczalnym czasowo zebraniem – zresztą słusznie, bo skończyło się w pół do siódmej! Zaprawdę, bezduszne korporacje nie hołubią mam małych dzieci... Ircię z przedszkola odebrał Staś. Wyprowadzili razem psa, posprzątali i ustawili na stole duży bukiet różnokolorowych tulipanów. Gdy dotarłam, w progu przywitała mnie ostra woń czosnku, sera, pomidorów – no i rzecz jasna Ircia z przyszywanym tatą. Ci ostatni osaczyli mnie przy samych drzwiach, śpiewając *Sto lat* i wlepiając buziaki. Następnie Stasiak poszedł z tajemniczą miną do kuchni, a Irenka powiodła mnie do stołu.

– Chodź, tu, chodź, kochana nasza mamusiu – zachęciła z chytrym uśmieszkiem sprzedawcy szemranego towaru. – Pooglądaj sobie kwiatki, pocieszaj się... Bo wiesz – zwierzyła się konspiracyjnie – muszę cię tu pozatrzynić, żebyś nie poszła do kuchni.

– A dlaczego mam nie iść do kuchni? – zapytałam podstępnie.

– Bo tam się pieką dla ciebie pizzowe placuszki! – Poczciwy Irysek dał się podejść bez najmniejszego trudu. – Sami je lepiliśmy ze składników!

Niebawem mistrz ceremonii Stanisław wniósł do pokoju całą stolnicę słynnych wyrobów. Każdy z pizzowych placuszków miał serową twarz, wesołą keczupową minę i oczy z czarnych oliwek.

Fajnie, prawda?

A teraz nawiążę nieco do Twojego mejla.

– Po tak ekskluzywnej kolacji zapraszam państwa na tort! – oznajmiłam i ruszyłam na balkon po specjał, który obmyślałam już od tygodnia, a miksowałam, siekałam, piekłam i nasączałam w przededniu urodzin do późna.

Prezentował się wspaniale. Miał siedem warstw, licząc przełożenia, dwanaście centymetrów wysokości i przybranie z plastycznego lukru.

– Ja poproszę maksymalny kawałek! – poprosiła moja nieodrodna pierworodna. Niedaleko pada jabłko...

– Ja też! – zachichotałam.

– A ja tylko symbolicznie – zastrzegł Stasiak. – W kwestii słodyczy zdecydowanie przedkładałam nad inne to moje ciasteczko. – Spojrzał na mnie wymownie, a moje myśli skutecznie gonił jak chomik w kołowrotku.

Bo widzisz, wtórny ślub wtórnym ślubem, postęp postępowaniem, nowoczesność nowoczesnością – a ja mam ciągle obiekcje na temat przedślubnego seksu. Pęknieś ze śmiechu, wiem – w końcu byłaś jedyną powiernicą moich zeszłorocznych (s)ekscesów z Wiktorem. A jednak coś mi każe traktować tamto jako występki, odstępstwo od reguły, a to teraz – z prawdziwym narzeczonym, który ma wobec mnie sprecyzowane plany na większy kęs życia – jakoś tak przyzwyczaję. Czy to ma sens? Książdz powie, że oczywiście tak, Ty – że oczywiście nie. A pośrodku tego wszystkiego ja, która przecież, jeśli mam

być szczerą, lubię niespodziewane pomysły Staszka. I lubię z nim być. I lubię...

I co? Jak żyć???

W dzisiejszy, jeszcze ciemny ranek przeciągnęłam się rozkosznie i spojrzałam na zegar na stoliku. Tak najbardziej uwielbiam się budzić: jako pierwsza i kwadrans przed budzikiem. Mam wtedy kilka cennych chwilek na moje rytuały: krótki pacierz, wspomnienie, co mi się śniło, pomyślenie, w co się ubiorę i co zrobię na śniadanie, oraz ułożenie z grubsza planu dnia. Ostatnio do zestawu dołączyła jeszcze niewinna ekstrawagancja: moment wsłuchania się w siebie i sprawdzenie, w absolutnej szczerości, sama przed sobą, czy TO trwa.

Tego ranka badanie zajęło tylko momencik, a diagnoza znów była nader pomyślna:

– Jestem bardzo szczęśliwa – orzekłam z ukontentowaniem.

To co, Kochana Moja? W jakim zestawie wpadniecie jutro na tort? Sugeruję nie zwlekać, bo zjadłyśmy już z Iryskiem prawie połowę! Może – najpierw polowanie na sukienkę w teatralnej garderobie, a potem – na wiwat lub na otarcie łez – tort u mnie?

Niezależnie od składu i nastroju zaszyjemy się gdzieś na boku i przegadamy tę kwestię rodzinnego porodu.

Całuję!

Jubilatka

Od: jaga.jablon@gmail.com

Do: malina_m@malibox.pl

Data: 8.03.2016

Temat: Od seksu do porodu. I z powrotem

No i jak, Malinko? Nie spodziewałaś się takiego efektu, prawda? Ja właściwie też, po czasie mogę Ci się przyznać. Wzruszyła mnie propozycja sąsiadki, lecz oczami wyobraźni widziałam zatęchły magazyn, będący oazą dla moli. A tu proszę! Wyglądałaś re-we-la-cyj-nie! Fason wymarzony dla Ciebie – dekolt z tymi drobniotkami zaszywkami i marszczeniami, pięknie układający się dół: kobiecość i romantyzm, żadnego wyuzdania. Subtelne dodatki w pudrowym różu – tasiemka pod biustem i skromna koronka na rękawach. I ta narzutka – wełniana nić utkana jak misterna pajęczyna. Bardzo to wszystko w Twoim stylu: retro. No i do charakteru pasuje – niby bierzesz drugi ślub, a ideały panieńskie zachowujesz. Podziwiam Cię za to. Ja bym nie potrafiła zrezygnować z seksu z Jerzym w imię wyższych wartości. Może kręgosłup moralny mam skrzywiony? A może wreszcie w moim związku seks odgrywa ważniejszą rolę? Z Tobą i Wiktorem było podobnie, pamiętam przecież erotyczny amok, w jaki wpadałaś. Ze Staszkiem jest inaczej. Kiedy na was patrzę, widzę spokój, stabilizację, ciepło, opiekuńczość. Iskrzy jednak mniej. Też to czujesz, prawda? Nawet się zastanawiałam, czy przestrzeganie zaleceń Kościoła w sprawie wstrzemięźliwości właśnie z tego powodu nie idzie Ci łatwiej niż z Wiktorem, gdzie nie szło całkiem... A piszę to po wczorajszej nocy, pierwszej od kilku tygodni, gdy mogliśmy się kochać. Nie sądziłam, że w zaawansowanej ciąży – trzydziesty ósmy tydzień! – mogę się czuć tak kobieco, tak seksownie. Trochę jeszcze nie umiem tego przyswoić, tak głęboko mam wdrukowany podział na sferę sacrum: macierzyństwo, stan błogosławiony, wręcz aureola, a sferę nieokiełznanej seksualności, która wyklucza ciążę, dzieci, a nawet małżeństwo. Ta moja rewolucja mentalno-fizyczna wciąż trwa.

Masz rację, jeśli facet sam, bez nakłaniania, chce być przy narodzinach swojego dziecka, dobrze mu na to pozwolić. Zatem postanowione: Jerzy będzie asystował. Jakiś lęk temu towarzyszy, bo to w pewnym sensie sprawdzian dla naszej jeszcze nieokrzepniętej relacji: jak się zachowa/zachowamy, czy to nas zbliży jeszcze bardziej, czy może wręcz przeciwnie? Podskórnym czuję, że będzie dobrze.

A z zupełnie innej parafii, bo nie zapytałam Cię o to: nie wiesz nic o zmianach w firmie? Wczoraj dzwoniła do mnie Beata zapytać, jak się mam, kiedy poród i czy życie mi się dobrze układa. Ona rozstała

się z naszym szefem, łyzy już obeschły, bo i tak ten związek nie miałby przyszłości – żona wygrała tę bitwę. A teraz okazało się, że Troglodyta dostał propozycję pracy w oddziale w Krakowie, jako szef segmentu książek – awans można powiedzieć, lecz prawdziwym celem jest wyrwanie go z Warszawy, byle dalej od potencjalnie groźnej ekskochanki. Przedsiębiorcza żona to ponoć załatwiła (jej brat jest w zarządzie koncernu). Jeśli tak, to kto przyjdzie na jego miejsce?... Nie to, żebym go lubiła, ale był bezproblemowym i mało inwazyjnym szefem. A tak to będę musiała poznać kogoś nowego po powrocie z urlopu macierzyńskiego. Byle to był facet – w takich miejscach jak nasza firma największym wrogiem kobiety jest druga kobieta. Wysuń zatem nos z tej swojej dziupli i idź na jakieś ploty.

Całuję

J.

Od: malina_m@malibox.pl

Do: jaga.jablon@gmail.com

Data: 10.03.2016

Temat: Dylematy panny (nie)młodej

Jagódko, Moja słodka i dobra Przyjaciółko!

Moja ślubna sukienka jest zachwycająca. Nie spodziewałam się, że kiedykolwiek wystąpię w czymś tak... stylowym... romantycznym... tak niezwykle do mnie pasującym! Czuję się piękna i czuję, że to będzie piękny ślub. Miałam wczoraj znamienny sen na ten temat. Idę do feralnego salonu mody ślubnej – tego, w którym kupiłam Audrey. Jestem ubrana w tę suknię z teatru, na głowie mam bardzo duży wianek. Idę pewnie, wręcz kroczę – stoję przed ołtarzykowym lustrem, przyglądam się sobie we wszystkich trzech lustrzanych taflach – i wyglądam pięknie. Z przodu. Z boku. Z drugiego boku.

Naraz tupię pantofelkiem i podest ołtarzyka znika. Znika też salon, a ja teraz kroczę wprost po łące na spotkanie ze Staszkiem – on już tam stoi na ścieżce i czeka uśmiechnięty, z rozpostartymi ramionami, gotów, by mnie objąć i przytulić. Staszek, ale ubrany jak pan Darcy z *Dumy i uprzedzenia*; sen zadbał o to, by Stach do mnie pasował.

Co do symboliki tego snu, jestem pewna, że podest ołtarzyka w istocie pogruchotał kamień, który mi spadł z serca wraz ze zmartwieniem, w czym wystąpię. A wszystko to dzięki Tobie!

Jesteś wielka.

Senna scena z łąką przywiodła mi na myśl pewne nie tak odległe wspomnienie – z inną łąką, z innym panem, nie tak niewinne i... nie we śnie przeżyte. Od niego z kolei skierowałam się myślą ku Twojemu zwierzeniu o seksie z Jerzym.

Otóż, Przyjaciółko, pod względem zmieszanych uczuć nie ma trudniejszej drogi niż współczesny katolik po przejściach. Mówię Ci to ja – która naprawdę, jak przecież wiesz, co nieco już przeżyłam.

Weźmy tylko tę jedną kwestię: seks.

Mam trzydzieści sześć lat. Miałam męża, z którym mam dziecko. Miałam kochankę – i wyjąwszy zeszlóroczną scenę z łąką, na ten wątek, pozwól, spuszczę chwilowo zasłonę milczenia. Teraz mam narzeczonego. Ten nasz związek także już skonsumowaliśmy, w czym Staszek się rozsmakował i chętnie konsumowałby dalej – tymczasem ja czuję się spętana dobrze wbitymi do głowy zakazami. Te zakazy – sumienie? moralność? – nazwij to jak chcesz, odbierają mi całą radość zbliżenia. Zaraz włącza się poczucie winy, zawstydzenie, żal, że tak wiele od Boga dostaję, a nie umiem wytrwać we wstrzemięźliwości. Zapanować nad popędem, „wołać ciała”. Przecież przygotowujemy się do ślubu, a nawet, ze względu na Staszka (ślub to jego debiut!) chodzimy na nauki przedmażeńskie. Tam słuchamy, by tych popędów właśnie nie słuchać. W końcu – choć to wcale nie najmniej ważne – będzie się trzeba z tego spowiadać. Czyli w grę znów wchodzi wstyd, jakże nielubiane uczucie.

Próbowaliśmy o tym rozmawiać, ale żadne nie umiało do końca przekonać drugiego. Jemu to się

wydaje nielogiczne: i tak już nie jestem dziewczyną, a on prawnikiem, więc po co udawać, że jest inaczej? Co za różnica, ile razy zgrzeszymy? Ja objaśniam, jak to widzę ze swojej, kobiecej strony:

– Dostałam drugą szansę. Nie chcę przegiąć.

– Jakie „przegiąć”? – pyta on.

– No nie wiem, nadwerężyć cierpliwości Pana Boga?...

Nie umiem tego jasno wytłumaczyć. Nie wspominając o nie tak odległych zaleceniach zbliżeń li i jedynie w celach prokreacyjnych.

Mówię Ci, Jago. Dobrze, że ten ślub już niebawem, bo coś mi się zdaje, że związki niesakramentalne to jest dla ludzi wierzących naprawdę trudne doświadczenie. Jeśli się ma prawa wpojone tak mocno jak, nie przymierzając, ja, to one się tam z pewnością dobijają o swoje, o ich respektowanie. A respektować się nie da – bo już się wybrało inaczej, założyło się nową rodzinę, może powołało do życia dzieci. Na pozór może jest świetnie, lecz w sercu coś nie gra. Nie przystępuje się do spowiedzi, do komunii. Nie w pełni uczestniczy we mszy. Nawet w wielkie święta stoi się w nawie bocznej niczym zatwardziały grzesznik, choć przecież jedynym grzechem jest to, że po nieudanym związku pokochało się drugiego człowieka.

To jest dramat, Jago, wiesz? Łatwo się czuć wtedy gorszym od tych „praworządnych”. Można te wyrzuty i braki zagłuszać, udawać, że traktuje się je lżej niż w rzeczywistości, a jednak w głębi duszy to jest ciągle rozdarcie między naturalnym ludzkim dążeniem do bycia z kimś blisko, kochania i bycia kochanym a tęsknotą za komunią z Bogiem.

Jak Kościół to może „rozgmatwać”, nie popadając w udawanie, że problemu nie ma?... Bo jest. I to wcale nie marginalny.

No i widzisz, z jednego problemu zaraz wyłania się drugi. Teraz ten mój „rozwód” kościelny. Wiesz... Mimo wszystko, mimo całej powagi instytucji Kościoła, w której nieomylnieść winnam wierzyć – czuję się, jakbym miała nielegalne papiery: jakiś szemrany wtórnik albo etykietę zastępczą. Podróż przez życie z lewym paszportem. Akurat historia mojego małżeństwa księdza oficjała przekonała – a jak wynika ze statystyk, wiele innych historii, równie albo i bardziej dramatycznych niż moja, powierzonych mu ufnie i w nadziei na pomyślne rozstrzygnięcie – nie. Może ja swoją opisałam przekonująco, składnie i literacko, bo mam do tego dryg, a inni nie? I tylko to zadecydowało? Albo ksiądz był cięty na takich bawidamków jak Maciej, bo jako chłopak zawsze im zazdrościł luzu i podejścia do dziewczyn? Uznał go więc za niedojrzałego do sakramentu małżeństwa w nieświadomym odwecie za własne dziecinne porażki?...

(Czy będę się musiała spowiadać z tego, że tak myślę?...).

Nie wiedzieć czemu w kwestii ślubu nie czuję się też zbyt komfortowo przed dalszą rodziną. Obawiam się, że za plecami mogą mnie obmawiać; że cała ta sytuacja z dwoma ślubami kościelnymi może wydaje im się kuriozalna, a nawet komiczna. Wobec tego nie rozgłaszam specjalnie nowiny, nie jeżdżę z zaproszeniami; przyjęcie weselne będzie kameralne.

Jedna jeszcze rzecz mnie niezmiennie zasmuca: niemożność Twojego świadkowania. Z tyłu głowy mam wciąż niedopuszczane do głosu, niemiłe przeświadczenie, że moja siostra Joanna pasuje do tej roli jak pięść do nosa. Czy wiesz, że ona wciąż potępia mój rozwód z Maciejem? Odnoszę wrażenie, że ten rozwód odebrała jak coś w rodzaju fanaberii, a wręcz brewerii młodszej siostry. Bardzo lubiła Maćka – pasowali do siebie pod względem pewnej zasadniczości, chłodnego oglądu rzeczywistości i całkowitego braku poczucia humoru. Stasia widziała raz i z tego spotkania pozostało mi przykre uczucie, że nie traktowała go poważnie. A dla Joanny liczy się wyłącznie poważne traktowanie.

Ech, Jagulcu. Co to się tak rzewnie zrobiło? Przecież jestem taka szczęśliwa, takaszcześliwa...

Szukam dziury w całym – czy to nieodłączna część naszej kobiecości to wsłuchiwanie się w siebie i w największym nawet szczęściu wyczuwanie cieniutkich igiełek smutku?...

Ściskam Cię. Dbaj o siebie.

Malina

PS

Co do zmian w firmie – powęszyłam, popytałam (w tym celu wypiliśmy dwie nadprogramowe kawy, moje palpacje podrygują nerwowo na Twoim sumieniu!) i wiem! Otóż Troglodyta faktycznie odchodzi, ponoć już z końcem kwietnia. A jego miejsce, jak się zarzeka nasz artystyczny Jacques, ma zająć Jowita. Nie wiem jednak, czy mu wierzyć – przecież dopiero co dostała Twoją działkę, w dodatku pracuje zdalnie... Czy w świecie kolorowych pism zmiany stanowisk mogą zachodzić tak szybko?...

Od: jaga.jablon@gmail.com

Do: malina_m@malibox.pl

Data: 11.03.2016

Temat: Życie i seks

Malinuś,

a to wieści! Miesiąc temu Troglodyta informował mnie, że na czas mojego urlopu macierzyńskiego Jowita będzie odpowiadała na listy, a teraz okazuje się, że będzie odpowiadała za coś zupełnie innego. Dziwiłam się wtedy, że oddaje etat kierownika, ale teraz jasne, że to była tylko króciutka rozbiegówka do czegoś większego. Od razu zadzwoniłam do Beaty, żeby ją o to podpytać – jest bardzo zorientowana w zakulisowych gierkach. I co się okazało? Że Jowita to bardzo dobra znajoma żony Troglodyty! Znają się ze studiów; jedna poszła w korporacyjne kariery, a druga w rodzenie dzieci, ale kontaktu nie zerwały. „To zresztą znak rozpoznawczy Jowity: podtrzymuje wszystkie kontakty, które mogą się opłacić” – tak ją Beata podsumowała. Ewidentnie jej nie lubi. Nazwała ją „korporczołgiem bez sentymentów”. No nic, zobaczymy, jak się sytuacja rozwinie. Obserwuj i informuj. Ciebie to przecież bardziej dotknie – ja przez rok będę w przyjemnej odległości od firmowych spraw. Zawilóści świata wielkich firm dopiero się przed Tobą odkrywają. I uwierz, że ta sytuacja to żadne ekstremum. Nie takie rzeczy się tu dzieją.

Jestem bezradna w kwestii Twoich moralno-kościelnych rozterek. Wydaje mi się, że ulegasz temu głosowi religijnego obowiązku, bo od dziecka Ci mówiono, że tak należy. Pamiętam Twoją srogą i zasadniczą babcię, która prowadziła Cię na niedzielne msze, majowe nabożeństwa i odmawiała Anioł Pański. Wsiąkłś w to, Malino, znacznie bardziej niż ja. Moja mama była bardzo wierząca, ale przeżywała tę swoją wiarę w osobisty, nienarzucający się sposób. Przejęłam ten wzorzec, oparty zdecydowanie bardziej na bezpośrednich kontaktach z Nim niż z Jego ziemskimi przedstawicielami. W naszym katolickim kraju rosłam sobie jak zabłąkana owieczka, której żaden pasterz nie zaganiał do stada. Aż wyrosłam na krnąbrnego barana. Ni cholery pojąć nie mogę, czemu miałabym sobie odmawiać seksu z człowiekiem, którego kocham i z którym chcę mieć dom. I żeby jeszcze z tego „grzechu” miał mnie rozliczać niespełniony/nieuczestniczący w tej sferze życia ksiądz. Ileż dramatów bierze się z próby rygorystycznego kontrolowania seksu przez Kościół. Ech...

Nie pomogłam, prawda?...

A na razie wielkie odliczanie. Do terminu porodu szesnaście dni. I tyle samo do Twojego ślubu. Wczoraj sprawdzałam – jak się uprę i wciągnę (ha, ha, ha!) brzuch, to wcisnę się w swoją ślubną sukienkę i przyjdę zobaczyć, jak wiążesz swój los ze Staszkiem. No chyba że akurat będę na porodówce. Jak obstawiasz?...

Zmęczona jestem już mocno. Nie przytyłam dużo, bo zaledwie osiem kilo, a czuję się, jakbym dźwigała gigantyczne ciężary. Jerzy zrobił mi wczoraj masaż pleców – ma ręce, które leczą! Serio. Kiedyś, parę lat temu, mocno interesował się technikami masażu. Wtedy to była taka fanaberia znudzonego życiem dyrektora. Podobało mu się jednak. Zwłaszcza że Marysia i ojciec, na których trenował, twierdzili, że ma do tego talent. I zdaje się, że temat właśnie wraca. Wiesz, ten nowy biznes nie idzie tak oszałamiająco, jak oczekiwali właściciele, mimo że Jerzy bardzo się angażuje – pracuje po

dwanaście godzin na dobę. Cóż, pensja jest w sporej części prowizyjna... Moja za chwilę się zmniejszy o dwadzieścia procent, a wydatków przybywa. Przyznam Ci się, że nie znałam wcześniej takiej prozy życia – panie doktorowe raczej nie patrzą na ceny w sklepach. A teraz... No nic, pogadamy, gdy się zobaczymy. Niedziela aktualna? Przy okazji dałabym Ci moje zwolnienie, podrzuciłabyś Ewie do naszej poczty wewnętrznej z managementem.

Uściski od wieloryba

J.

Od: malina_m@malibox.pl

Do: jaga.jablon@gmail.com

Data: 11.03.2016

Temat: Mały remoncik

Serwus, Wielorybie!

Ciekawe, kiedy w końcu się przepoczwarzysz z Wieloryba w Mamę Kangurzycę? Tylko mi nie podbierz terminu dwudziesty siódmy marca! Wyjaśnij jakoś Hani, że albo tuż przed, albo tuż po. W ostateczności – spektakularna jazda na porodówkę wprost z naszej sali weselnej! Swoją drogą czy wozisz już wszędzie ze sobą spakowaną do szpitala torbę?

Co do niedzieli obawiam się, że może nam przepaść. Nabrałam wielkiej ochoty, by odrobinę odświeżyć u Stasia. Dziś wieczorem jedziemy wybrać kolory farb do pomalowania pokoi; meble, które kupiłam przez internet dla Irenki, stoją już u niego i czekają na pomalowanie (zapomniałam Ci chyba powiedzieć? – są śliczne, tyle że brązowe. A chciałabym białe. Trzeba przemaalować). Słowem – Ircia wędruje na dwa dni do dziadków, a ja z Carlosem przenoszę się do Stasia na mały remoncik. Pełen pokus, niestety... – aż miałam także pokusę, by wziąć Iryśka, by ich uniknąć – wiesz, o co chodzi. Z drugiej strony myśl o spędzeniu z narzeczonym dwóch pełnych dni, choćby i w ferworze malowania, jest wręcz ekscytująca.

Cholerne rozterki.

No nic. Tak czy siak niedziela nie wypali. Może któryś dzień w tygodniu, co?

Ucałowania!

Malina

Od: jaga.jablon@gmail.com

Do: malina_m@malibox.pl

Data: 14.03.2016

Temat: Wicie gniazda

Moja Ma,

jak po weekendzie? Ściany i meble wymalowane? Ja też zajęłam się pracami dekoracyjno-domowymi. Jerzy skręcił łóżeczko po Irence, ja powlekłam pościel, ułożyłam kocyk, pieluszki, kaftaniki. Wyprałam pokrycie nosidełka, sprawdziłam, czy gondola dobrze się mocuje na stelażu wózka. Wyciągnęłam z szafy torbę podręczną i spakowałam się do szpitala. Jestem gotowa na przywitanie Hani. Skończył się trzydziesty ósmy tydzień, więc w każdej chwili może nastąpić godzina zero. Chyba zaczynam się denerwować. Tyle już w życiu pozmieniałam, rozwiodłam się i wyszłam za męża, przeprowadziłam się, ale czuję, że narodziny Hani będą przypieczętowaniem tego nowego życia. Punkt ciężkości przesunie się z nas, mnie i Jerzego, w stronę rodziny. Nie będziemy już parą, będziemy wspólnotą. Z jednej strony trochę mi żal, że nie spędziliśmy więcej czasu tylko ze sobą, ciesząc się swoją miłością, ale z drugiej – jestem szczęśliwa, że los (niech Ci będzie: nasza niefrasobliwość) zdecydował

o ciąży. Mam nadzieję, że pojawienie się Hani na świecie będzie dobre także dla Matysi i Jeremka. Może przestaną tak o wszystko rywalizować, gdy pojawi się ktoś trzeci i wejdzie między nich? A może się zakumplują i będą trzymać sztamę? No i Jerzemu się to przysłuży: łatwiej akceptować cudze dzieci, gdy masz swoje, zwłaszcza wymagające nieustannej troski.

Rozbieram sobie tę sytuację na części pierwsze, przyglądam się, analizuję i mam przeczucie, że wszystko idzie w dobrym kierunku. A mimo to dopadają mnie lęki. Teraz przede wszystkim o szczęśliwy finał – żeby Hania się urodziła zdrowa. Robiłam te testy dla dojrzałych matek, ale ziarno niepewności jest. Wczoraj wieczorem przeglądałam komórkę, czyściłam pocztę, zdjęcia i SMS-y. Natknęłam się na starą wiadomość od Doroty: „Dziecko w tym wieku to ryzyko. Gratuluję odwagi”. Zrobiło mi się nieswojo. Wiem, to było pisane w złości, miało mnie dotknąć, zburzyć spokój. No i znowu mną szarpnęło. Miałam potem przedziwny i mroczny sen. Stałam na polanie zalanej słońcem. Błękitu nieba nie zakrywał żaden obłok. Płowe trawy delikatnie się kołysały trącane wiatrem. Wąska ścieżka, wydeptana między nimi, prowadziła do lasu, który wabił ożywym chłodem. Trasa wiodła lekko pod górę, więc dostałam zadyszki. Uroki ciąży, pomyślałam. Krótki oddech, szybsze zmęczenie. I wtedy zobaczyłam zielono-fioletowy pas oddzielający ścianę lasu od jasnej połaci traw. Jagody, morze jagód. Krzaczkę wyglądały jak plastikowe – duże, z mocnymi listkami, które błyszcząły, jakby je ktoś nawoskował. Ciemne, prawie granatowe skórki zapowiadały soczysty i słodki miąższ. Nachyliłam się i zaczęłam zbierać owoce; palcami lewej dłoni odrywałam je od gałązek i przekładałam do dłoni prawej, z której robiłam koszyczek. Chciałam poczuć pełnię smaku. Nie jedną, pojedynczą jagodę na języku, a od razu ich garść. Podniosłam rękę do twarzy, lekko odchyliłam głowę i rozprostowałam palce, pozwalając, by owoce wpadły do buzi. Z przyjemnością rozgryzłam pierwszą jagodę, uwalniając jej aromatyczny zapach. Cudowne, po prostu cudowne! Nagle zalała mnie fala strachu. Dzikiego, wręcz zwierzęcego. Którego mamy dzisiaj? Wczoraj zmieniłam kartkę w kalendarzu, czyli jest już lipiec. Pierwszy dzień lipca. Boże, och, Boże. Nocą wieśniaczki jej śpiew słyszą we śnie, wieść, aby jagód nie jadły przedwcześnie. Każdą jagodę z ust matce odjętą, da zmarłym dziatkom Panna w jagód święto... Jak mogłam zapomnieć!? Przecież kobietom w ciąży do drugiego lipca nie wolno jeść leśnych owoców: malin, jagód, poziomek. Tylko ta wstrzemięźliwość gwarantuje wydanie na świat zdrowego dziecka.

Obudziłam się zlaną potem. Przez chwilę byłam jeszcze po tamtej stronie – wciąż czułam zapach jagód, a serce boleśnie miotano się między żebrami.

Lęki zawsze Cię dopadną, choćbyś je zepchnęła w najciemniejszy róg psychiki. Na to może pomóc tylko przyjaciółka. Kiedy wpadniesz?

Jagoda u kresu

Od: malina_m@malibox.pl

Do: jaga.jablon@gmail.com

Data: 15.03.2016

Temat: Coś, czego nie ma, i coś o szczęściu

Droga Jagodo!

Kiedy po szczęśliwym roku urlopu macierzyńskiego wrócisz do pracy, obejmiesz z powrotem swoją miłą rubrykę listów od czytelniczek i pewnego dnia któraś z nich Ci się zwierzy, że planują z mężem mały remoncik, więc może im doradzisz, co jest modne – przestrzeż ją solennie: nie ma małych remoncików. A zasada „lepsze jest wrogiem dobrego” uparczywie znajduje swoje zastosowanie, gdy się już w remoncik pochopnie zabrniesz.

Przemaalujesz ściany – zaraz Ci się wyda, że na ich tle reszta wnętrza wypada jakoś słabo. Wszystkiego naraz nie zmienisz (dla przypomnienia: mały remoncik!), więc zaczniesz się przyglądać, co jeszcze da się ulepszyć. Możesz zmienić kontakty i przełączniki światła, zwłaszcza jeśli stare są poźółkłe

albo poszarzałe. Możesz pomalować drzwi i stare ramy okien, z tych samych powodów – acz jeśli akurat jest zima, masz niezłą wymówkę, by tego nie robić. Ale nie bój, nie bój – idę o zakład, że znajdziesz coś w zamian! Oknom dasz świeżą firankę, a bacznej krytyce poddasz listwy i framugi. Może wystarczy je doszorować, a może w trakcie szorowania ostatnia warstwa starych farb naraz zacznie się łuszczyć i odpryskiwać?... No cóż, warto było spróbować.

Kiedy listwy i framugi stanowią już spójną całość ze ścianami, spostrzegasz wyraźnie, że do nowych ścian, a już na pewno do firanki nie pasuje zasłona. Zmienisz zasłonę (zakładając, że masz jakąś na zmianę), a oczyma wyobraźni już widzisz doskonale dobrane do niej poduszki. No i dywan... Bo deski są oczywiście piękne, ale mały dywan pośrodku ogromnie by dodał przytulności... A gdyby tak jeszcze dać drugą młodość meblom, zmieniając gałki szafek na nowe?... A wiekowy żyrandol? Niby ładny i z tradycjami, ale... Dajmy szansę losowi: zdejmujemy go do umycia. A nuż się stłucze i będzie świetna okazja, by kupić nowy?

Założmy, że do dyspozycji masz tylko weekend. Założmy, że jest w końcu niedziela wieczór. Po entuzjastycznej, pełnej sił robocie w sobotę oraz nielegalnej dla katolików roboczej niedzieli docierasz do kresu dnia. Umęczona, z odrapanym lakierem na paznokciach, ze skórą dłoni suchą od wyżymania szmat (dlaczego, u licha, mały remoncik implikuje tyle sprzątanania?!...) pragniesz spocząć i podziwiać efekt. Wtem, przy tej okazji odkrywasz, że kontaktów jest stanowczo za mało, bo akurat tam, gdzie po drobnym przestawieniu mebli wylądował fotel do czytania i stolik z idealnym miejscem na lampkę – nie ma żadnego.

Nie możesz kojąco napić się wina, bo zaraz jedziesz po córkę. W twojej głowie rodzi się zatem dręczące pytanie na miarę egzystencjalistów: Dlaczego nie pomyślałaś o tym przed malowaniem?...

W porównaniu do mojego weekendu Twój – ze ścieleniem łóżeczka, prasowaniem ubranek i pakowaniem torby do szpitala – wydaje się najlepszy na świecie. Czas, kiedy kobieta przygotowuje się na przyjście na świat swego dziecka, jawi mi się jako jeden z najpiękniejszych, najlepszych momentów życia. Najpełniejszy sensu, szczęścia, nadziei. Dziecko jest już bardzo realne – zwracasz się doń już konkretnym imieniem, masz z nim kontakt cały czas, we dnie i w nocy, zwłaszcza że już nie przesypiasz jej w jednym kawałku. Czujesz jego ruchy, kiedy mu ciasno, wiesz, kiedy ma czkawkę; patrzysz na swój brzuch i widzisz nagłe wybrzuszenie ze stópką czy rączką... Możesz go dotknąć i wiesz, że dzieli Was tylko Twoja skóra. A wkrótce poznasz tę fascynującą osobę na żywo i bardzo, bardzo namacalnie!

Pamiętam ten czas we własnym życiu. Moje nowe warszawskie mieszkanie nie tyle lśniło, ile kłuło w oczy nowością. Mimo wysiłków mamy w nozdrzach wciąż unosił się pył z płytek, które tata kładł, gdy zaczynałam dziewiąty miesiąc ciąży z Irenką. Meble do kuchni jeszcze nie przyjechały, w pokojach brakowało drzwi, w łazience nie można było używać umywalki, bo coś tam uporczywie przeciekało. Nie miałam jeszcze wielu mebli i sprzętów, lecz najpuściej, najsmutniej było w sypialni. Duże łóżko, na którym jedna poduszka noc w noc pozostawała nietknięta. Co wieczór kładłam się tam spać z obawą, co zrobię, jeśli zacznie się właśnie w nocy?... A zamiast snów przychodziły do mnie wszystkie lęki, strachy i koszmary, które zagłuszałam w dzień. Świeże, bolesne, bardzo złe wspomnienia Macieja – króla życia, człowieka sukcesu, męża mojego, lecz dzielonego z grupką innych pań.

Bałam się niezliczonych rzeczy – tego wszystkiego, czego boją się wszystkie brzemiennie kobiety świata. Czy będzie zdrowe. Czy będzie szczęśliwe. Czy będzie miało dobre życie. Czy nie zagna wojen.

Czy tata je pokocha.

Na wysokości zadania stanął wtedy nie kto inny jak... Joanna. Z właściwą sobie werwą, nienagannie zorganizowana zapakowała do auta wszystkie małe ubranka po Julce i Antosiu, łóżeczko, waniankę, przewijak i dziesiątki utensyliów, o które nie miałam siły się kłopotać, i jeden jedyny raz w życiu przyjechała do mnie we własnej osobie sama z siebie, bez zaproszenia i ceregieli.

Została ze mną trzy dni. Jej energiczność podniosła mnie wtedy na duchu. Wstydziałam się przed nią mazgaić, więc się... nie mazgaiłam. Ona zresztą tak niezmaczenie wierzyła w to, że Maciej nie zniknie

z mego życia, że zaraziła tą wiarą i mnie – do tego stopnia, że niemal wypatrywałam jego przybycia. Później to wprowadziłam odchorowałam, ale wówczas tchnęła we mnie tak bardzo potrzebne uczucie, że wszystko się jakoś ułoży.

Gdy pojechała, niby zostałam sama jak wcześniej, lecz jednak wzmocniona. Także przez to, że bardziej gotowa na powitanie Irenki dzięki tym wszystkim dziadusiowym akcesoriom.

Misterium prania, rozwieszania i prasowania pierwszych ubranek odprawiłam samotnie. Tego dnia, gdy w łóżeczku o zabezpieczonych miękką tkaniną barierkach leżała już czysta pościel, na regale z przewijakiem piętrzył się stos porządnie poskładanych tetrowych pieluch, a w szufladach pod nim spoczywały równe rzędy kaftaników i pajacyków w rozmiarze 56 – poczułam się szczęśliwa i gotowa.

Tego czasu, ukochana Jago, nikt i nic nie może Ci zmać – ani świadomość, że czeka Cię jeszcze pasja porodu, ani żadne przeterminowane klątwy Doroty. By Cię utwierdzić, że to jest najczystsza postać szczęścia, przyjadę w weekend, nawet na cały dzień.

A także po to, by nacieszyć oko kaftanikami i przewijakami!

Ściskam Cię ostrożnie i czule,

Ciocia Malina

Od: jaga.jablon@gmail.com

Do: malina_m@malibox.pl

Data: 16.03.2016

Temat: Niezawodna intuicja

Malinko,

fantastycznie, już się cieszę na nasz weekend!

Czy kiedy poznajesz kogoś, to od razu wiesz, czy się polubicie? Czy będzie między wami nic porozumienia, sympatii? Czy potrafisz z krótkiego spotkania wysnuć wnioski co do przyszłości? Mój barometr oceny nowych znajomych jest czuły. Zwykle są to subtelne przeczucia, nic spektakularnego. Czasem jednak wskaźnik zdecydowanie pokazuje coś niepokojącego. Tak było w przypadku męża Kasi – Adama. Mówiłam Ci, że oni jakoś do siebie nie pasują, że coś w tym małżeństwie nie gra. Ona – miła, pogodna, cicha, on – władczy, pewny siebie. Mieszkają w pięknym domu, takim bardzo nowoczesnym, wszystko na piloty, w nieskazitelnej bieli (jak to w ogóle możliwe przy dwojce dzieci?) i chromie, z trawnikiem, który wygląda, jakby go nożyczkami cięto. Na kostce chodnikowej nie rośnie żaden chwascik, choinki są jak odlane z formy: bujne, proste i równe. W domu sterylnie, żadnych plam, klocków pod kanapą i okruchów na stole. Kasia dobrze się komponuje z tym otoczeniem – o, właśnie tak: komponuje się. Jest zadbana, uczesana, delikatnie umalowana. Wszystko drogie, ale w dobrym guście. Jej mama, którą poznałaś, to zupełne przeciwieństwo. Wesoła, bezpośrednia, nosi się kolorowo i oryginalnie – jest wizytówką swojej teatralnej garderoby. Zastanawiałam się, jak to możliwe, że matka i córka tak się różnią. A wczoraj... Wczoraj wstałam do Kasi, żeby jej osobiście podziękować za pomoc przy szukaniu sukni dla Ciebie. Chciałam jej pokazać zdjęcia, które robiłyśmy podczas przymiarek. Nie planowałam nasiadówki, tylko krótką sąsiedzka wizytę. Gdy Jerzy wrócił z pracy, zostawiłam dzieci pod jego opieką i poszłam do Kasi. Gdy otworzyła drzwi i mnie zobaczyła, była... zdziwiona, zaskoczona, czy ja wiem – czegoś niepewna. Zaprosiła, zrobiła herbatę. Siedziałyśmy w tym eleganckim salonie, na drogich skórkach, przy szklanym blacie, a ja czułam się, jakby mnie gościła pomoc domowa pod nieobecność pani domu: Kasia wydawała się nieobecna myślami i spięta. Gdy podniosłam się z kanapy, żeby się pożegnać, usłyszałam, jak otwierają się drzwi do salonu. Stał w nich Adam. I wtedy zobaczyłam, jak Kasia nerwowo zaplata palce, aż kostki jej zbieleły. Podeszła do męża, pocałowała go w policzek, ale to było jak obowiązkowy całus dla starej ciotki, której się boisz. Przedstawiła nas sobie, zamieniliśmy parę okrągłych zdań i poszłam do siebie. Jeremi siedział w kuchni, wsuwając parówki,

Jerzy robił twarożek dla Matyldy, która ostatnio zapragnęła być wegetarianką. Z czegoś się śmiali, w tle grała Trójka. Było tak... normalnie. Jakbym z Krainy Lodu wróciła do zwykłości. Dręczy mnie przecucie, że coś niedobrego dzieje się w tym sterylnym domu nieopodal.

W sobotę Jerzy jedzie do ojca, a ja zostaję z dziećmi – to nasz ostatni wspólny weekend przed pojawieniem się Hani. Będziemy robić marzanę, by ją w niedzielę zatopić w naszej Smródce. Co wybieracie z Ircią: prace ręczne w domowym zaciszu czy spacer nad wodę? Oba warianty porywające, w sam raz, by odsapnąć po pracach remontowych.

Ściskam

J.

Od: malina_m@malibox.pl

Do: jaga.jablon@gmail.com

Data: 17.03.2016

Temat: Nie wywołuj Joanny z lasu

Jagódko,

dwudziestodwujęcioletnia (!!!) znajomość z Tobą dała mi wiele dowodów, że przecucie rzadko Cię myli. Być może więc coś jest na rzeczy z tą Kasią.

Co do moich przecuć – pierwsze wrażenia często mnie mylą. Może to pozostałość dziecięcej nieśmiałości lub niedojrzałości, ale ludzie diametralnie ode mnie różni mnie peszą. Drażnią mnie też ci głośni, bezczelni, cwani, ordynarni, bardzo pewni siebie. I może jeszcze szczupli.

Niektórzy z nich zyskują przy bliższym poznaniu – okazuje się, że butą usiłowali pokryć jakiś swój kompleksik czy braczek. Natomiast – złośliwie powiesz, że to też przez diametralną różnicę ze mną – prawdziwą grozą napawają mnie pedantycznie porządnicy. Jeśli dom na co dzień wygląda jak przygotowana do zabiegu sala operacyjna, to coś jest cholernie nie tak. Zwłaszcza że sądząc po barwnej mamie i jej twórczym bałaganie w garderobie, Kasia nie wyniosła tego z domu... Roztocz nad nią dyskretną pieczę, co? Albo wpadaj tam bez zapowiedzi pod byle pretekstem, sama nie wiem. Coś rób.

Ale, ale – à propos nastawień do ludzi oraz najbliższego weekendu – jest temat.

Oto dziś rano odbieram w robocie telefon od mamy.

– Madziu, dzwoniła do ciebie Joasia?

Głupie pytanie, bo Joanna nigdy nie dzwoni do mnie sama z siebie. Dziwne, ale mimo małej różnicy wieku, dzielenia w dzieciństwie pokoju i równego traktowania nas obu przez rodziców nigdy nie byliśmy sobie siostrzanie bliskie. Joanna, zdeklarowana sportsmenka, uważała mnie, młodszą siostrę, za ciepłą kluchę. Z kolei ja Joanny nie rozumiałam i czułam przed nią irytujący respekt. Nie podzielałam jej pasji do siatkówki, rywalizacji ani do sportu w ogóle. Koleżanki siostry były jedna w drugą drużyną wysokich, wysportowanych dziewczyn i kiedy ją odwiedzały, wszystkie ich chichoty i niezrozumiałe grepsy powodowały, że czułam się wykluczona. A może nawet cichcem się ze mnie nabijały? Wstydziałam się przy nich bawić w naszym pokoju, a już najbardziej wstydziałam się przy nich jeść. Skądinąd jednak jedzenie dobrze koło to zawstydzenie. Ech... Błędne koło z dzieciństwa do dziś na myśl o siostrze sprawia mi niesprecyzowany dyskomfort. Tylko czy miałoby sens wyłuszczać to wszystko mamie, która już niemal czterdzieści lat przymykała oko na wzajemną antypatię córek?

– Nie dzwoniła. A co?

– A bo przyjeżdża na weekend do Warszawy!

– Sama?

– No gdzież sama! Z rodziną!

To też było durne pytanie. Joanna, odkąd obrosła w stado męża i dzieci, stała się na ich punkcie tak zafiksowana jak niegdyś na sporcie. W pojedynkę niemal nie istniała. Nawet konto mejlowe mieli

z Krzyśkiem wspólne, nie mówiąc o rachunkach bankowych, polisach na życie, wszelkim majątku i hobby.

– Aha. A co ich sprowadza do Warszawy? Stęsknili się za nami?

– Krzyś ma tu w piątek coś do załatwienia, więc uznali, że przyjadą razem, zabiorą dzieci do Kopernika, na Starówkę, ma być piękna pogoda... Może i wy z Irenką i Stasiem byście się z nimi wybrali? Dobrze by wam zrobiła odskocznia od tego zabiegania.

Brr. Jakaś odskocznia zapewne dobrze by mi zrobiła, ale czy taka?...

– Stasiek w ten weekend ma dyżur. Ircia była w Koperniku dwa razy; przecież to jest mekka połowy przedszkolnych wycieczek, więc raczej sobie darujemy... Zwłaszcza że akurat ja mam co robić, tak że...

– Jak tam chcesz, córciu. Kochanie, a mogliby oni zatrzymać się tym razem u ciebie? My z tatą akurat w sobotę mamy wymianę rur w kuchni. Aż się boję myśleć, co to będzie za bałagan. A bez kuchni przy dzieciach, wiesz. Ani ugotować, ani ugościć... Wiesz, chcielibyśmy na Wielkanoc mieć już wszystko gotowe.

Ja też bałam się myśleć, co to będzie za bałagan – u mnie. Ale co można powiedzieć w takiej sytuacji?

– Jasne, mam. A, tego... zostają do niedzieli?

– Pewnie tak. Wiesz, z dziećmi na krócej to szkoda drogi.

– Uhm. Wy z tatą też przyjdziecie, prawda?

– Oj, chyba wyjątkowo nie... Wiesz, najpierw trzeba będzie przypilnować tych fachowców, potem po nich posprzątać... Tata kupił farbę, jak już rozkręcimy szafki, to się przy okazji tam za nimi pomaluje, będzie w sam raz na święta. Ale może to i dobrze? – Mama zmieniła ton ze zmartwionego na dziarski. – Nagadacie się ze sobą, nacieszycie. Zawsze tego czasu tak mało...

Są, Jago, ludzie, których niby się lubi, ale nie lubi się z nimi zostawać sam na sam. Póki dokoła są jacyś inni, wszystko gra. Do spotkań tête-à-tête potrzeba więcej sympatii. Albo odwagi. Albo jednego i drugiego. Mnie widocznie brakowało obu tych składników, bo wizja spędzenia całego weekendu z rodziną siostry bez rodziców na chwilę pozbawiła mnie sił. Zaraz się zresztą za to skarciłam. Mało razy to ja korzystałam z gościny Joanny, i to z córką i psem?... Ileż to jeszcze chciałabym wisieć na rodzicach, zwalać na nich wszystkie prośzone obiady, rodzinne najazdy, ciężkie zakupy, powlekania pościeli, fury zmywania...? Pora przejmować pałeczkę, niedługo już sama będę nestorem rodu.

Nie, zaraz, chwila. Jakim nestorem, co mi strzeliło?!... Rodzice cieszą się najlepszym zdrowiem, ja właśnie kwitnę trzydziestą szóstą wiosnę życia. Wszystko przez tę starość, temat numeru „Być Kobietą”, wałkowany przez wszystkie działy na różne sposoby. Zresztą to Joanna pierwsza będzie nestorem. He, he.

Przyjazd Kisielskich oznaczał jednak, że wbrew temu, co jeszcze przed chwilą myślałam, nie mam dziś wolnego wieczoru. I nie mam wolnego weekendu. Muszę zrobić zakupy, posprzątać i przesunąć na nie wiem kiedy wtórny wieczorek paniński z sąsiadkami. Jasny gwint!

Tak że co do topienia marzanny mam jedną świetną kandydatkę.

Żarcik oczywiście.

Życz mi hartu ducha.

Siostra żelaznej J.

Od: jaga.jablon@gmail.com

Do: malina_m@malibox.pl

Data: 18.03.2016

Temat: Rodzina, ach, rodzina

Coś nie możemy się ostatnio umówić, Madziu – tyle różnych spraw dokoła. Obawiam się, że po narodzinach Hanny Flizowskiej będzie ich jeszcze więcej. Nadziei jednak nie tracę – przed nami ostatni

tydzień mojego dwupaku. Może nawet zatańczę na Twoim weselu?...

Siedzisz teraz pewnie jak na szpilkach, myśląc tylko o tym, żeby się jak najszybciej wymknąć z pracy, wykupić pół Biedronki (niech Joannie oko zbieleje i już obmyśla równie wystawny rewanż), dopucować fugi w łazience szczoneczką do zębów i wygarnąć najmniejszy kłaczek Carlosa spod kanapy. A potem paść ze zmęczenia na łóżko, obudzić się po kilku niewystarczających godzinach snu i przygotować na najazd Hunów. Adrenalina pracuje, prawda?

Ja zaś, korzystając z pięknej pogody i wobec faktu, że się nie zobaczymy ani jutro, ani w niedzielę, wybrałam się do centrum, a konkretnie do działu kadr naszej firmy, żeby zostawić swoje ostatnie zwolnienie. Marty nie było, kopertę przekazałam więc w ręce recepcjonistki i już byłam wolna.

Druga połowa marca jest zaskakująco łaskawa dla takiego zmarzlucha jak ja. Przedpołudniowe słońce rozleniwiająco przygrzewało, kiedy szłam w kierunku stacji kolejki na Powiśle. Lokalizacja oddziału naszego koncernu zawsze budziła moją zazdrość. W samym centrum, lecz nie w bezpośrednim tłumie miasta. Uliczka Gałczyńskiego jest przyjemna i z nazwy, i z wyglądu. Samo biuro (chyba tu jeszcze nie byłaś?...) – ta ultranowoczesna plomba z gładkimi kamiennie-chromowymi powierzchniami, drzwiami na kartę i innymi atrybutami nowoczesności – już mnie tak nie pociąga. Zdecydowanie bardziej podobał mi się poprzedni budynek, w którym mieściła się cała firma – swojski, ciut nawet siermiężny biurowiec na Ochocie, w bliskim sąsiedztwie bazarku, na którym tyle razy wspólnie robiłyśmy zakupy: można było wyskoczyć w ciągu dnia po aromatyczne truskawki lub po pracy kupić cielęcinę u masarza. Dziś pomyślałam, że całkiem łatwo zaakceptowałam blichtr medialnego życia, dopasowując się do niego modnymi ciuchami i odpowiednią dawką asertywności, z drugiej zaś strony wciąż jestem tą małą dziewczynką, która chodziła z mamą po kalarepę na plac Nowy w Krakowie, a potem wracała do mieszkania w kamienicy, które pachniało nawoskowanym parkietem i wełnianymi kilimami. Często odwiedzałyśmy wcześniej owdowiałą babcię i to właśnie Kraków był moim magicznym miejscem z dzieciństwa. Nigdy tak naprawdę nie polubiłam Warszawy, mojego rodzinnego miasta. To tu, w mrocznych pomieszczeniach szpitala położniczego na Starynkiewicza, zaczęłam przygodę zwaną życiem. W Ogrodzie Saskim karmiłam kaczki. W Hali Mirowskiej kupowałam z tatą choinkę na święta. Tu ćwiczyłam lekkoatletykę w szkole sportowej przy Warszawiance. Na Krakowskim Przedmieściu miałam zajęcia z literatury. Całe moje życie jest związane z Warszawą, a mimo to nie czuję z tym miastem więzi.

À propos więzi – rodzinnych – już teraz na serio. Wiem, że Twoje relacje z Joanną zawsze były lekko kulawe. Przede wszystkim dlatego że jest zupełnie inna. Fascynujące – ci sami rodzice, ten sam dom, a rodzeństwo tak różne. Nie chcę zabrzmieć jak namolna ciotka, ale przecież tak naprawdę, gdzieś głęboko to strasznie fajna sprawa, że masz siostrę. Zawsze Ci tego zazdrościłam, ja, jedynaczka. Nie wymieniałyście się ciuchami, nie jeździłyście razem na obozy, nie popalałyście ukradkiem papierosów w piwnicy, ale ona jest: Twoja krew, Twoja rodzina, Twoje niezawodne wsparcie. Przecież masz poczucie, że w sytuacji skrajnej, granicznej, gdy potrzebne jest prawdziwe zaangażowanie i pomoc, ona jest i będzie przy Tobie trwać. To musi być bardzo dobre uczucie.

Ja chyba z tego braku w dzieciństwie stałam się rodziną wielodzietną. Chciałabym bardzo, żeby Matylda, Jeremi i Hania byli sobie bliscy, żeby się przyjaźnili. No i jest jeszcze Marysia, na razie bez swoich dzieci, więc tym bardziej pełna zapału do zbliżania się z niespodziewanie otrzymanym od losu rodzeństwem.

Życzę więc hartu ducha, ale i radości. W chwili zwątpienia przypomnij sobie mój wzniosły wywód.

Ściskam Cię

J.

Do: jaga.jablon@gmail.com

Data: 18.03.2016

Temat: Internetowy market spożywczy

„Dziękujemy za potwierdzenie zamówienia. Planowana dostawa twoich zakupów to piątek w godzinach 18.00–20.00”.

Ech, Jagulcu, zacieram ręce rada, że wpadłam na tak dobry pomysł. Niespełna pół roku pracy w nowym środowisku, a umysł już jakby przewietrzony, bardziej twórczy. Może to te obiady z cateringu, którymi żywi się część redaktorstwa, tak mnie natchnęły? Nie ma tego złego! Internetowe wersje marketów spożywczych wcale nie są takie głupie! Oto siedzi sobie bardzo nowoczesna Malina zarówno w fotelu, jak i na stronie sklepu, klika znajome towary, lustruje etykiety nieznanych, porównuje ceny, mądrze wybiera z oferty... Ceny z grubsza te same co w sklepie. Nic nie trzeba dźwigać. Kurier przywiezie zakupy, wniesie mi na górę furę papierowych ekotoreb, ja zupełnie europejsko uiszczę zapłatę kartą i schowam do lodówki dostarczone trofea. Tylko tyle – zamiast jechać do sklepu, szukać miejsca parkingowego, potem koszyka, który dobrze jeździ i ma z przodu siedzenie dla Irenki, potem miotać się po sklepie pełnym podobnych mnie klientów, by wreszcie stać w długim ogonie do kasy. Rano zaś, gdy drodzy najeżdźcy udadzą się do Centrum Nauki Kopernik, wezmę się za obiad. Porządny, dwudaniowy, z deserem. Pożywny i zdrowy. Tradycyjny, lecz nie za ciężki. Na pierwsze rosół, na drugie mięso z rodzinnymi sosami – cebulowym i chrzanowym. Kartofle, koperek, mizeria. Misa sałaty, żeby był wybór. Kompot z węgierki. Na deser kisiel z wtartymi jabłkami. Dla Kisielskich – kisiel. Hy, hy.

Twój sentymentalny mejl wywołał we mnie nagły żal, że wcale się z siostrą z siebie nie cieszymy. Nigdy nie podejmujemy wysiłku, by się do siebie prawdziwie zbliżyć. Wyjść poza pancerze, które przywdziałyśmy już w dzieciństwie, żeby nie dać się tej drugiej zranić. Porzucić zdawkowość i konwenanse i pogadać szczerze, od serca, jak siostry. Dlaczego jak ognia unikamy bycia ze sobą sam na sam? Czy to jej niezłomne „z rodziną” to kolejna forma ochronnego pancerza? Tylko przed kim? Przede mną?!

Z zadumy wyrwał mnie dźwięk SMS-a. O wilku mowa! Joanna.

„Cześć. Wybieramy się z Krzysiem i dziećmi do Warszawy. Czy możemy zatrzymać się u Ciebie na jedną noc? Pozdrawiam”.

Formalności stało się zadość.

„Cześć! Wiem, mama mi mówiła. Oczywiście! Tylko jak to na jedną? Mówiła, że na dwie”.

„Generalnie na dwie, ale z piątku na sobotę zanocujemy u wujka Witka. Nie chcę Cię nadwerężyć”.

„No wiesz?! – wyklikałam jej prędko i nieszczerze. – Możecie spędzić obie noce u mnie! Przecież jest miejsce”.

„Z tym miejscem w małym mieszkaniu w bloku bym nie przesadzała. Dzieciaki są jednak przyzwyczajone, że mają gdzie biegać. Będziemy w sobotę o 14.00”.

I już: „pfffffff...” – moje pojednawcze uczucia względem Joanny zaczęły jakby przeciekać. Wiele bym dała, Jagodo, by wiedzieć, czy ona jest wredna umyślnie, czy nieświadomie. Zmęłam w ustach brzydki epitet.

„Jak wolisz. Wobec tego zapraszam na obiad”.

„Materace i pościel przywieźć czy już się dorobiłaś?”.

Kur... Kurza twarz!! Oczywiście, że się nie dorobiłam. To znaczy mam rozkładaną sofę i jedną zapasową pościel. Ale to załatwia nocleg Joanny i Krzyska, a dzieci już nie. Niech to jasna cholera! Pożyczę, niech stracę, nawet kupię! – a nie dam jej tej satysfakcji. Tej wyższości dobrze zorganizowanej gospodyni – zaradnej, roztropnej, wszystkimającej. A figa.

„Mam wszystko. Do zobaczenia”.

Przyjeżdżają na krócej – to oczywiście dobra wiadomość, zyskuję trochę czasu na przygotowania.

Trzeba zorganizować bety – to zła. Wydatek albo fatyga, jak w jakimś ponurym Halloween zamiast cukierka i psikusa.

Popatrz, jedna krótka wymiana SMS-ów i dwie nowiny, dobra i zła.

Jak w życiu.

Spróbuję zacząć od fatygi. Kciuk przewija szybko książkę adresową w poszukiwaniu numeru sąsiadki. Ale ostrzegam: jak z nią nie wyjdzie, to uderzam do Ciebie.

„Hej, Karolino! Nie masz przypadkiem materaca i kompletu zapasowej pościeli, a najlepiej dwóch? ...”

A Ty, Jagodo, czuwaj. W zależności od tego, co odpowie Karolina, albo jutro skoro świt zjawię się u Ciebie pożyczyć pościel, albo... nie.

Ściskam

Malina w popłochu

Od: jaga.jablon@gmail.com

Do: malina_m@malibox.pl

Data: 18.03.2016

Temat: Re: Internetowy market spożywczy

Wpadaj, wpadaj, jeśli chcesz. Daj tylko znać o której. Wysypiam się na zaś, więc może będę musiała nastawić budzik, żebyś nie odeszła z kwitkiem.

J.

Od: malina_m@malibox.pl

Do: jaga.jablon@gmail.com

Data: 18.03.2016

Temat: Bety są

Cześć!

Karolina miała i dmuchany materac, i zapasową pościel.

Plus: Nie muszę do Ciebie jechać przez pół miasta.

Minus: Nie zobaczymy się. Kurka, no!

Ścisk

M.

Od: malina_m@malibox.pl

Do: jaga.jablon@gmail.com

Data: 20.03.2016

Temat: Z wizytą u pani Maliny

W sobotę, punktualnie o czternastej rozzwonił się domofon.

Jak ona to robi, moja droga, masz jakieś wytłumaczenie?... Powroty z centrum bywają nieprzewidywalne nawet w sobotę, podobnie jak znalezienie miejsca parkingowego pod moim blokiem. A może dotarli już wcześniej, tylko Joanna kazała im siedzieć w aucie do za pięć druga, by stanąć w drzwiach imponująco w punkt? Na samą myśl o tej absurdalnej scenie zachichotałam. I dobrze – bo ten wewnątrz chichot przedostał się zaraz na zewnątrz, układając mi twarz w miły uśmiech.

W przedpokoju wnet zrobiło się tłoczno. Najpierw wpadli Julka z Antosiem, lecz zaraz po przekroczeniu progu zatrzymali się, by pogłaskać psa, tym samym skutecznie tarasując wejście

rodzicielom. Krzyś z dwiema walizkami balansował nad dziećmi, Joanna usiłowała nie stracić równowagi, dzierżąc w wyciągniętych dłoniach jakiś wiecheć z wielkim pióropuszem. Pies wymierzał razy swoim mocnym, merdającym bez wytchnienia ogonem. Irenka przykleiła się do ściany, nie chcąc uronić nic z wkraczania ciotkostwa, a zarazem nie oberwać ogonem.

– Proszę cioci, a dlaczego on ma na imię Carlos? To jest niepolskie imię? A jakie by ono było po polsku? Jest taki gitarzysta Santana Carlos, czy to po nim mu ciocia dała to imię?

– Chyba po niej! Santana, czyli ona, kobieta!

– Sama jesteś kobieta!

– Proszę cioci, a to jest rasa rabrador?

– Ja lubię kompot z rabradoru. Czy ciocia ma taki?

Niełatwo było wstrzelić się z odpowiedziami w nalot pytań, które wyskakiwały ze szczerbatych buzi niestrudzonych siostrzeńców.

– Carlos to Karol – spróbowałam mimo wszystko.

– Dobrze, bo polskie! – ocenił fachowo Antoś intonacją z reklam. – Karolu, do nogi! Siad!

– Antoni, Julia! Przejdźcie dalej i rozbierajcie się! – Joanna przepchnęła się do mnie i z ulgą wcisnęła mi pióropusz. – Cześć! – Wycisnęła mi na policzku rzetelnego całusa. – Zrobiliśmy dla was z dziećmi palemkę na jutrzejsze święto. – Faktycznie dół pióropusza złożony był z bluszczowych gałązek okręconych żółtą wstążeczką. Palma jako żywo!

– Piękne dzieło, „proszę cioci”! – Puściłam oko.

– He, he. Miś Uszatek, namiętne oglądany. Pamiętasz? Gruby Prosiaczek tam ciągle mówi „proszę cioci to”, „proszę cioci tamto”.

– He, he. Mam nadzieję, że jesteście porządnie głodni?

– W mieście nic nie jedliśmy, jeśli o to pytasz.

– Dzieci! Myjcie ręce i pomóżcie cioci nakrywać do stołu! – zaordynował ojcowsko szwagier.

– Ja wam pokażę, gdzie mamy nakrywania! – Irenka w końcu znalazła misję dla siebie.

– Czyli ś...sz... sztucce?

– Nieee, najpierw takie serweteczki. No, chodźcie!

– A potem się pobawimy w coś fajnego. Mamoo? Gdzie mamy ten prezent dla Irenki?

– Coś tu się zmieniło, odkąd byliśmy ostatnio... – Joanna wodziła wzrokiem po kuchni, próbując ustalić co.

– A kiedy byliście ostatnio? Pamiętasz?

– W zeszłym roku, na urodzinach Irci.

– Prawda! Czyli kolor ścian. Z é cru na cytrynowy. Malowałam na urlopie.

– Nie obawiałaś się, że będzie za ostro?

– A jest?

– Nie – przyznała Joanna. – Ale może już trochę przyblakło?

Słuchałam tego, siłąc się na utrzymanie uprzejmego uśmiechu. W tym celu całą uwagę skupiałam na układaniu na talerzach zgrabnych makaronowych wysp, na które teraz należało zgarnąć z deski trochę nasiekanej zieleniny.

– Dla mnie mało i bez pietruszki – zastrzegła Joanna. – A dla dzieci i Krzysia bez koperku. Lubimy czysty rosół.

– Ja wyjątkowo poproszę z koperkiem – powiedział Krzysztof, wchodząc do kuchni. – Jakoś tak ładnie mi zapachniało!

– To ja zacznę nosić do pokoju – zaoferowała się Joanna. – Dzieci, nakrycia gotowe? Zostawcie te klocki, siadajcie do stołu!

Polak głodny, to zły, mówi przysłowie. Na własny użytek dopowiadam doń sobie to, co przecież jasne jak słońce: Polak najedzony jest wesół, kontent, a złośliwość i czujność ma stępione

trawieniem. Wie to każdy spec od korporacyjnych rozgrywek, że negocjacje najlepiej prowadzić podczas sutego służbowego obiadu. Oto dlaczego niepokój o nastrój w czasie gościny siostry pokryłam kilogramami frykasów, które zamierzałam umiejętnie podtykać gościom aż do szczęśliwego wyjazdu. Wikt był tradycyjny, by trafić w gust siostry, lecz z nutką nowości, o której lubienie podejrzewam szwagra. Dość tłusto – niestety to tłuszcz w głównej mierze przenosi smak... I słodko – tu ukłon w stronę dzieci. Oraz siebie. Zresztą kto nie lubi lodów waniliowych na deser?...

Około czwartej było w końcu po obiedzie, lodach, kawie, długiej opowieści Krzysztofa o zawiłościach jego kariery zawodowej, nie tak długiej, za to pełnej dramatyizmu relacji Joanny o przebytej u Julii szkarlatynie oraz moim własnym krótkim, anegdotycznym szkicu o nowej pracy.

– Nie tęsknisz za „On Żyje”? – zainteresowała się Joanna, moszcząc się wygodnie w fotelu.

– Ani trochę. – Sama się zdumiałam, jak bardzo nie przychodziło mi do głowy żadne tęsknienie za rzuconą pod wpływem impulsu pracą.

– Dziwne. Przepracowałam tam tyle lat...

– Więc najwyższa pora na zmianę! – pogodnie odparłam, nietęskniąca.

– I nie brak ci wartości? Sensu? Poczucia misji? Przecież to, co się drukuje w tych kobiecych pismach, woła o pomstę do nieba!

– Wiesz, ja tam jestem tylko sekretarzem. Nie odpowiadam za treści, tylko za terminy. No i za kulinaria – spróbowałam obrony przez zażartowanie.

– Więc jeszcze do tego degradacja. W „On Żyje” byłaś autorką artykułów, miałaś wpływ na całokształt, na wydźwięk pisma. Miałaś swoich wiernych czytelników.

– Miałam?...

– No jakże nie? – wtrącił tubalnie Krzysztof. – Żeby daleko nie szukać, Joasia nie przepuściła lektury żadnego numeru! – sypnął beztrzesko, a jego żona spłonęła rumieńcem. Najwyraźniej czytanie artykułów młodszej siostry uważała za coś wstydliviego.

Więc Joanna mnie czytywała, no, no... Czyli – mój umysł szybko formował wstępne tezy – wcale nie uważa mnie za taką idiotkę, jak mi się całe życie wydawało! I do tego jeszcze – cymes! Żelazna Joanna ma jakieś wstydlive słabostki, cóż z tego, że niewinne!

Śmiej się, ale zrobiło mi się ciepło na sercu. Takie odkrycie było warte wszelkich przygotowań, sprzątnięcia, gotowania i pozyskiwania materaców!

– A Staszek nie wpadnie? – zagadnęła tymczasem Joanna neutralnym tonem, wodząc palcami w tę i w tę po obiciu fotela.

– Niestety nie. – Szczerze żałowałam tej nieobecności. Jego towarzystwo jakoś zawsze mnie koi. – Niefortunnie przez cały weekend ma dyżur. Kazał was pozdrowić.

– Szkoda. Wciąż nie mam okazji lepiej poznać szwagra – zmartwił się Krzysztof.

– Już za tydzień będziesz miał okazję spędzić z nim wiele godzin! – przypomniałam.

– Przyszłego szwagra – weszła mi w słowo ta pedantka. Jej twarz powoli odzyskiwała zwykłą bladość. – À propos, na ślub wszystko gotowe?

– Chyba tak.

– Jaką masz sukienkę?

– Niespodzianka! – Uśmiechnęłam się szeroko. Niespodzianka, której nie dam sobie popsuć, dodałam w myślach.

– Szybko się zdecydowaliście pobrać.

Nabrałam powietrza, by coś powiedzieć, ale ono zaczęło ze mnie uciekać niemal z sykiem, jak z niezwiązanego balona. Jago, jak wyjaśnić, jak płynie czas samotnej kobiecie, komuś, kto nigdy nie zadał sobie trudu wczucia się w moją sytuację?

W sukurs niespodziewanie przyszedł mi Krzysiek.

– Na cóż tu czekać? Mniej pokus ich dopadnie, he, he – zarechotał życzliwie, a ja nieznacznie

zastygłam. Nie lubię roztrząsać tych tematów na forum rodzinnym. W ogóle chyba na żadnym forum. Z Tobą, to jasne, ale jesteś jedynym dopuszczonym do mojej intymności wyjątkiem.

Czułam, że obok siostra stężała z tego samego powodu.

Ech, nie mamy my swobody seksualnej..., pomyślałam, przez ułamek sekundy wspomniawszy ociekające seksem koleżanki z redakcji. Po czym pchnęłam rozmowę na inny tor. Pierwszy z brzegu myśli, Twój, mianowicie!

– A wiesz, Jagoda też właśnie wyszła za mąż. To znaczy, najpierw się rozwiodła, potem wyszła. W trybie przyspieszonym, bo jest w ciąży... – Cholera, jak mogłam obrać grunt tak pełen raf?...

Joanna uniosła brwi.

– Wielkomiejsko – rzekła z przekąsem.

– Proszę cioci, a czy Karol nie powinien teraz skorzystać z toalety? To jest, z dworu, ma się rozumieć?...

No czyż nie opatrnościowy jest ten Antoś? Kto wie, dokąd by nas zawiodła ta dyskusja niczym pole minowe, gdyby dać się jej rozwinąć?

Nawet nie wiesz, z jakim entuzjazmem klasnęłam w dłonie.

– Ma się rozumieć, że tak! Kto idzie ze mną?

Niedziela upłynęła nam na spokojnej, rodzinnej żegludze przez rutynowe czynności: śniadanie, mszę u pobliskich pasjonistów, obiad i spacer, koniecznie z zahaczeniem o duży, nowoczesny plac zabaw obok parku. W spacerze towarzyszył nam Carlos, definitywnie przechrzczony przez moich siostrzeńców na Karola.

– Karol to jest imię papieskie. Nie godzi się wołać tak psa. – Joannie w ogóle nie podobało się nazywanie psów ludzkimi imionami. Po trosze był to przytyk do dzieci, w większej zaś mierze, choć dyskretnie – do mnie.

– To dąb może mieć na imię Bartek, a piesek nie może być Karolek? – zdziwiła się Julcia.

– W warszawskim zoo zwierzęta też mają swoje imionka! – dodała niewinnie Irenka i Joanna dała wreszcie spokój.

Kiedy nieletnia część zespołu była już wybiegana, wyskakana, wyhuśtana i zarysowała się nadzieja, że Antoś z Julką prześpią podróż, Joanna z Krzysztofem odtrąbili koniec wizyty. Z ust dorosłych popłynęły wzajemne podziękowania, pozdrowienia do przekazania Staszкови i Tobie, upomnienia, by ostrożnie jechać i odezwać się po dotarciu na miejsce – w końcu drzwi za gośćmi nieodwołalnie się zamknęły.

Ku zdumieniu Irenki wykonałam nieokreślony gest, coś między złożeniem rąk do modlitwy a zaciśnięciem pięści w triumfalnym „yes!”. Ostatecznie złapałam Ircię za łapkę i okręciłam ją, piszczącą, w radosnym piruecie.

Nie taki diabeł straszny, jak go malują! – przypominałam sobie jeszcze jedno przysłowie, które znalazło tu zastosowanie. Ale nie powiedziałam tego głośno. Religijna – i doskonale słyszająca Joanna mogłaby poczuć się tym diabłem urażona.

Od: jaga.jablon@gmail.com

Do: malina_m@malibox.pl

Data: 21.03.2016

Temat: Wielkie odliczanie

Kochana M.,

mój weekend był równie rozrywkowy jak Twój. Grono okrojone, bo tylko ja i dzieci (Jerzy połowę soboty spędził u taty), ale zajęć sporo. Najpierw robiliśmy tę nieszczęsną marzannę. Wydawało mi się, że uporamy się z tym migiem – przygotowałam trochę starych ubrań, kij od złamanej szczotki, małą piłkę

plażową, z której zeszło powietrze (idealna na głowę), jakieś sznurki, tasiemki. Słowem: miałam wizję naszej kukły. Okazało się jednak, że droga od teorii do praktyki nie jest różami usłana... Moje dzieci, przedszkolnie wyedukowane, uparły się, że korpus marzanny musi być zrobiony ze słomy. Kiedy próbowałam wytłumaczyć, że w Tesco nie kupimy, bo nie prowadzą, te małe diabły bystro odparły, że możemy trochę zabrać z leśnego karmnika. Po kwadransie negocjacji zawinęłam się w kurtkę, ponczo, wsunęłam nogi w kozaki i poczłapałam do naszego lasu, prosząc opatrność, by nie wpaść w błoto i nie musieć się tłumaczyć przypadkowo spotkanemu leśniczemu. Nawet sprawnie nam to poszło, ale siano – jak to pod koniec zimy bywa – było wilgotne. Położyliśmy je przy piecu i w krótkim czasie w całym domu pachniało jak w stodole po sianokosach. Tak nas zastał Jerzy. Po obiedzie już wszyscy robiliśmy marzannę. Wyszła bardzo pięknie – załączam zdjęcia. W niedzielę, też w komplecie, poszliśmy ją spławić rzeką. Na miejscu okazało się jednak, że dzieci pragną prawdziwych igrzysk: kukła ma być podpalona i dopiero wtedy wrzucona do wody. Jerzy postanowił uszczęśliwić Jeremiego i Matyldę, więc fachowo podpalił marzannę. Tu zgrzyt – gdy badawczo zapytałam, skąd ma zapalniczkę, okazało się, że jednak nie pali tylko elektronicznych papierosów. I chyba nawet przez chwilę miał pokusę, żeby się rozminąć z prawdą. Ostatecznie mężnie wyznał, że sporadycznie popała. Zirykowało mnie to – nawet nie sam fakt, że kurzy, ale że wciąż udawał bohatera, który tak dzielnie porzucił nałóg po kilku dekadach palenia. Jedna chmurka na niedzielnym błękitcie zatem była. Poza tym wszystko się pięknie udało.

W ramach pokuty Jerzy zaproponował dziś wieczorem kolację przy świecach. Tylko my, cisza, nastrój, ostatnie chwile we dwoje. Ach.

Całus

J.

Od: jaga.jablon@gmail.com

Do: malina_m@malibox.pl

Data: 21.03.2016

Temat: Nieudana randka

Dzieci bywają zazdrosne o uczucia, którymi rodzice się obdarzają. Hanka wcześniej zaczyna to objawiać i walczyć o swoje. Skurcze niezbyt częste, ale regularne. Świece zdmuchnięte, pieczone polędwiczki powędrowały do lodówki, a my jedziemy przez ciemną Warszawę do szpitala na Madalińskiego. Czuwaj, przyjaciółko-ciotko, będę informować.

Trzymaj kciuki!

J.

PS

Gdyby Jerzy zemdlał, zaopiekujecie się nim?

Od: malina_m@malibox.pl

Do: jaga.jablon@gmail.com

Data: 21.03.2016

Temat: Aaaaaa!!!

O Boże!!! To już?!

Dlaczego jestem zaskoczona, przyjaciółka w dziewiątym miesiącu ciąży może urodzić w każdej chwili!

Ale tak bez zobaczenia się ze mną po raz ostatni z brzuchem?!... Widać ten ostatni raz już był. No raptus z tej Hani, ciocia będzie z nią musiała koniecznie ustalić to i owo.

Jesteśmy ze Staśkiem w naszej weselnej restauracji potwierdzić ostateczne menu i liczbę gości, ale

chyba już nie usiedzę!

Aha, Was potwierdzam, całą piątkę; jeśli dzisiaj urodzisz, to do niedzieli chyba się wyrobicie?

Jestem w szalonych emocjach! Informuj o rozwoju akcji!

Nadawaj!!!

W myślach nie odstępuję Cię o krok!

Magda

Od: malina_m@malibox.pl

Do: jaga.jablon@gmail.com

Data: 21.03.2016

Temat: ???

Co tam się dzieje??? Niechże Jurek chwilę porodzi, a Ty pisz!!!

Od: malina_m@malibox.pl

Do: jaga.jablon@gmail.com

Data: 21.03.2016

Temat: ?????

No dobra. Idę spać. Ale telefon przy łóżku, dzwonek na maksa. Dzwon, pisz, wysyłaj pierwsze zdjęcia.

Przejęta

Od: jaga.jablon@gmail.com

Do: malina_m@malibox.pl

Data: 22.03.2016

Temat: Proszę państwa...

Madziu,

dochodzi piąta, jest już jasno. Obok mnie, zawinięta w szary kocyk, śpi Hanna Zofia Flizowska. Gabaryty: 3050 g, 53 cm. Urodzona 21 marca 2016 roku o 23.57.

Wszystko toczyło się tak szybko, że dopiero teraz, pisząc do Ciebie, odtwarzam sobie poszczególne sceny w pamięci – wtedy byłam raczej marnym obserwatorem, co zresztą nie dziwi, bo przecież byłam także uczestnikiem tej akcji – czynnym.

Wyjechaliśmy z domu chwilę przed dziewiątą. Jerzy był bardzo przejęty. Kiedy położyłam rękę na brzuchu przy kolejnym skurczu, odskoczył od stołu jak oparzony, by rzucić się na poszukiwanie kluczyków od samochodu i mojej torby. Wytłumaczyłam mu, że mamy jeszcze chwilę, więc powinien jednak coś zjeść, bo w najbliższych godzinach siły będą mu potrzebne. Przełknął, choć z trudem, kilka kawałków mięsa. Potem uznał, że musi się przebrać. Sądziłam, że chodzi mu o higienę. Rozczulił mnie tą troską o pierwsze chwile Hani po tej stronie świata, żeby mogła się przytulić do świeżo wypranych i odprasowanych ciuchów ojca. Kiedy zobaczyłam, że wyciąga z szafy czarne spodnie, czarny T-shirt i czarną bluzę, zdziwiłam się. Powiedziałam, że czarny mnie przykro nastraja, bo pasuje raczej do dni ostatnich, a nie pierwszych. „Ale to taki praktyczny kolor. I nawet jak się zachlapie krwią, to łatwo sprać”, odparł Jerzy. Praktycznie i kolorystycznie przygotowani na rzeźnię pojechaliśmy do szpitala.

Rodzenie w nocy ma sporo plusów. Ulice były puste, latarnie świeciły nastrojowo, miejsce do zaparkowania znaleźliśmy bez trudu, no i nie trzeba było szukać monet na parkometr.

Na izbie przyjąć miły półmrok i absolutna cisza. Tylko my i pielęgniarka. Dostałam do wypełnienia

tonę papierów – szczegółowo poodpowiadałam na zadawane pytania, głowiąc się, po co komu ta wiedza. Teraz myślę sobie, że to po to, by roztrzęsioną rodzącą czymś zająć. Kiedy odłożyłam długopis, zjawiała się położna. Poszłyśmy do pokoju na ktg. Serce Hani pracowało rytmicznie i regularnie, podobnie jak moja macica. Po badaniu okazało się, że rozwarcie ma sześć centymetrów, więc oczywiście zostajemy. A kiedy położna dowiedziała się, że to trzeci poród, zasugerowała, żebym się sprawnie zebrała, bo wolałaby mnie dowieźć na górę z Hanią jeszcze w środku. Jerzy, poinformowany o zaawansowaniu akcji, lekuchno zbladł. Biel się pogłębiła, gdy położna zapytała, czy będzie przy porodzie. Może to kwestia szpitalnej akustyki, ale ta deklaracja zabrzmiała jakoś cicho i z dziwnym pogłosem: tttak.

Dojechaliśmy na górę. Bardzo przyjemny ten szpital, muszę Ci powiedzieć. Kameralnie, kolorowo, każda sala w innej tonacji kolorystycznej. Okazało się, że pokój przewidziany dla nas jeszcze „się sprząta”. Usiedliśmy więc na kanapie przy konsoli położnych. Z sali operacyjnej wyjechał wózek-wanienka, wioząc nowego obywatela Polski. Zaraz za nim pojawił się wysoki, przystojny mężczyzna w zielonym wdzianku. Wyglądał na zmęczonego. Pochylił się z troską nad becikiem. Powiedziałaam Jerzemu, że to wzruszające, iż lekarz tak miło wita swojego kolejnego noworodka, choć przecież już tyle cesarskich cięć musiał wykonać (wyglądał na mniej więcej sześćdziesiąt–sześćdziesiąt pięć lat). I wtedy odezwała się pielęgniarka, mówiąc, że za chwilę przywiezie mu drugiego syna. A zatem nie był to położnik, ale świeżo upieczony ojciec! W tym momencie w Jerzego wstąpiły nieoczekiwane siły. Okazało się, że nie jest najstarszym ojcem na tym oddziale. I że nie jest najbardziej przerażonym ojcem na tym oddziale. Wstał, zaczął energicznie spacerować po korytarzu, dopytywał, jak się czuję, jakby mu nowe baterie włożono. Mnie zaś skurcze ścisnęły coraz mocniej i coraz częściej, więc także wstałam i razem sobie chodziliśmy od sali Malinowej do sali Brzoskwiniowej. Po kwadransie położna zaprosiła nas do pokoju w optymistycznej zieleni. Czułam się już dość znękana skurczami, więc zapytałam, kiedy zjawi się anestezjolog. Podobno kończył asystowanie przy tym cesarskim cięciu i niedługo miał do mnie przyjść. Na zegarze było dwadzieścia po jedenastej. Położyłam się na łóżku, żeby podpiąć te wszystkie urządzenia, choć to zdecydowanie pogorszyło mi nastrój i nasiliło ból. Rozumiem, że położnej łatwiej w tej pozycji kontrolować poród, ale grawitacja ma jednak dobroczynne działanie i wobec matki, i wobec dziecka. Zaczęło być tak sobie. Przez głowę przemknęła mi myśl-pytanie, czy jest jakaś szansa, by ten poród odłożyć – na następny dzień na przykład. Jerzy był strapiony. Nerwowo głaskał mnie po dłoni, dopytując, jak się czuję. Wbrew sobie i chęciom odparłam cicho, że boli. Tak naprawdę ulgę by mi przyniósł donośny krzyk: „A jak mam się czuć?! Rodzę, kurwa, boli, kurwa!”. Kultura wzięła jednak górę nad naturą. Chwilę później wydarzyły się następujące zdarzenia: załała mnie ciepła fala wód płodowych, co ucieszyło położną, która stwierdziła, że rozwarcie ma dziewięć centymetrów; do pokoju wszedł anestezjolog, co wprawiło mnie w bardzo krótkotrwałą euforię, ponieważ położna zawyrokowała, że już „się nie znieczulamy, bo zaraz rodzimy” – ta liczba mnoga to jednak pewne nadużycie... Jerzy, przesunięty strategicznie ku wezgowiu łóżka, intuicyjnie schwycił moją dłoń, co – jak teraz to oceniam – było najlepszym elementem tej nocy. Rozbłysły światła lampy, dołączyła do nas pani doktor i Hania wyszła na ostatnią prostą. Ja też czułam się jak maratończyk przed metą. Emocje sięgały zenitu. Każdy skurcz był dopingowany przez położną: „Teraz, teraz, przemy. Wdech i wydech. Pięknieeee!”. W tej końcówce porodu chyba już nie czułam bólu. Powiedziałabym raczej, że to był wielki trud. Cel, do którego dążyłam jak w amoku, mocno ściskając dłoń Jerzego. Pamiętam właśnie tę dłoń – mocną, ciepłą, która pomagała przetrwać skurcze i bardzo namacalnie pozwalała odczuć, że nie jestem sama, że jest ktoś, kto mnie z całych sił wspiera. „Jestem obok, jestem z tobą”, powtarzał Jerzy. Chwyciłam się tej myśli i... urodziłam Hanię. Bardzo stanowczo się rozkrzyczała. Po krótkich oględzinach, zawinięta w kocyk, trafiła na mój brzuch, a po chwili przyssała się do piersi. Jerzy wpatrywał się w nią jak urzeczony, zrobił też pamiątkowe zdjęcia. Po męczących zabiegach chirurgiczno-krawieckich zostaliśmy sami. Jerzy wziął Hanię na ręce: niepewnie, jakbym mu wręczała jajko Fabergé. „Dziękuję ci, za nią, za wszystko”, powiedział cicho.

Tak, Madziu, urodź ze swoim mężczyzną Wasze dziecko – to dobry test, by sprawdzić słusność wyboru partnera.

Już prawie siódma. Niedługo zacznie się obchód. Pstryknę Ci zdjęcie Haneczki i idę wziąć prysznic.

Całuję

Jagoda w euforii

Od: malina_m@malibox.pl

Do: jaga.jablon@gmail.com

Data: 22.03.2016

Temat: Gratulacje!!!

Jaka śliczna dziewczynka!!!

Nie mogę przestać patrzeć na zdjęcia, które przysłałaś. Znać po niej, że poród był szybki, nie zmęczył jej nadmiernie. Główwka foremna, buzia bez wybroczyń. Paznokietki jak u małego kotka – miękkie jeszcze pewnie, lecz długie, rosły sobie w Tobie już od jakiegoś czasu. Mała różyczka.

Czuję, że te obrazki będą dziś miała cały dzień pod powiekami.

Czy można Was odwiedzić?

Ściskam najczulej

Ciotka

Od: jaga.jablon@gmail.com

Do: malina_m@malibox.pl

Data: 22.03.2016

Temat: Plany na dziś

Kochana M.,

po południu to już nas tu nie będzie. Tym razem się zapałam i wychodzę ze szpitala po kilkunastu godzinach od porodu. Nie znoszę szpitali; w tej niechęci jestem podobna do mojej babci, która zawsze powtarzała: „W szpitalu to ludzie umierają”. Chichot losu – w ciągu całego życia nigdy nie leżała w szpitalu; urodziła moją mamę w domu z akuszerką, a potem była zdrowa jak koń. Starość ją pokonała, łamiąc jej biodro i dokładając za chwilę zapalenie płuc. Pożegnała ten najpiękniejszy ze światów w szpitalnym łóżku...

Nie widzę potrzeby, żeby tu być. Hania oszacowana na dziesięć punktów, ja w nadzwyczaj dobrej formie, ciągnących szwów nie licząc. Dookoła zaś dość paskudne warunki hotelowe. Pokój trzyosobowy, u pozostałych położnic tabuny krewnych już od rana: mamy konkurujące z teściowymi, grube hałaśliwe ciotki i ich wycofani mężowie, nieporadni w tym wszystkim mężowie. Dodaj do tego salowe, co to muszą sprzątać już od piątej rano, niegasnące jarzeniówki, łazienki niezapewniające ani odrobiny intymności. Wkład medyczny niewielki, bo lekarze interesują się raczej rodzącymi. Była położna, której objawiłam swój plan na dziś, czyli wyjście do domu. Nasłała na mnie młodą lekarzkę, która próbowała mnie przekonać, że jutro ma być szczepienie Hani. Ponieważ pozostała bezradna wobec mojej odpowiedzi, że w takim razie jutro się zjawię, ale już ambulatoryjnie, wezwała starszą panią doktor. Bardzo rozsądną: „Nie przekonam pani, prawda?”. „Prawda”. „Proszę nam podpisać, że wychodzi pani na własne życzenie”. No to podpisałam i czekam na Jerzego. On to jest dopiero zdziwiony i przerażony! Kiedy Marysia się rodziła, kobiety trzymano w szpitalu tydzień. W tym czasie faceci mogli odpoczywać i świętować, i nawet była szansa, że już trzeźwi zjawią się z goździkami pod oddziałem położniczym, by odebrać małżonkę. Killkadziesiąt lat i dokonała się rewolucja.

Mimo naszejprzeogromnej przyjaźni chciałabym ten wieczór spędzić tylko z Jerzym i Hanią. Jej

pierwsza noc w domu rodzinnym, z rodzicami. Rozumiesz, prawda?

Wpadniesz jutro?

Całujemy, Ciotko

J.

Od: malina_m@malibox.pl

Do: jaga.jablon@gmail.com

Data: 22.03.2016

Temat: Odwiedziny kontra przeprowadzka

Psiakość, jutro nie mogę!... Na popołudnie zamówiliśmy taksówkę bagażową do przewiezienia kłopotów z mojego mieszkania do domu Staśka. Pakuję się od niedzieli wieczór i powiem Ci, że ilość dóbr, w które obrosłam w ciągu czterech lat mieszkania tutaj, jest wstrząsająca. Jedna osoba dorosła i jedno dziecko! Niemajętno! A jakie posiadające...

Szafy po brzegi pełne wszystkiego. Ciuchów, do których „kiedyś schudnę”, zapasów pościeli w jeszcze nieotwartych foliach, waz i sosjerek, nigdy nieużywanych (prezenty na nowe mieszkanie). Spętłonych kabli, włączników, resztek farb i płytek – na wszelki wypadek. PIT-y, paragony, paski od pensji, co to nigdy nie wiem, jak długo należy je trzymać (i czy w ogóle). A nade wszystko – pamiątki... Pierwsze albo najładniejsze ubranka Irenki. Pierwsze albo najładniejsze rysunki (czyli prawie wszystkie: kiedyś próbowałam dokonać selekcji, lecz za każdym razem, gdy chciałam jakiś mniej udany wyrzucić, czułam się podle). Ulubione zabawki sprzed trzech lat. Tony zdjęć, oczywiście wywołanych i w albumach (trzy półki regału). Jakieś muszelki, patyki, kamyczki przemieszane tak, że już trudno mi powiedzieć, skąd pochodzą. I te dylematy: przeprowadzać to wszystko czy się w końcu rozstać?... Nie mogę się zebrać na ogólną decyzję, więc każdą rzecz roztrząsam z osobna. Zajmuje to masę czasu, który przecież mogłabym już przeznaczyć na przedślubne pięknienie, maseczki, algi, parafiny... Ale nie! – natura sentymentalnego chomika niestety zwycięża: sterta do wzięcia jest wyraźnie większa od sterty do wyrzucenia. Co z kolei rodzi problemy, jak to draństwo spakować, tak by nie ucierpiało w transporcie.

Ech. Zaczynam podejrzewać, że na starość będę dziadem zbieraczem.

Meble na szczęście zostają – kiedy już wszystko opróżnię i uprzątnę, w jakiś słoneczny dzień porobię zdjęcia moim stylowym wnętrzom i dam ogłoszenie o wynajmie. Trzymaj kciuki, by znalazł się rzetelny najemca i żeby zysk z najmu wystarczył na kredyt. Byłoby bajecznie!

A tymczasem – skoro wciąż jeszcze nie zobaczę Hani na żywo, przyślij mi jej zdjęcia z kolejnego dnia życia, co?... Zakochuję się w tej kruszynie bez pamięci!

Całuję znad pudeł

Przyszły dziad zbieracz

Od: jaga.jablon@gmail.com

Do: malina_m@malibox.pl

Data: 23.03.2016

Temat: Home, sweet home

Przeczytałam Twój mejl i krytycznie rozejrzałam się po wnętrzu. Mieszkamy tu kilka miesięcy, a już obrosliśmy. Cieszę się, że nie tylko ja gromadzę rzeczy tak zwane sentymentalne. Przez chwilę było na Słonecznej dość ascetycznie. Półki z książkami, szafy, stół i kanapa – na tle czystej bieli ścian. Potem ja powiesiłam pierwszy obraz („od zawsze był w salonie moich rodziców”), Jerzy zaraz wyciągnął swoje akwarele („wuj przywiózł z Włoch, miałem wtedy trzy lata, całe życie na nie patrzyłem”), no to ja buch na stół wazon babci („dziś już nie ma takiej uranowej zieleni”), a wtedy Jerzy ozdobił ścianę nad swoim

biurkiem zdjęciami rodziny – z przewagą czarno-białych fotografii pradiadków („lubię na nich patrzeć”). I tak poszło. Bardzo mi z tym dobrze; lubię się czuć częścią historii, czuć takie rodzinne zakotwiczenie. Nie będę Cię więc namawiała, żebyś się pozbywała rzeczy. Na starość obie będziemy zbieraczami-wygami. Póki nie gromadzimy opakowań po jogurtach albo starych gazet, wszystko jest okej.

Jerzy jest jak zahipnotyzowany. Mógłby nie jeść, nie pić, nie spać. Energię czerpie z wpatrywania się w Hanię. Przelicza jej paluszki, głaszcze uszko, robi zdjęcia. Mam wrażenie, że ta zawiązująca się silna więź to wynik uczestniczenia w porodzie. Cieszy mnie to bardzo. Jerzy-kochanek, Jerzy-mąż, a teraz Jerzy-ojciec. I w każdej z tych ról wypada dobrze.

Jutro przyjeżdżają Matysia i Jeremi. Bardzo jestem ciekawa, jak przyjmą siostrę. Kolejna rewolucja w ich życiu. Może obawiam się na wyrost, ale wydaje mi się, że mogą się czuć zagrożeni. Najpierw okazało się, że muszą się mną dzielić z Jerzym. Teraz do konkurencji dołączyła Hania. Żeby te obawy nie pęczniały, poprosiłam Jerzego, żeby im kupił prezenty – takie od Haneczki i niego, na przywitanie. Jeremi dostanie nową futbolówkę, Matyska gigantyczny zestaw pasteli.

Ze mnie tymczasem schodzi adrenalina, a mleko wręcz przeciwnie – wzbiera ogromną falą. Beznadziejnie to natura urządziła – dlaczego zawsze po dwóch dniach następuje taka produkcja mleka, jakby z jednego noworodka nagle miał się zrobić tuzin ssaków? Wyglądam jak gwiazda porno z twardo napompowanym biustem. Odcinam, odcinam kolejne liście kapusty i zagryzam wargi. Trzeba mieć dużo siły, by być matką.

Ściskam

J.

Od: malina_m@malibox.pl

Do: jaga.jablon@gmail.com

Data: 24.03.2016

Temat: „Zakochałam się w czwartek niechcący...”

Droga matko Haneczki!

W istnym rollercoasterze zdarzeń ostatniego tygodnia jeszcze mi tylko tego brakowało: nowego zakochania.

Cóż poradzić: takich rzeczy nie da się zaplanować, a już tym bardziej nie da się ich uniknąć. Gdy czuć już oznaki – charakterystyczne otumanienie, natrętne myśli, mrowienie, popadanie w błogostan od samego patrzenia na obiekt swych uczuć – jest zdecydowanie za późno na jakikolwiek unik.

Słowem – dokonało się: zakochałam się w Twojej Hani. Mejlowe relacje to jedno, zdjęcia – drugie, ale zobaczenie jej na żywo – to było wstrząsające przeżycie.

Te rączki jak małe krabiki, z parą maleńkich, a takich mądrych kciuków.

Główka wielkości, nic nie przesadzając, pomarańczy.

Usteczka z tą rozczulającą falką à la Jerzy – lecz wygładzony, rozjaśniony i pomniejszony do rozmiarów laleczki.

A wszystko to pogrążone w spokojnym śnie, zawinięte w pieluszkę, pajacyk, ciasno przewiązany rożek. Bezcenny tobołek z duszyczką.

Od pierwszego potrzymania tego tobołka wezbrała we mnie fala najlepszych ciotczyńskich uczuć. Odkąd od Was wróciłam, nie mogę sobie z tym zalewem poradzić (zupełnie jak Ty z Twoim mlekiem). Obcałowuję Irenkę i utwierdzam się w tym, że chcę mieć ze Stasiem dziecko. Oczywiście przegadaliśmy to już dawno, oboje jesteśmy na tak, a on nawet na więcej niż tak („Niejedno, kochanie, niejedno!”), ale do przekonania teoretycznego teraz z impetem dołączyła biologia. Chcę mieć dziecko, więcej dzieci! Tak.

Najpierw jednak muszę przeżyć jakoś ten tydzień. Przedwczoraj do późnej nocy pakowałam kłamoty. Jak się słusznie domyślasz, wzięłam niemal wszystko. Wczoraj przewieźliśmy owo „wszystko”

z mieszkania do domu, z trudem załadowawszy naprawdę dużą taksówkę bagażową. Dzisiaj wytchnienie na wizytę u Ciebie (i wybuch mego zakochania), wieczorem msza z obmywaniem nóg. Jutro ostatnia wizytacja naszej weselnej restauracji. W sobotę zaś nareszcie oddam się w ręce zawodowych upiększaczek: idę na manikiur, pedikiur, depilację, zabieg rozświetlający na twarz, masaż i maseczkę z algami – raz na bogato, a niech tam! Kiedy panna młoda ma już swoje lata, do ślubu trzeba się trochę przygotować.

No dobra, tak naprawdę to nie był mój pomysł, tylko prezent od moich nieocenionych sąsiadek. W ten weekend, kiedy odwiedziła mnie Joanna, planowałyśmy spotkać się u mnie na coś w rodzaju wieczorku panieńskiego. Termin przepadł, ale dziewczyny wręczyły mi bon na te wszystkie zabiegi. Wzruszyły mnie...

Co zaś do wieczorku, to spotykamy się – nie uwierzysz: dokładnie ostatniego dnia przed ślubem, czyli w Wielką Sobotę. Powiedziały, że nie odpuszczają, że nie mogą się tak wyprowadzić bez zaliczenia ostatniego zlotu czarownic, że dobrze mi to zrobi, bo zamiast niepotrzebnie się stresować, posiedzę sobie z nimi, pośmieję się i zjem coś dobrego (błogosławiona luźna w pasie suknia!) – a przy okazji fachowo ocenią efekty tego kosmetycznego upiększania. Cóż mogłam powiedzieć? Ano nic, bo to są twarde babki, nie dają sobie w kaszę dmuchać: jak już coś postanowią, to nie dadzą sobie tego łatwo wybić z głowy. Poza tym przecież i ja uważam, że to świetna myśl.

Co do mego narzeczonego – to on z kolei do ostatniej chwili upiększa nie tyle siebie, ile... dom. Pamiętne dwa dni naszego wspólnego remontowania tak go rozochociły, że nie może przestać: wciąż jeszcze coś dorabia, ulepsza, poprawia; wprowadza w życie nowe pomysły racjonalizatorskie („Zawsze kiedy jesteś u mnie, mylisz się i szukasz włącznika światła w kuchni na lewo od drzwi. I ty wiesz? To jest święta racja, on tam powinien być! Byłoby dużo wygodniej!” – mówi mi ostatnio i zaraz bierze się do przekładania; oczywiście z całym tym kuciem ściany pod kable itd.). Koniec końców malowanie na biało tych mebelków dla Irci też spadło na niego; skądinąd bardzo dobrze, bo zrobił to pewnie dużo ładniej niż ja.

Jedyne, od czego konsekwentnie się odżegnuje, to rozładowanie moich tobołów przewodzkowych. Zresztą może to i lepiej, rozłożonych podług męskiej logiki przedmiotów pewnie szukałabym miesiącami.

O ironio, jako pierwszy przeprowadził się do Stacha Carlos: zamieszkał u niego, wraz z naszym dobytkiem, już wczoraj, by powoli przywykać do nowego miejsca pod obecność gospodarza.

„Pod obecność”, tak – bo oboje z S. wzięliśmy po tygodniu urlopu przed ślubem, odkładając podróż poślubną na jakąś bliżej nieokreśloną przyszłość. Co do miejsca – marzy mi się odludna grecka albo hiszpańska wysepka. Bez kres wód, szum fal, ciepły piasek i nastroje prokreacyjne, jak na katolików tuż po ślubie przystało, hu, hu, hu!

No, ale to musi na razie poczekać. Teraz bardziej potrzebny był nam urlop przedślubny niż poślubny – a na przed, po i jeszcze później na grecką wysepkę nie starczy mi urlopu – nową pracę podjęłam ledwie przed pół rokiem, wolne „miarowo narasta”.

Dobrze, że w poniedziałek wypada święto – rysuje się szansa na odpoczynek po nagromadzonych wrażeniach; oby samych pozytywnych!

No dobra. Kończę i lecę do kościoła. Ucałuj Moją Ukochaną Ciocia

Od: jaga.jablon@gmail.com

Do: malina_m@malibox.pl

Data: 25.03.2016

Temat: Wielki Piątek

Madziu,

czułam, że tak będzie. Noworodki potrafią wzruszyć: malutkie, nieporadne, skazane na naszą opiekę. No i ten niezwykły zapach: mleko przemieszane z ciepłem morelowej skóry i puchem na głowie. Kiedy wzięłaś Hanię na rękę, ktoś jakby Ci przełącznik zmienił; zapatrzyłaś się, wwąchałaś, hormony ruszyły do ataku: „Rodzić, rodzić, rodzić!”. Tak natura nami steruje. I bardzo dobrze, bo gdyby na chłodno wyliczyć wszystkie niedogodności: drapiące szwy w miejscach newralgicznych, poranione sutki, obrzmiałe piersi, rozciągniętą skórę, nieprzespane noce, kobiety nie decydowałyby się na macierzyństwo. W sumie mam i tak nieźle, bo omija mnie prawdziwy koszmar młodych mam, czyli depresja poporodowa. To otchłań, w którą kobieta się zapada, ciągnąc za sobą dziecko. Chciałam zrobić o tym artykuł, ale Troglodyta był przeciwny: „No czy ja wiem, to takie smutne. Zrób coś o baby shower lepiej”. Z nową szefową pójdzie łatwiej – ona chyba uważa, że powicie potomka musi się zakończyć depresją i dramatem, bo noworodek to niemy ciemniejszy matki.

My dziś w większym gronie. Marysia też nie wytrzymała i wpadła po południu. Oczy szklily się jej tak samo jak Jerzemu. Usiadła na fotelu, poprosiła, żeby jej pokazać, jak ułożyć rękę do trzymania Hani, i tak zastygła. Z jednej strony miała Jeremiego, z drugiej – Matyškę. Wpatrywali się w becik, a ja oczami duszy widziałam, jak oplata ich nic nowo tworzącej się więzi. Mam przeczucie, że to wszystko nam się pięknie poskleja. Że ciepłem i dobrą wolą można zdziałać cuda.

Martwi mnie Jerzy. Nie było okazji, żeby o tym porozmawiać, gdy u nas byłaś. Nie zauważyłaś, że jest trochę smutny, oczywiście euforię około Haniową wyłączywszy? To przez tę pracę. Jest nią zmęczony i sfrustrowany. „Tyle czasu w korporacjach. To zajęcie dobre dla ludzi młodych, bez potrzeby refleksji, niestawiających sobie pytań: po co? Jaki sens? Wyrosłem z tego, wypaliłem się, wyjałowiłem”. Wiesz, ja go bardzo dobrze rozumiem. Przecież myślę tak samo, może moja tolerancja jest większa, bo mniej lat za mną. Ale pieniądze są potrzebne, kredyt trzeba spłacać, troje dzieci to nie żarty. Przyjemna (mimo moich wcześniejszych narzekań Jerzy ma wciąż zdecydowanie lepsze wynagrodzenie niż średnia krajowa) pensja za nieprzyjemną pracę versus smutna pensja za pracę cieszącą. Zazgrzytała rzeczywistość, ale nie myśl sobie, że się boję czy marudzę. Nic z tych rzeczy; fakt, bycie panią doktorową zapewniało stabilizację finansową, ale tego poczucia szczęścia i ciepła w środku nie da się przeliczyć na kasę. Nic to, kupię na *Allegro Sto dań z parówki i Kartoflaną kuchnię zdrową*, tanią, smaczną. Będzie dobrze.

Jutro malujemy jajka, Kasia, sąsiadka, obiecała zabrać Jeremka i Matyldę razem ze swoimi córeczkami do kościoła. Jerzy jedzie na zakupy, bo w niedzielę będzie u nas świąteczne śniadanie. Składkowe, bo wszyscy solidarnie wyłączyli mnie z przygotowań. Do stołu siądzie Marysia z mężem, pan Tomasz, my.

Czuję, że nie dam rady być na Twoim ślubie i weselu. Jestem jeszcze obolała, zmęczona, Hania wciąż wisi na mojej piersi. Ale mam taki pomysł: wcześniej rano, bardzo wcześniej rano, gdy Hanuś odsypia nocne pobudki, wpadnę do Ciebie na panięńską kawę. Pół godziny tylko dla nas. Ja nie myślę o przeciekających wkładkach do biustonosza i chmurach zbierających się nad naszymi finansami, Ty odpędzasz przedślubne nerwy i w moim kojącym towarzystwie czekasz na TĘ chwilę. Ach – no i jeśli się nie rozmażesz, to mogę Cię jeszcze umalować i ufryzować. Pasuje?

Całuję

J.

Od: malina_m@malibox.pl

Do: jaga.jablon@gmail.com

Data: 26.03.2016

Temat: Bardzo Wielki Tydzień

Jagodo,

mój tegoroczny Wielki Tydzień przypomina raczej sen wariata niż przygotowania do Wielkiej Nocy. Duchowości w nim mało, więcej zasuwania i lęku, czy ze wszystkim zdążę. Oraz czy dobrze robię. Oraz czy wszystko się uda. Stasiek kompletnie nie rozumie mojego popłochu, a konieczności pośpiechu nie dostrzega wcale: „Jaka gonitwa, kochanie? Przecież wszystko podąża swoim tempem, każdą rzecz zaplanowaliśmy, ślub da nam przyjaciel, przyjęcie będzie kameralne – czymże się tu denerwować?...”.

No rzeczywiście, czymże.

Co do mnie dziś popędzałam kosmetyczkę, żeby mi szybciej masowała twarz, oto do czego doszło. Z pedikiuru i maseczki zrezygnowałam, nie usiedziałybym; wykorzystam je kiedy indziej; dziś beczynne siedzenie, podczas gdy świat dookoła pędzi, byłoby dla mnie torturą. Uspokaja mnie krzątanie – nawet jeśli to tylko złudne poczucie, że coś się robi.

Jest ono tym bardziej złudne, że nie mam wokół kogo się krzątać. Irenka wczoraj przeniosła się na całe święta do dziadków – są tam już Joanna, Krzysiek, Antoś i Julcia, pewnie zabawom (oraz napominaniom) nie ma końca. To był pomysł mamy: „pozałatwiał tam sobie wszystko spokojnie, przyjedziesz do nas w sobotę z koszykiem, pójdziemy wszyscy razem poświęcić jajka, zjemy obiad, dzieci się porządnie pobawią”.

Porządnie pobawią, ha, ha. Albo pobawią, albo porządnie, pomyślało mi się, ale nie chciałam się wdawać w dyskusję.

Tak czy owak zawiozłam im wczoraj Ircię, dziś od rana to kosmetyczne męczeństwo, potem przyjechał Staś i pojechaliśmy razem do rodziców. A tam niespodzianka od mojej nieocenionej córeczki: oto Irusia wykonała dla nas serię pisanek weselnych własnego pomysłu. Na każdym jajku, które babcia ugotowała dla wnuków do zdobienia, po pięć na łebka, odnalazłam parę nowożeńców w strojach godnych i pozach sztywnych. Ja mam na głowie to diadem, to welon, to koronę, która z ledwością trzyma się pionu na ogromnych lokach, Stasiek zaś na każdym jajku ma nieodzownie melonik, laskę, wąsy i wysokie buty puszczone wierzchem spodni, jak łowiczanin na ludowo.

Jak tu zjeść takie cuda?!

Po obiedzie u rodziców, bez zasiadywania się, poprosiłam Staszka, żeby mnie odwiózł do domu. Wpadłam w dziwny nastrój smutku, który chciałam poroztrzasać w samotności. Ogarnęła mnie potrzeba jakiegoś podsumowania, pożegnania się ze starym życiem.

Cisza i nagie, pustawe mieszkanie były do tego idealną scenerią.

Tych meandrów kobiecej duszy także nie było dane pojąć mojemu biednemu narzeczonemu:

– Po co chcesz się posmucić? Ale się nie wycofujesz? Nie uciekniesz mi spod ołtarza? – dopytywał.

Nie ucieknę, bez obaw, oczywiście, że nie. To taki wentyl wewnętrznego smutku, który pewnie każdy z nas ma i czasem musi go trochę spuścić, by móc dalej funkcjonować pogodnie.

Jeśli liczyłam na pół nocy rozpamiętywania przeżytych w starym mieszkaniu lat, to się przeliczyłam. Oto bowiem punkt dwudziesta wkroczyły do mnie Wanda, Danka, Marzena i Karolina – oraz liczne tace, półmiski i butelki. A także kieliszki i talerze – babki pomyślały o wszystkim, nawet o tym, że pewnie naczynia mam już wywiezione. Tymczasem ja zagapiłam się na całego: na śmierć zapomniałam o wieczorku panińskim z sąsiadkami!

Jak one mnie rozruszały!... Najpierw Wanda orzekła, że ogłoszenie o wynajmie mieszkania trzeba wystawić niezwłocznie, nie ma na co czekać, zrobimy to jeszcze dziś.

– Co robią ludzie w dni wolne, na przykład w święta? – spytała podchwytliwie.

– Świętują? – strzeliłam.

– Surfują! – sprostowała Wanda. – Ileż można jeść, gadać z rodziną czy patrzeć w telewizor?

Wymykają się do komputerów i pod byle pretekstem szukają czegoś, czego akurat potrzebują. Na przykład mieszkania! Dlatego twoje ogłoszenie powinno zawisnąć na paru stronach już dziś. Trzeba je posprzątać, sfotografować, dać krótki opis – i już!

Próbowałam protestować, ale wiesz, czym to się skończyło: energiczna Wanda zapaliła wszystkie światła, znaną w szafce pod zlewem miotełką do kurzu przetarła regały, a Marzenie przykazała umyć podłogi wodą z octem, od czego miały zalśnić jak nowe. Gdy zalśniły, Wanda zrobiła serię zdjęć w ujęciach, jakich bym się nie spodziewała – nie dyskutowałam, w końcu to ona jest specem od nieruchomości, nie ja, potem napisała tyle okrągłych zdań – że słoneczne, ustawne, z charakterem i duszą – i ogłoszenie poszło.

Kiedy ona z pomocą Marzeny zajmowała się mieszkaniem, Karolina ustawiła na stole przyniesione specjały i puściła z telefonu wesołe kawałki z *Mamma Mia*.

– Jak Twoje Day SPA? – zagadnęła Danka. A ja odpowiedziałam zgodnie z prawdą, że ledwie połowicznie.

– Właśnie widzę, że jesteś pospinana. Przewidziałam to. Uśmiechnęła się szelmowsko i wyjęła z torebki olejek do masażu twarzy. – Połóż się wygodnie...

Dziewczyny poszły przed godziną, dochodzi północ – ostatnia na starych śmieciach. Kończę, bo jak mówi Danka, na piękną twarz nie masz jak sen.

Do jutra, Moja Droga. Z zastrzeżeniem, że zostaniesz dłużej niż pół godziny!

Malina

Od: jaga.jablon@gmail.com

Do: malina_m@malibox.pl

Data: 27.03.2016

Temat: Podwójnie Wielka Niedziela

Madziulku mój!

Nasze śniadanie się przeciąga. Mija pora obiadowa, a goście po deserach wracają do zimnych słonych przekąsek, po których będzie barszcz biały z jajkiem i kiełbasą, a potem zapewne znowu słodkości. I tak jeszcze długo... Dobrze mi w tej atmosferze. Mam taryfę ulgową jako mama potrzebująca rekonwalescencji. Siedzę, jem, jem, siedzę. Jedyne minus – Hania zaczyna chyba kolkowy czas. Nie znam tego problemu – Matylda i Jeremi jedli na potęgę i ich układy pokarmowe przerabiały wszystko bez trudności. A teraz wsłuchuję się w te ciche kwilenia (no, czasami to już nie takie ciche), patrzę, jak chude nóżki się nerwowo podkurczają, i serce mnie boli. Głowa i uszy też, jeśli mam być zupełnie szczerą. Jeśli to rzeczywiście kolka, to wszędzie, absolutnie wszędzie piszą, że trwa trzy miesiące i nic na nią nie działa. Skoro jesteś dziś tak długo w kościele, to pomódl się za spokój ciała Haneczki i mojego ducha.

A teraz – bo przecież po to przede wszystkim piszę – myślę z czułością o Tobie, o Was. Mam nadzieję, ba – jestem przekonana! – że wszystko toczy się idealnie, jak na wyczekany ślub przystało. Trzęsące emocje są zawsze przed; w chwili, gdy ceremonia się rozpoczyna, wszystko odpuszcza. Wiem, co mówię, doświadczenie już mam.

Całuję, ściskam i czekam na słowo od Ciebie, choćby krótkie.

Tvoja J.

Od: malina_m@malibox.pl

Do: jaga.jablon@gmail.com

Data: 28.03.2016

Temat: Ach, co to był za ślub BIS

Jagodo!

Oto mam za sobą najbardziej niewiarygodny dzień mojego życia – dzień długi jak noc polarna, pełen zwrotów akcji jak film szpiegowski i zróżnicowany jak górski klimat.

Myślisz, że się nadmiernie egzaltuję swoim drugim ślubem. No to posłuchaj...

Ranek z Tobą był najspokojniejszą częścią tego pokrętnego dnia. Kawa z tostem i jajkiem w majonezie przy kuchennym blacie, cudowny makijaż, który mi zrobiłaś, i loki à la Elisabeth Bennett (nigdy bym nie przypuszczała, że nawinięcie moich naturalnych kędziorów na Twoją lokówkę da takie efekty!).

Około dziesiątej, tuż po tym, jak pojechałaś, przyjechał Staś. Pachnący, dobrze ostrzyżony, gładko ogolony – do tego w oczach pałał mu tak uroczy szczerzy zachwyt mną – czegoż chcesz więcej?

Ano właśnie: jednak czegoś mi w jego sylwetce brakowało...

– Stasiu, kochanie – pytam więc delikatnie. – A nie masz dla mnie kwiatów?

Zastygł.

– A powinienem mieć?

– Powinieneś – mówię spokojnie, lecz już czuję wypływające mi pod Twoim makijażem rumieńce.

– Uhm. Nie pomyślałem o tym.

Targają mną tak sprzeczne emocje, że milczę. Nie pomyślał o kwiatkach dla swej przyszłej żony!... W ogóle mnie nie zdobywa, właściwie nigdy nie zdobywał! – użaliłam się nad sobą. Oczami wyobraźni już widzę siebie w kościele, zdenerwowaną, niemającą co zrobić z dłońmi, nerwowo skubiącą skórki przy paznokciach. Niekompletną. Joanna będzie drwiła do końca świata.

– Ale ja powinnam mieć kwiaty! I chcę. To jest... takie wykończenie stroju, dopełnienie! I to jest rola pana młodego, by obdarować nimi wybrankę – dąsałam się coraz płaczliwiej.

– Tej części ślubnych zwyczajów nie przećwiczyłem... – wyznał Stach ze skruchą, a ja nagle się zatrwożyłam, czego jeszcze on nie przećwiczył.

– Obrączki masz?...

Stopniowania emocji na tę część dnia najwyraźniej wystarczyło: obrączki miał.

Kwiaty – po szybkim przekalkulowaniu, gdzie można je nabyć w wielkanocny poranek, oraz po jeszcze szybszym odrzuceniu straganów pod cmentarzami – zostały kupione pod kościołem. Miał foremnej kuli kremowych angielskich róż musiałam się zadowolić rozwichrzonym pękiem kolorowych tulipanów. I tak miło, że się udało bez bazi, brzózek i kurczaczków.

Ceremonia była u-ro-cza. Pieczę nad obrączkami złożonymi na poduszczyce z wyszytym krzyżykiem sercem (Joanna!) sprawował Irysek w asyście Julki i Antosia. Przemek – proboszcz, a prywatnie, jak pamiętasz, Staśkowy przyjaciel, był tak jowialny i szczerze radosny, że i nas zdołał rozluźnić i zarazić wesołym nastrojem. Zwracał się do nas całkiem nieformalnie („Magdo”) oraz wyraźnie, otwarcie cieszył się z – jak już się kiedyś wyraził – „ruszenia z posad starego dziada Stacha”.

Pisząc „wyraźnie”, mam na myśli, że dosłownie chichotał i zacierał ręce! W krótkim kazaniu mówił o korzystnym wytrąceniu Staśka z orbity jałowego starokawalerstwa na słuszny tor łona rodziny i żony, czym rozśmieszył mnie już, niezamierzenie, do łez.

Zaobraczkowanie odbyło się zatem bardziej w wesołym niż w podniosłym nastroju. Na koniec mszy rozluźniłam się tak, że nawet tulipany bardziej mnie już bawiły, niż złościły.

Choć spodziewaliśmy się kameralnego grona, oprócz rodziny i paru znajomych Staszka na mszę przyszły moje sąsiadki, a także grupa dzieciaków z domu dziecka. Delegacja była liczna i niedająca się przeoczyć – choćby dlatego, że przy wychodzeniu z kościoła szczerze obsypali nas konfetti, a podczas życzeń odśpiewali nam *Wesoły nam dzień dziś nastał*.

Wiesz? To było bardzo przyjemne, wręcz wzruszające zobaczyć, jak wychowankowie lubią człowieka, za którego właśnie wyszłam. Pamiętam, że po raz pierwszy pomyślałam wtedy z odcieniem dumy: „mój mąż”.

Koniec końców zjawiała się też siemiatycka reprezentacja rodziny Staszka: legendarna Violetta, Bodzio i ich znani mi dotąd z opowiadań synkowie: Alan i Adrian.

Violetta okazała się bardzo zgrabną – i bardzo młodą – blondynką o usposobieniu przebojowym. Od

modnych charmsów, breloczków i futrzanych chwestów przy torbie, kluczach, bransoletce, kolczykach i komórce cała zdawała się pobrzękiwać. Mocno podkreślone oczy i połyskujące odbłaskowymi drobinkami kości policzkowe udanie odwracały uwagę od braków w bocznym uzębieniu. Miała kusą różową kurteczkę ze sztucznej skóry, kusą koronkową sukienkę, pseudosportowe botki z wszytym wewnątrz obcasokoturnem i długie sztuczne pazury w kolorach żywszych niż moje tulipany.

Roztaczała intensywną, przenikliwą woń perfum.

Bodzio, dla zupełnej odmiany od żony, był grubawym knypkiem o czerwonej, zużytej twarzy człowieka pijącego i palącego. Wszystko, co miał na sobie, także wyglądało na zużyte. Roztaczał zgoła inną woń.

Co zaś do dzieci... Zsumuj wszystko, co już Ci dotychczas napisałam o ich sytuacji porzucenia (przez rodziców) i podrzucania (babci i ciotce). Dodaj do tego powyższy opis rodziców, a otrzymasz z grubsza obraz dzieci niesfornych, rozbisurmanionych, niesłuchających napomnień (bo i niby dlaczego, skoro ani do rodziców, ani do ich napomnień wyraźnie nie nawykli?). Od stóp do głów byli ubrani jak prosto ze sklepu – a mimo to sprawiali wrażenie zaniedbanych, bo ja wiem – może uczuciowo?

Nic jednak jeszcze nie zwiastowało zwrotu akcji zaplanowanego na zakończenie tego pięknego dnia...

Po pieśniach, konfetti i życzeniach pojechaliśmy małą garstką do restauracji. Obiad, deser, przekąski, toasty, żarty i miłe pogawędki zajęły nam prawie cztery godziny. A potem wybuchła prawdziwa bomba – i nie, niestety nie mam tu na myśli tortu weselnego z wymyślną racą.

Około szóstej do naszych krzeseł zakradła się od tyłu Violetta. Nachyliła się ku nam z wyraźną ekspozycją biustu, objęła nas poufale swymi długimi ramionami i przemówiła szczebiotliwie:

– Stasiuniu, to my byśmy skorzystali z tej twojej propozycji zajęcia się dziećmi. Jutro lecimy z Bodziem do Brussel, co robić, z czegoś żyć trzeba, a urlopów to za chętnie tam nie dają... Jak tylko babcia wydobrzeje, to ich od was odbierze, a na razie będziecie mogli od razu poczuć, że założyliście rodzinę, hihi! Taka ładna z was para, na pewno świetnie sobie poradzicie. Wiedziałam, że na rodzinę zawsze można liczyć. No, to my się już będziemy zbierać, żeby w miarę za widoku jechać... Bodzio zaraz wam przyniesie ich plecaczki.

Nic z tego nie rozumiałam.

Stasiek pokiwał głową.

– Jasne.

– Jeszcze raz serdeczne gratulacje i fury dzieci! – Lisica cmoknęła powietrze koło naszych uszu, obróciła się na swoim kryptoobcasie i znikła.

Do nas zaś podszedł jej zwalisty mąż.

– Tu są rzeczy – rzekł i postawił przy naszych krzesłach dwa mocno wypchane szkolne plecaki. – No to, oby wam się. – Chuchnął nietrzeźwo, podał Staszce łapę jak bochen, mnie cmoknął w policzek i poszedł.

– Kochanie, o czym oni mówią? – zapytałam. Ni stąd, ni zowąd nagle poczułam się sztucznie, jakbym grała rolę w telenoweli.

– O tym, że zostawiają nam dzieci – odparł ze spokojem mój mąż.

– Jak to? U ciebie, w domu dziecka? – nie nadążałam.

– Nie, skarbie. U nas – powiedział Stasiek i podniósł na mnie wzrok. – Gdy byłem u nich w lutym, powiedziałem, że jeśli nie będą mieli co zrobić z Alanem i Adrianem, ja się nimi zajmę.

– Jak to: ty?! A ja?!... Nie pomyślałeś o tym, żeby mnie zapytać? – Nasza rozmowa zaczynała brzmieć jak z dziwaczego snu. W tym śnie nadal graliśmy w telenoweli, a ja haniebnie, doszczętnie zapomniałam nie tylko swoich kwestii, lecz także całego scenariusza.

Staszek obrócił w palcach łyżeczkę.

– Tu nie ma o co pytać, kochanie. To są dzieci, którymi trzeba się zaopiekować. W tej chwili my

jesteśmy ich najbliższą rodziną. I zrobimy to lepiej niż ktokolwiek inny.

Ani mój umysł, ani serce nie zdołały przetworzyć tych, wydawać by się mogło, prostych informacji. W głowie włączyła się jakaś maszyna zagłuszająca myśli.

– Ale ja... nie jestem pewna, czy... jestem gotowa... czy chcę... – Rozpaczliwie usiłowałam zdecydować się na jakąś postawę. Wahadło bujało się od opcji dobra ciocia do kobiety wściekłej, że nikt nie zapytał jej, czy chce się zajmować dwójką niebudzących sympatii dzieci.

Patrzyłam na dwa przybrudzone plecaki, potem poszukałam wzrokiem ich właścicieli. Alan i Adrian pokazywali coś w tablecie Irencie, Julci i Antoniemu. Nie wiedziałam, czy zostali uprzedzeni przez rodziców o czasowej zmianie adresu.

Stach odłożył łyżeczkę.

– Po śmierci rodziców spędziłem trzy lata w domu dziecka. To nie był zły dom. Nie miały tam miejsca żadne mrozące krew w żyłach historie. Nikt nikogo nie krzywdził. Moi opiekunowie byli dobrymi i ciepłymi ludźmi. A jednak jedyne, o czym marzyłem, to żeby zapijaczony brat taty zlitował się i wziął mnie do siebie. Do swojego lichego domu, na wieś, w biedę, awantury i brak perspektyw. Dzieci powinny mieć rodzinę, nie ośrodek wychowawczy.

– Ale... Wiedziałaś, że ich dziś zostawią?

– Nie. Ale istniała taka ewentualność. Dostali zaproszenie, skorzystali z okazji.

– „Istniała taka ewentualność”, o której nawet się nie zająknąłeś?! Nie mieści mi się to w głowie!!!

Mój świeżo nabyty mąż odsunął krzesło, usiadł naprzeciwko mnie i wziął moje dłonie w swoje.

– Nie martw się. Przecież sobie poradzimy.

Pozdrawiam Cię, wciąż z dziwnej telenoweli, wciąż bez tego cholernego scenariusza

Magda Świerczyna

Od: jaga.jablon@gmail.com

Do: malina_m@malibox.pl

Data: 28.03.2016

Temat: Re: Ach, co to był za ślub BIS

Świerczyno, żono Świerka,

widzę, że wszystkie przeżycia dnia wczorajszego odbiły się na Tobie mocno, skoro piszesz do mnie PRZED siódmą rano, a PO nocy poślubnej...

Odpisuję z komórki, na chybcika, bo już słyszę kwilenie Hani. Idziemy dziś na pierwszy spacer – może leśne wertepy wymasują Haniną kolkę. Pomyślę, przemyślę i napiszę do Ciebie wieczorem. Bo teraz mam pustkę w głowie.

Całuję, całuję!

J.

Od: jaga.jablon@gmail.com

Do: malina_m@malibox.pl

Data: 28.03.2016

Temat: Szlachetność kontra wygoda

Madziu,

wieczór, dom pogrążony w ciszy, jest nastrój do pisania.

Próbowałam sobie to wszystko ułożyć, ale wciąż mam w głowie mętlik. Cieszę się, że ślub się odbył w miłej atmosferze. Brakiem kwiatów nie masz się co przejmować. Właściwie nawet bym o tym nie wspominała, gdyby nie fakt, że to niekupienie wiązanki dla panny młodej dużo mówi o Staszku.

I wcale nie mówi źle. Staszek po prostu nie przywiązuje wagi do konwenansów. Bierze życie w całej jego prostocie, patrząc tylko na sprawy ważne i zupełnie nie kłopotząc się ozdobnikami. Ważny zatem był sakrament, który Was połączył, obrączki – widoczny efekt tego sakramentu, no i Wy. Reszta – to tylko dekoracje. W gruncie rzeczy to bardzo szlachetna postawa, co nie zmienia faktu, że Tobie, kobiecie, i do tego jeszcze zainteresowanej tym, by dokoła było pięknie, dobranie, dopasowanie, pachnąco i kolorowo, taki estetyczny puryzm może przeszkadzać. Albo przywykniesz, albo będziesz się irytowała. Sugeruję: wybierz wariant pierwszy. Dla swojego i nowo rozpoczętego związku dobra – tak Ci radzi najserdeczniejsza przyjaciółka.

Co zaś do chłopców. Widzisz, po to właśnie był ten wstęp: to jest WAŻNA sprawa. No trudno się z tym nie zgodzić. Jasne, też bym nie chciała zostać w taki sposób zaskoczona. I to na własnym ślubie! Być może – nie wiem, ale nie będę zgrywała bohaterki – wcale bym nie chciała przygarnąć obcych dzieci pod swój dach. Mam troje i wiem przecież, że to nie tylko wielkie szczęście, lecz także wysiłek i trud, który wytrzymuję, bo jest wspierany przez miłość płynącą z genów. Tu tych genów zabraknie, więc trud będzie zdecydowanie większy. No i to chłopcy, a Ty jesteś mamą grzecznego dziewczynki z warkoczami. Jeremiś – choć całkiem ułożony – bywa tak po chłopięcemu żywiołowy, że czasem mam wrażenie, że klepki z podłogi katapultują, a żyrandole pospadają. A on się tylko bawi... Z trzeciej jednak strony to bardzo przykra sytuacja. Rodzice Alana i Adriana (dzieciom można zmienić imiona? Pytam, na wypadek gdyby zostali u Was na dłużej) nie są, eufemistycznie mówiąc, odpowiedzialnymi ludźmi. To pewnie nie wynika z ich złej woli, raczej z przenieszonego z pokolenia na pokolenia wzorca wychowania i miłości rodzicielskiej, a właściwie ich braku. Pomyśl sobie, jak ci chłopcy muszą się czuć – matka to gwarant bezpieczeństwa w życiu każdego dziecka. Niech się wali, niech się pali, niech nie będzie zabawek, niech nie będzie czekolady, byle była matka. Oni tymczasem jak tobolek, rzucany, gdzie popadnie. Strasznie to przykre. Może ta świadomość będzie pomocna w zaakceptowaniu sytuacji. I jeszcze sobie myślę, że dla tych chłopczków taka nieoczekiwana zamiana miejsc mimo wszystko może się okazać zbawienna w przyszłości – zostali wyrwani z tego kręgu biedy, zaniedbania, pijaństwa i innych patologii. Ich los w Twoich/Waszych rękach. Bo że ktoś ich od Was zabierze, nie wydaje mi się prawdopodobne – wybaczną brutalną szczerą. Zamiast zatem przeżywać uroki pierwszych chwil pod wspólnym dachem, rozkoszować się sobą nawzajem w ciszy i niespiesznie, musisz wziąć byka za rogi. Gdzie ci chłopcy będą spać? Gdzie chodzić do przedszkola, a może szkoły? Ile oni właściwie mają lat? Pewnie trzeba będzie zrobić jakieś zakupy odzieżowe (wyszukuję Ci paczkę ubrań po Jeremku). Przykro mi, że nie mogę Ci teraz czynnie pomóc, ale sama niedługo będę potrzebowała wsparcia. Fizycznie już się całkiem nieźle zregenerowałam, ale kolkowe dolegliwości Hani źle działają na wszystkich. To raz. Dwa: Jerzy już właściwie zdecydował, że odchodzi z tej korpo, bo ma pomysł na nowe życie zawodowe. No i sprawa trzecia – ta nieszczęsna Kasia. Nie mogę przestać myśleć o tym, co Matyśka opowiadała – że widziała, jak pan Darek „tak ścisnął ciocię za rękę, że aż pisnęła. A Marysia to się chyba posikała wtedy”. Tam się dzieje coś niedobrego, czuję to całą sobą.

Daj znać, kiedy możesz mnie odwiedzić. Tyle się narobiło, że trzeba to wszystko przegadać, na pisanie czasu nie starczy.

Mocno przytulam

J.

Od: malina_m@malibox.pl

Do: jaga.jablon@gmail.com

Data: 29.03.2016

Temat: Wielkie nadzieje

Och, Jagodo. Sama już nie wiem, czy mam siłę na spotkanie... Chyba tak, w końcu to zawsze działa

dobrze, trzeba się tylko przemóc i wyjść z domu. Mam już swoje lata, a wciąż ulegam temu samemu schematowi: roję sobie mianowicie o idealnym życiu – i gdy ono jest tuż-tuż, na wyciągnięcie ręki – rzeczywistość zawsze, ale to zawsze, nieubłagane zaczyna skrzeczeć.

Na przykład to moje nowe wspaniałe życie, co to je sobie wymarzyłam i wyidealizowałam. Przyznaj, że tym razem miałam mocne przesłanki do wielkich nadziei: zakochany facet. Całkowicie akceptująca go córka i vice versa. Fajna nowa praca. Fajny nowy dom.

I co z tego wyszło? Jeszcze nie wyszliśmy z własnego wesela, a już oblał mnie kubeł zimnej wody.

Gorycz przeze mnie przemawia, wiem. Ale jak może być inaczej?

Po tym jak nasze przyjęcie dobiegło końca, pojechaliśmy w piątkę do domu przy Margerytki. My z przodu, Irenka i chłopcy z tyłu. Z braku fotelików Staś umościł ich na złożonym w prostokąt kocu z bagażnika – po czym oddał się głównie temu, co pedagodzy nazywają chyba pozytywnym wzmocnieniem – zagadywał chłopców, stroił do nich miny, żartował – rozumiem, że wszystko po to, by pomóc im przejść przez ten trudny moment.

Tym, że ja też potrzebowałam wzmocnienia, nikt się nie przejmował.

– To wy jedziecie z nami? – zainteresowała się nagle Irenka.

– Tak, bo będziemy teraz z wami mieszkać – poinformował starszy, czyli Adrian.

– Naprawdę?... E tam, wręczasz mnie. Mamo, Adrian mnie wręca, nie?

Chciałabym móc jej przytaknąć: „Oczywiście, przecież to absurd, nie daj się!”. Zamiast tego mogłabym jednak powiedzieć tylko, że tak, owszem, wszyscy cholernie daliśmy się wręcić.

Steru rozmowy nadal pilnował Stasiek.

– Popatrz, w naszym nowym domu mama będzie miała nowego męża, czyli mnie, a ty dwóch całkiem nowych kawalerów do zabawy! A oni ciebie. I nikt nie będzie samotny. To chyba sprawiedliwy układ?

Wybitny, pomyślałam, ale nic nie powiedziałam.

– A ty byś nie chciała przypadkiem mieć rodzeństwa? – ciągnął tymczasem Stasiek. – Chłopaki, fajnie jest mieć brata?

– Nie – orzekł ze znawstwem Alan.

– No może?... – zastanowiła się Irenka. – Ale wolałabym siostrę.

– O siostrę też się postaramy – powiedział Stach i pogłaskał mnie po dłoni. – Nie martw się – dodał do mnie prawie bezgłośnie.

Nie chciałam mówić o tym, co czułam, przy dzieciach, wysunęłam więc tylko rękę i milczałam dalej.

Gdy dojechaliśmy do domu, moją głowę zaprzętnęła nowa myśl: gdzie ich położymy?

Na to pytanie nie było dobrej odpowiedzi. Siedemdziesięciometrowy domek Staszka pierwotnie składał się na dole z ganku, krótkiego korytarza, dwóch pokoi, kuchni i łazienki. Na pomniejszonej przez skosy górze znajdowały się klimatyczna izdebka, która tak mnie zauroczyła, gdy byłam u niego po raz pierwszy, oraz maleńka ubikacja. W czasie pamiętnego remontu dokonaliśmy nie lada wyczynu, przestawiając ściany, tak by wykroić z pomieszczeń na dole pokój Irenki, naszą sypialnię i niewielki salonik. Dzięki tym zabiegom siedzibę samotnego mężczyzny przystosowaliśmy do potrzeb trzyosobowej rodziny.

Trzy. Nie pięć.

W końcu stanęło na położeniu ich w pokoju z Irenką. W tym celu o ósmej wieczorem, w pierwszy dzień Wielkiejnocy i zarazem dzień naszego ślubu, zamiast sposobić się do nocy poślubnej, znosiliśmy z pokoiku na górze kanapę po ciasnych stromych schodach, włączaliśmy ją przez wąskie drzwi do niewielkiego w gruncie rzeczy i urządzonego na wskroś dziewczęco pokoiku (białe rustykalne mebelki, różyczki, które pracowicie wymalowywałam na ścianach podczas pamiętnego remoncziku – tańsza wersja tapety), szukaliśmy zapasowej pościeli, podtrzymywaliśmy na pozór błąhą, a uprzejmą rozmowę, a wszystko to kosztowało mnie więcej wysiłku, niż mogłabyś przypuszczać.

Stara żółta wersalka pasowała tam jak pięść do nosa. Cała ta sytuacja mniej więcej tak mi pasowała.

– Daj im ręczniki, ja poszukam czegoś w komórce – poprosił Stach i zniknął na pewien czas z pola widzenia.

Wyjęłam ręczniki, położyłam je na pralce. Potem zajrzałam do pokoiku. Chłopcy siedzieli w kucki na pościeli i grali w jakieś gry. Irka zaglądała im przez ramię, nie mogąc się zdecydować, na ekranie którego tabletu rozgrywa się coś ciekawszego. Skonstatowałam, że ten sam obrazek widziałam już w restauracji. Wyglądało na to, że mój misterny plan wychowawczy trzymania czteroletniego dziecka z dala od ogłupiających zabawek właśnie przestawał obowiązywać...

– Jesteście głodni? – zagałam, siląc się na uprzejmy ton.

– Nie. – Pokręcili głowami.

– Ja poproszę mleczko! – zgłosił się niezawodnie Irysek.

– Wy też chcecie?

– No – po krótkim wahaniu zdecydował starszy.

„Poproszę, ciociu”. „Tak, proszę cioci” – przypomnieli mi się Antek, Julka i naraz pomyślałam ciepło o wychowawczym zacięciu Joanny. Tak powiedziałyby też wszystkie inne znane mi dobrze wychowane dzieci moich dobrze wychowanych znajomych.

– Chodźcie do kuchni.

Wyjęłam z lodówki mleko, przelałam je do rondelka, postawiłam ronderek na gazie – proste czynności mają uspokajającą moc. Popatrywałam jednocześnie na tę trójkę siedzącą przy małym kuchennym stole z ceratą w zupełnie staromodną kratkę. W porównaniu z okrągłutką Irenką chłopcy wydawali się kanciaci. Mieli trójkątne buzie (niewątpliwie po matce-lisicy) i trochę przydługie włosy w kolorze jasnoblonde. Patrzyli na świat spod swych długich grzywek jak ulicznicy – spode łba, czujnie, może nawet konfrontacyjnie, w charakterystycznym przygarbieniu, jakoś tak cwaniacko. Nic, ale to nic w nich nie budziło mojej sympatii.

Gdy mleko się zagrzało, rozlałam je do trzech kubków.

– Ja chcę z cukrem – oznajmił Alan.

– Mleko z cukrem? – zdziwiłam się. – Może z miodem?

– Nie, z cukrem.

– To może kakao? Albo mleko z kawałkiem drożdżowca?

– Nie, mleko z cukrem.

To by trochę tłumaczyło nadszarpnięte próchnicą opiłki ich zębów.

– Proszę. – Postawiłam cukiernicę na stole.

Alan przechylił ją nad kubkiem i zgarnął sporą porcję cukru łyżeczką. Gdy ją odstawił, Adrian zrobił to samo.

– Ja też mogę tak spróbować? – zaciekała się Irenka.

– Nie – ucięłam jej nadzieje jak nożem, nie siląc się już na nic.

Hałas w korytarzu zwiastował powrót Staszka. Wnet potem on sam wyłonił się zza drzwi, niosąc stary regał, na którym trzymał dotąd jakieś gospodarskie utensylia.

– Przetrzesz go? To im wstawimy na ich rzeczy. A my, panowie, pójdziemy wziąć kąpiel, zgoda?

Zgoda, wziął na siebie ich wieczorną toaletę, lecz porozlewana wodę i wywrócone na lewą stronę skotłowane ciuchy musiałam sprzątać ja. Kolejna fascynująca czynność w uroczysty wieczór poślubny.

Przygotowując kąpiel Irenci, odruchowo przetałam wannę domestosem.

„Brzydko”, skarciłam się za to w myślach.

„No i co z tego?”, wnet odezwało się we mnie coś zaczepnie. „W końcu to nasz dom, mamy się w nim czuć bezpiecznie i... i... higienicznie. A te chłopaczki na mistrzów higieny mi nie wyglądają...”.

Po kąpieli zaniósłam Irenkę do łóżeczka.

– Wiesz, co ci dziś poczytam? – zagadnęłam z miną dobrej wróżki. – Na twoją pierwszą noc w nowym łóżeczku i pokoiku przygotowałam coś specjalnego...

Lecz Irenka nie dała mi dokończyć.

– Mamo, a może połóż się ze mną bez czytania i poprzytulaj mnie tak jak Staś ich przytula? – Wskazała na kanapę. Kołdra na niej wyraźnie formowała się w trzy ludzkie kształty, małe po bokach i duży pośrodku.

Kolejny bastion oddany..., – pomyślałam smutno.

Zsunęłam kapcie oraz specjalnie na ten wieczór zakupiony satynowy szlafroczek, poprawiłam piżamę ze Snoopym, przywdzianą w związku z nowymi okolicznościami, i przytuliłam się mocno do córki.

Napisz mi o pomysle zawodowym Jurka. Co to będzie? Buchalteria? Gazeta internetowa? Nauczanie śpiewu? Opisz mi detalicznie, ze szczegółami. Niech zajmę tym myśli na dłużej.

M.

Od: jaga.jablon@gmail.com

Do: malina_m@malibox.pl

Data: 1.04.2016

Temat: Szkoła żon, szkoła mężów

MMoja!

Trochę milczałam, bo nie wiedziałam, co Ci napisać. W pierwszym odruchu chciałam się zdziwić, oburzyć, trochę Ci powspółczuć, a nawet Cię podburzyć, bo wydałaś mi się przybita, zrezygnowana, jakbyś odpuściła to swoje szczęście, o które niedawno tak jeszcze walczyłaś. Rzeczywiście, idealne zwińczenie ślubu to nie było. I czy taki scenariusz zapowiada odmienną od oczekiwań rzeczywistość?...

Przez te dwa dni intensywnych spacerów z Hanką po okolicznych lasach (stukot i telepanie po korzeniach sprowadzają na nią sen, a na moje znękane uszy ulgę pod postacią ciszy) próbowałam sobie poukładać wszystko w głowie. Szło opornie, zresztą jak by miało iść? To nie matematyka, że dodasz dwa do dwóch i wyjdzie, co ma wyjść. Skoro nie da się ściśle i rozumowo, to może z drugiej strony? I przypomniały mi się zajęcia z literatury na studiach. Książki przynoszą czasem objawienia: Moliere. Zobacz – tematem jego sztuk jest przede wszystkim małżeństwo, z drugiej jednak strony skrętnie je omija. Jego komedie kończą się wtedy, gdy zakochanym wreszcie udaje się połączyć w pary i przychodzi czas na ślub. Trach, kurtyna. Tymczasem to właśnie wtedy zaczyna się prawdziwe życie: komedia przemieszana z dramatem. Horacy i Agnusia, szczęśliwie połączeni, po kilku latach przed sędzią będą opowiadać, że nie potrafią ze sobą wytrzymać...

Może my też wpadłyśmy w tę pułapkę? Jak myślisz? Pamiętasz, jak Ci pisałam przed rokiem, że każdemu – więc nam też – daję prawo, by się raz pomylić w życiu? Że pierwsze małżeństwo często jest obarczone różnymi grzechami: niewiedzy, nieumiejętności, złudzeń, roszczeń, niedojrzałości. Że można się przyznać do błędu, nie naprawiać, jeśli nienaprawialne, zamknąć ten rozdział w życiu – a to wszystko po to, by drugi (i ostatni) raz wybrać świadomie, dobrze i docelowo. Dalej tak myślę, tylko że to cholerna teoria, która czasem nie wytrzymuje próby codziennego życia.

Tyle mądrego wstępu. Najpierw o Tobie. Staszek to nie Wiktor. Pierwszy szedł przez życie w wyglancowanych lakierkach. Było urokliwie, porywająco, jak w filmie. Byle nie wdepnąć w kałużę lub błoto. Staszek ma na nogach solidne trapery, które zapewniają stabilny kontakt z podłożem. Dwa światy. Wybrałaś ten drugi. A w nim będzie właśnie tak, jak jest. Obiektywnie, z boku – niczego przecież Staszekowi zarzucić nie można. To dobry, fajny facet. Altruista, dbający przede wszystkim o innych. Wydaje mi się, że nie ma w nim nawet grama egoizmu, który tkwi chyba w każdym człowieku: w Tobie i we mnie na pewno. Rozumiem Twój żal, rozgoryczenie. Spędzić noc poślubną z mężem w parze, a nie

z obcymi dziećmi to całkiem naturalne pragnienie. Tyle tylko, że Staszek najwyraźniej inaczej ma poustawiane priorytety. Myślę, myślę i nadal nie wiem, gdzie jest ta granica między egoizmem a altruizmem. Ile wolno chcieć dla siebie, a kiedy trzeba siebie odpuścić i zająć się innymi?...

Podobnie rozmyślam nad sobą i Jerzym. Wiem, czuję, że to był dobry wybór, że to jest ten mężczyzna, ale i u mnie proza życia daje o sobie znać. Przecież my też nie mieliśmy takiego czasu tylko dla siebie – narzeczeństwo upłynęło w cieniu rozvodu i z rosnącym brzuchem, miesiąc miodowy składa się przede wszystkim z nocnych karmień, podkrążonych oczu i intensywnego lepienia nowej rodziny. Chyba też jest we mnie jakieś niespełnienie – że jak? To już? Koniec tej bajki, sycenia się marzeniami? Nie chcę wyjść na oderwaną od życia kretynkę żyjącą mrzonkami, więc z tej myśli zwierzam się tylko Tobie, bo jestem pewna, że rozumiesz.

À propos prozy życia: nie trafiłaś, typując nowe plany zawodowe Jerzego. Otóż Jerzy chce się zająć masażem. Wyznał, że od kilku lat taka myśl chodziła mu po głowie, ale nie miał odwagi i motywacji, by spróbować – zresztą chyba Ci o tym pisałam?... „Spokojne i dostatnie życie nie stawia przed człowiekiem wyzwania”, powiedział. Prawda; udowodniona i na naszych przykładach. Niech próbuje, rozumiem i popieram, ale... No cóż, z Tobą mogę wprost: kasa. Od przyszłego miesiąca nie będzie pensji Jerzego, a mojej zostanie osiemdziesiąt procent. Kołdra się mocno skurczy. Nim podzielimy z Piotrem majątek, upłynie sporo czasu. Uprzedzając Twoje pytanie, tak, próbowałam tę kwestię poruszyć. Jerzy chyba nie dostrzega problemu aż tak wyraźnie jak ja. „Zaciśniemy pasa, dobrze, że takie piękne lasy dokoła, to nawet problem wakacji niestraszny”. Ale na pytanie, czy wie, ile kosztują buty dziecięce i co ile się je kupuje, nie umiał odpowiedzieć...

Kochana M., przyjedź w tę niedzielę. Matyśka i Jeremi po śniadaniu jadą z Piotrem do dziadków. Gdybyś mogła oddać Staszcewii Irenkę pod opiekę, miałybyśmy dla siebie dwie, trzy godziny spaceru i rozmowy. Obie tego bardzo potrzebujemy, prawda?

Całuję

J.

Od: malina_m@malibox.pl

Do: jaga.jablon@gmail.com

Data: 2.04.2016

Temat: Duża nierodzina

Aaaaaaaa!!!

Takim krzykiem zaczął się mój poranek w drugi dzień świąt wielkanocnych, gdy po napisaniu do Ciebie wróciłam jeszcze na chwilę do małżeńskiej sypialni i zdołałam się zdrzemnąć. Krzyk dobiegał z pokoju Irenki.

Poleciałam tam pędem, gubiąc po drodze kapcie – i moim oczom ukazał się taki obrazek:

Ircia stoi w łóżeczku kompletnie zmoczona. Mokra jest też kołdra, poduszka i samo łóżko. Na podłodze stoi wiadro z łazienki, a na kanapie dwa piekielne chłopaki pokwikuja z uciechy nad dobrze spełnionym lanym poniedziałkiem.

Dalszy ciąg tego świątecznego dnia przerywała co rusz nowa petarda. Doigrałam się tych wystrzałów trochę na własne życzenie, prosząc ich o odłożenie tabletek i znalezienie sobie innych rozrywek. No to sobie znaleźli... Najpierw ganiłi Staśkowe koty. Potem siebie nawzajem. Potem berek przeszedł w jakąś szarpaczkę. Potem się zdumieli nad położeniem Carlosa:

– A gdzie pies ma budę?

– Nie ma budy. To jest kanapowy pies.

– Czyli co?

– Mieszka w domu, z nami.

– A co to kanapa?

– Tapczan. Sofa. Wersalka. A jak się na to mówi u was w domu?

Adrian z obojętną miną wzruszył ramionami.

– To po co pies, jak nie pilnuje domu?

Śniadanie minęło nam w napiętej atmosferze. Ja zastawiłam stół świeżo ugotowanymi jajkami, maminym pasztetem (w tym roku nie miałam głowy piec go sama), szynką, chrzanem, żurawiną – oni jedli jednym zębem, a gdy zapytaliśmy, co by ich uszczęśliwiło, okazało się, że bułka z nutellą. Nie lepiej zapowiadał się obiad:

– Na co mielibyście ochotę? – zagadnął Stasiek, nie ustając w staraniach, by rozpędzać chmury co rusz gromadzące się między mną a tymi dziećmi (no dobrze, bliżej mnie niż nich).

– Frytki z keczupem! – krzyknęli zadziwiająco zgodnie.

Stasiek łypnął na mnie ukradkiem, lecz napotkał nieprzejeđnane oblicze.

– Dziś jest święto, ciocia szykuje kaczkę w pomarańczach, ale jak ją znam, to dorzuci do pieca i ziemniaczki. A opiekane ziemniaczki to prawie frytki!

Alan też łypnął, by się szybko rozeznac w sytuacji.

– Frytki to frytki – orzekł.

– Z patelni – dodał Adrian.

Wszelako i na to znalazł rozwiązanie Salomon Świerczyna:

– Dziś zjemy kaczkę, a jutro usmażymy frytki z keczupem, zgoda?

(Rozumiesz?? Kaczka w pomarańczach jako poczekalnia do śmieciowego żarcia!).

– Taaaak! – wyrwała się Irenka, a ja spojrzałam na nią groźnie.

Potem poszliśmy wszyscy razem na sumę do falenickiej parafii.

Trochę było sykania, uciszania i subordynowania, tak więc gdy msza dobiegła końca, odruchowo odetchnęłam z ulgą.

Gdyśmy kłębili się już w tłumie przy wyjściu, Stasiek napotkał czyjś znajomy wzrok. Dość szykowna staruszka w beżowym wełnianym płaszczu uśmiechała się do niego promiennie. Skinął jej głową na powitanie, a ona zaczęła na nas za bramą.

– Długo pan Stanisław nie zakładał rodziny, lecz jak już założył, to od razu dużą!

– Dzień dobry, pani Sławo. To moja żona z Irenką, Adim i Alanem.

Przy imionach chłopców pani Sława nieznacznie się skrzywiła, czym natychmiast zaskarbiła sobie moją sympatię. Najwyraźniej była wyczulona na polszczyznę. Lub na polskość.

– Pierwszy mąż był obcokrajowcem? – zwróciła się do mnie. A ja z miejsca stężałam.

– To nie są moi synowie – zaparłam się jak święty Piotr.

– Ach tak... – powiedziała pani Sława i popatrzyła na mnie w zadumie. Zrobiło mi się zimno od tej chorej sytuacji.

Po tych przedziwnych świętach nieuchronnie przyszedł zupełnie już prozaiczny, nieświęteczny wtorek. Zamiast jednak iść do pracy, pojechałam z dziećmi do przedszkola. Jeszcze do soboty myślałam, że będzie do niego chodzić tylko Irenka, teraz jechaliśmy tam w piątkę nie tylko zawieść Ircię na pierwszy dzień zajęć, lecz także zapisać do placówki jeszcze dwóch Świerczynów.

Jeszcze do soboty nie spodziewałam się również, że moje pilnie strzeżone dwa dni wolnego, rezerwową „opiekę nad dzieckiem”, przeznaczę na opiekę nad nie swoimi dziećmi.

Doprawdy dopisało nam szczęście (w nieszczęściu), że przedszkole w dzielnicy Staszka nie było obłożone. W blokowisku, w moim poprzednim miejscu zamieszkania, dopisanie trojga dzieci do jakiegokolwiek grupy przedszkolnej w czasie roku szkolnego było nie do pomyślenia.

Drugi plus: w kwestiach formalnych dyrektorka okazała się więcej niż wyluzowana. Nie zapytała nawet, czy to nasze dzieci (swój dowód podał Stasiek, nazwisko się zgadzało). Nie żądała aktów urodzenia – wystarczyły jej pesel-e i daty urodzin chłopaków, które zaczerpnęliśmy z książeczek

zdrowia, które lisica przezornie spakowała do plecaków.

Na wieść o tym, co nas znowu sprowadza po zaledwie dwóch tygodniach od zapisania Irenki, zupełnie jakbyśmy zapomnieli, że mamy do zapisania jeszcze dwoje dzieci, dyrektorka zachowała pokerową twarz. Jej jedyny komentarz dotyczył niemałych opłat:

- Czy mają państwo kartę dużej rodziny? Z nią jest 20 procent rabatu na chesne.
- Nie mamy, ale to świetna myśl – zapalił się Staszek. – Pięknie dziękujemy pani za inspirację!
- Nie jesteśmy żadną cholerną rodziną! – eksplodowałam, gdy tylko wyszliśmy z jej gabinetu, i poczułam pod powiekami coś piekącego, gotowego w każdej chwili wybuchnąć.

Tak, musimy się spotkać. Może nawet się do Ciebie przeprowadzę? Mieszkać pod jednym dachem z przyjaciółką, jej mężem masażystą i miłymi dziećmi, wliczając nawet jedno z kolką, to nie jest zła perspektywa.

Ściskam
M.

Od: jaga.jablon@gmail.com

Do: malina_m@malibox.pl

Data: 5.04.2016

Temat: W buszu

Mała antylopa beztrosko hasa po sawannie. Tu skubnie trawę, tam wystawi głowę do słońca. Spokój rozlewa się po jej wnętrzu i krajobrazie. Gwałtowny ruch w wysokiej trawie, błyskawiczny skok bezszelestnie rozdzierający ciężkie od upału powietrze. Ostatnie ujęcie: wielkie, mokre oczy małego bezbronno stworzenia, które już wie, że nic i nikt nie uchroni go przed śmiercią.

Czy tego nieszczęścia nie można było przewidzieć, czy tylko antylopce zabrakło ostrożności i uważności?... A może po prostu jest tak, że w naturze zawsze muszą być wygrani i przegrani? Ktoś zjada, a ktoś inny jest zjadany?

W starciu antylopka – gepard punkt dla geparda. Dla antylopki pośmiertne zero.

Ta scena z niedawno oglądanego filmu przyrodniczego stanęła mi przed oczami dzisiejszego poranka w kuchni. Ja byłam antylopą osaczoną przez rodzinę gepardów.

– Mamo, czy możemy ją oddać? Nie lubię jej i nie chcę. Tylko płacze, a ty ją wciąż nosisz.

– Mamo, a pamiętasz, że dziś przychodzi do mnie Julka? Zrobisz nam naleśniki na obiad? I popcorn do filmu.

– Jagutku, dziś mam pierwsze spotkanie na kursie masażu, więc wracam bardzo późno. Trzymaj się.

Pół godziny później, kiedy w domu zapanowała cisza, stanęłam przed lustrem w przedpokoju. Spod krzywo zawiązanego szlafroka wystawały rozciągnięte flanelowe spodnie od piżamy. Włosy, upięte na chybca, odsłaniały bladą twarz; kredowość cery wybijała kontrast z ciemnymi sińcami pod oczami. Usta były zaciśnięte, ich kąciki przegrywały z grawitacją, smutno opadając.

Voilà, Jagoda w dniu swoich trzydziestych szóstych urodzin! Jeśli nie antylopa, to z pewnością baran. I jednemu, i drugiemu pisana rzeź.

Dobrze, że się widziałyśmy w niedzielę. Gdyby nie nasze spotkanie, na pewno bym się rozszłochała przed tym lustrem. Wszystko mi się już miesza: chciałabym się wyspać, chciałabym móc wyjść i bezrefleksyjnie posiedzieć w jakiejś kawiarni, sącząc kawę z pianką, chciałabym w spokoju pomalować paznokcie i nie zedrzyć lakieru, pieląc wiosenne rabaty, chciałabym spędzić wieczór tylko z Jerzym, a potem mieć taki namiętny seks jak w hotelu, chciałabym mieć piękną, szczęśliwą, czystą i cichą rodzinę jak z reklamy Tchibo. Chciałabym wszystko, choć przecież jestem mądrą dziewczynką i wiem, że wszystkiego mieć nie można. Głowa wypchana marzeniami kontra poporodowa chandra. Ech.

Dobrze też, że się zobaczymy w sobotę. Czasu na spokojne pogadanie pewnie nie wyrwiemy, skoro

dokoła będzie się plątała piątka dzieci, a szóste będzie uwieszone mojej piersi, ale to zawsze coś. Żeby wszystkich zadowolić, upiekę nóżki i udka z kurczaka. To chyba Wasi chłopcy zjadają?... Do tego mizeria i ziemniaki. No i oczywiście pomidorowa. Ciasta nie upiekę, bo nie starczy mi siły i ochoty, ale zamówiłam tort lodowy. Wszyscy lubią lody. Chyba.

Całuję

J.

Od: malina_m@malibox.pl

Do: jaga.jablon@gmail.com

Data: 7.04.2016

Temat: Granice pogwałcone

Jeślibyś chciała wiedzieć, Jagodo, na co poszła lwia część zawartości kopert, któreśmy otrzymali w prezentach ślubnych, to przedstawiam Ci listę:

2 foteliki samochodowe

2 wyprawki do przedszkola

2 kołdry, poduszki i poszewki na nie

4 pizamy

4 pary kapci (do domu i przedszkola)

2 pary butów wiosennych

10 par skarpet

10 par majtek

4 pary spodni dresowych

2 pary dżinsów

8 T-shirtów

8 bluz z długimi rękawami

2x wpisowe do przedszkola i 2x chesne za pierwszy miesiąc

5x naprawa najpilniejszych ubytków stomatologicznych i 2 ekstrakcje (Tak!!! Do takiego stanu doprowadzono mleczaki tych dzieci)

3x pakiet syropów, antybiotyków i osłon, bo cała trójka po niespełna tygodniu w przedszkolu z miejsca złapała anginę.

Moja Droga, różnie wyobrażałam sobie swoje nowe życie, ale nie tak. Bardzo, cholernie nie tak. Stach chodzi do pracy, ja, przez wzgląd na Ircię, wzięłam zwolnienie i siedzę z trójką chorych dzieci w domu. Choć nie, „siedzę” to stanowczo zbyt statyczne określenie. Chodzę po ścianach, wychodzę z siebie, jestem bliska sfiksowania. Opieka nad cudzymi chorymi dziećmi przerosła mnie cał-ko-wi-cie. Przypuszczam, że nigdy nie podcierałaś pupy obcemu dziecku. Ani nie prałaś pościeli, kołdry i kanapy po wymiocinach obcego dziecka (kiepska reakcja na antybiotyk). Ani nie wyciągałaś obcym dzieciom glutów z nosa.

Stach, nawykły do takiej pracy, nie rozumie problemu. Wciąż próbujemy o tym rozmawiać, ale ja jestem już tak spięta, że nie potrafię normalnie – uderzam albo w krzyki, albo w łzawy ton – a jego rzeczowość i spokój jeszcze dodatkowo mnie nakręcają.

Zamiast tego powstaje więc we mnie zew ucieczki: gdy tylko on staje w drzwiach, ja wychodzę

z Carlosem na bardzo długi spacer, z którego nie chce mi się wracać do tego domu-niedomu. W czasie tego spaceru wypłakuję się i walę głową w drzewa albo, jak teraz, niezwykle niewygodnie wystukuję do Ciebie mejl na telefonie.

Wszystko, byle tam jak najdłużej nie wracać.

Aż tak?, zmarszczysz po swojemu brwi. Otóż tak – aż tak... Obecność tych dzieci dokumentnie zburzyła mój spokój. Naruszone zostały wszelkie granice mojej prywatności i wytrzymałości zarazem. Łazienka Staśka nie ma zamka, toteż już z dziesięć razy któreś chłopaczysko wparadowało tam, kiedy się załatwiałam lub kąpałam. Powtarzanie im, coraz bardziej warkliwym tonem, że trzeba pukać, nie przynosi dotąd rezultatów.

Kiedy wczoraj w nocy chory Alan nie mógł spać i Staś wziął go do nas do łóżka, pękłam. Dotąd nie wiedziałam, gdzie przebiega granica mojej intymności, teraz już wiem: jest nią moja poduszka, teraz obśliniona i obsmarkana przez chorego trzylatka; i miejsce do spania, w którym przez całą noc charczało obce chore dziecko; mój ręcznik, w który parę razy odruchowo ktoś się wytarł, bo „co za różnica”; szczoteczka do zębów, która czasem styka się włosiem ze szczotkami małych kosmitów o zepsutych zębach; kubek, z którego piję (ten ulubiony, z owieczką „się stłukł”); czynności, które robię w łazience.

Wszystkie te punkty mojej granicy zostały pogwałcone.

Także wychowanie, które z taką pieczołowitością wpajałam córce, dosłownie w oczach przegrywa w konfrontacji z chamskimi odzywkami, rechotaniem z pierdzenia i bekania, dziwacznym słownictwem, umiłowaniem frytek i nutelli.

Jest mi bardzo smutno.

Metraż tutaj jest niby większy niż u mnie w bloku, lecz uczucie osaczenia bezdennie mnie przygnębia. Chłopcy są hałaśliwi – mają donośne i skrzeczące głosy, teraz dodatkowo pogrubione chorobą, są skorzy do gonitw i bijatyk – domek zaś okazał się dość akustyczny (trudno się spodziewać, żeby było inaczej; ścianki, którymi go podzieliliśmy, są zbudowane z metalowych szyn i karton-gipsu).

A już najbardziej mnie boli, że nie widzę wyjścia z tej sytuacji. Nie wiem, gdzie jest meta i czy w ogóle jest – wszystko zależy od stanu zdrowia babci A. i A., odpowiedzialności ich rodziców, w którą bardzo chcę wierzyć – choć może gdybym sama miała takie dzieci, też bym od nich uciekała? (Wiem, instynkt by mi nie pozwolił. Dlaczego Violetta nie ma tego instynktu???)

Nie jestem w stanie mówić do chłopców po imieniu, wiesz? Nawet nie bardzo na nich patrzę. Jeśli nie muszę akurat wycierać nosów czy dawać leków, omiatam tylko wzrokiem ogólny zarys postaci, bez wnikania w szczegóły, w które nie chcę wnikać. Obrzydają mnie ich zepsute zęby, mówienie z pełną buzią, z wysypywaniem się poślinionych kęsów (tak!). Wstydzę się za nich i za nic nie chcę, żeby ktoś pomyślał, że to moi synowie.

Tak, jestem załamana.

Jestem także bezdennie sfrustrowana, że mój mąż uważa, iż jedyne wyjście to moje przełamanie się i akceptacja. A może ja, moja Jago, NIE CHCĘ akceptować tego wszystkiego?...

Wiem, że wszystko, co piszę, musi brzmieć obrzydliwie. Może jesteś mną rozczarowana – na pewno jesteś, ja sama jestem. O niebo, co ja mówię, o cały kosmos łatwiej jest czynić dobro bezdotykowo – przelewem, wrzuceniem monety do puszek czy czapki, wrzuceniem paczki cukru do kosza w czasie zbiórki żywności. Kiedy jednak dobro przybiera postać prawdziwej pracy u podstaw, musisz się przy nim osobiście utrudzić, ubabrać, poświęcić znacznie więcej niż parę złotych czy trochę czasu, zakwestionować samego siebie i swoje granice – to jest kompletnie coś innego. Od jedenastu dni wszystkich pracowników szpitali, hospicjów, domów dziecka, przytulisk, izb wytrzeźwień i tym podobnych przybytków uważam za najprawdziwszych bohaterów.

Lecz również z całą mocą trzeźwego osądu sytuacji uważam, że ja się do takiego dobra nie nadaję. Chyba też nie nadaję się na przyjaciółkę. Przegapiłam Twoje urodziny. Frustracja i poczucie winy wylewają się ze mnie spienione i bure.

M.

Od: jaga.jablon@gmail.com

Do: malina_m@malibox.pl

Data: 10.04.2016

Temat: Quiz

Do tej pory wydawało mi się, że gdyby ogłoszono konkurs „Jak w ciągu roku całkowicie zmienić swoje życie”, to miałabym spore szanse na najlepsze miejsce na podium. Po wczorajszym dniu odstępuję Ci je bez wahania.

Magdulcu, dalej nie potrafię odpowiedzieć na Twoje pytania z ostatniego mejla. Jedno jest pewne – mimo „marszczenia brwi” absolutnie Cię nie oceniam! Po prostu moja wewnętrzna busola pilnująca kursu na dobro jest szczególnie wyczulona na los dzieci. I wiedziona tym odruchem mocno przeżywam trudne sytuacje, które zsyła im los. Zwyczajnie żal mi tych Waszych chłopaczków. Z drugiej strony chyba potrafię się wczuć w Twoje rozgoryczenie i żal, zwłaszcza że następują po dużych oczekiwaniach co do nowego życia. Przyzwoitość bije Ci brawo, egoizm (naturalny) puka się w czoło.

Ta sytuacja jakoś się będzie musiała rozwikłać, przecież raczej nie będziecie się tymi chłopcami zajmować do ich pełnoletności?...

Nie wiem, co ja bym zrobiła na Twoim miejscu. Na pewno też bym Ci się zwierzyła, choć trudne te emocje, prawda? Z jednej strony trochę Ci wstyd nawet przed samą sobą, a tu jeszcze ktoś (choćby najlepsza przyjaciółka) nagle poznaje Cię z drugiej strony – i to tej brzydszej.

W pierwszym odruchu chciałam Cię namawiać, żebyś szczerze, bez owijania w bawełnę porozmawiała ze Staszkiem. Po Waszej wczorajszej wizycie już nie wiem, gdzie ustawić granicę szczerości w takiej rozmowie. Patrzyłam, jak Staszek wyciera nos Adrianowi, jak bierze na kolana Alana w taki naturalny, spontaniczny sposób, jakby byli jego synami. Jak ze spokojem, po raz enty powtarza, żeby sobie nie wydzielali nawzajem jego telefonu, jak bez mrugnięcia okiem oddaje im swoją porcję lodów. Nie wiem, czego w tym zachowaniu było więcej: przyrodzonego, czystego dobra czy chęci, by uchronić tych chłopaczków przed tym samym złem, którego doświadczał mały porzucony Staszek. W tym rzecz: nigdy nie będziecie patrzeć na życie tak samo, bo za Wami zupełnie inne doświadczenia, które Was ukształtowały. Przeczuję, że Staszek by Cię nie zrozumiał, tak jak Ty nie rozumiesz jego. Kilka dni po ślubie to już nie czas, by się zastanawiać, co Was różni. Poszukajcie tego, co Was łączy.

Mogę Ci tylko przypomnieć, jak Cię irytowało, że Wiktor jest takim nadętym egoistą, któremu świat poza czubkiem jego nosa całkowicie umyka. Czy to coś pomoże?

To oczywiście teoria, bo moja praktyka dnia wczorajszego to: wycieranie rozbryzanych siuśków z deski klozetowej i sporego terytorium dokoła muszli, spieranie dużej plamy z soku wylanego na wełniany dywan oraz odrywanie zaschniętych żelków z prześcieradła w łóżku Jeremiego.

Po tych doświadczeniach czekało mnie kolejne – też nie z mojej bajki. Po obiedzie przyszła Kasia. Zadzwoniłam, żeby zapytać, czy jest w domu, bo chciałam jej odnieść pożyczone krzesła. Powiedziała, że sama po nie wpadnie, bo przecież wie, że trudno mi się wyrwać. Zrobiłam jej herbatę, zaczęłyśmy rozmawiać. Zapytała, co u Ciebie, więc opowiedziałam – tak ogólnie. O chłopaczkach też, że to wyzwanie.

– Niezwykły ten Staszek – szepnęła.

– Standardowym facetem nie jest z pewnością – zgodziłam się. – Szczerozłote serce może lepsze, niż gdyby pił, bił i zdradzał – zażartowałam.

I wtedy Kasia się rozsłochała. Zbladła, zagryzła wargi i zalała się łzami. Więc jednak elegancki dom kryje mało eleganckie sprawy. Historia w skrócie: jej mąż jest alkoholikiem, który oprócz wódki lubi przemoc. Zaczęło się niewinnie – od eleganckich win, którymi zapijał dyrektorskie stresy. Do kaca

dołączyło rozdrażnienie, wina nie występowały już w parze z kolacją, zastąpiła je czysta wychylana z butelki. Rozdrażnienie otrzymało formę awantur, które początkowo były łagodzone kwiatami i prezentami, a potem już na stałe zagościły w życiu rodziny, bez przeprosin, za to z oskarżeniem – to twoja wina, do tego mnie doprowadziłaś. Aż doszło do szturchania i wreszcie uderzenia w twarz.

Podaliśmy Kasi pudełko chusteczek i przytuliłam ją. Skromny ten program pomocowy, ale bezradność odebrała mi siły.

Porozmawiam jutro z Jerzym – może on będzie miał bardziej konstruktywny pomysł, jak wesprzeć Kasię.

Na tym tle moje lęki o kasę wydają się dość prostackie, prawda?

Oczy mi się kleją, więc na dziś koniec tego naszego wspólnego pamiętnika.

Całuję, Przyjaciółko

J.

Od: malina_m@malibox.pl

Do: jaga.jablon@gmail.com

Data: 12.04.2016

Temat: Zła passa

Droga J.,

jestem wstrząśnięta historią Kasi. Czy to zawsze musi być tak, że idealne z pozoru rodziny mają brzydkie tajemnice? Jak jej pomóc? – Namówić do działania, ośmielić do zmian. To chyba jedyna droga?

Zgadzam się z Tobą i z Kasią, że Staś jest wyjątkowy. Miewam chwile, w których czuję się wyróżniona jak złota medalistka tym, że taki człowiek wybrał właśnie mnie. Niedoskonałą, wcale nie złotą – tym bardziej teraz, kiedy tak źle radzę sobie z chłopcami.

Tymczasem, Moja Droga, mam wrażenie graniczące z pewnością, że zaczęła się u mnie jakaś zła passa. O sprawach domowych wiesz. Ale mój niefart zakreśla coraz szersze kręgi...

Wczoraj wróciłam do pracy po trzech tygodniach nieobecności – pierwszy tydzień to były przygotowania do ślubu, potem tydzień z lanym poniedziałkiem i dwoma dniami opieki nad dzieckiem, potem ta angina. Gdy wróciłam, przywitały mnie... chłód i wrogość. Nie ze strony Troglodyty, bynajmniej – on już sobie na wszystko bimba, więcej go nie ma, niż jest, a gdy jest, to myślami błąka się już po nowej pracy i wcale tego nie kryje. Natomiast zespół – wszyscy bez wyjątku – Sindi, Elwira, Edyta, Jacek – byli coś nie w sosie.

Około dziesiątej nad moim biurkiem zawisła chmura gradowa w postaci Sindi.

– Co ty odpieprzasz za numery? – spytała bez wstępów.

Przeniosłam wzrok z ekranu komputera na nią.

– A co masz na myśli?

– Znikasz sobie na trzy tygodnie, nie odpisujesz na mejle, nie organizujesz nam pracy, nie pilnujesz terminów... Co to jest? – rzuciła konfrontacyjnie.

– Nie pracowałam, bo właśnie na tym polega urlop i zwolnienie lekarskie, że albo się odpoczywa od pracy, albo jest się chorym i nie można pracować – odparłam zadziwiająco spokojnie. W ogóle odkąd łykam na potęgę pewne ziołowe tabletki uspokajające, wszystko mi tak delikatnie zwisa i mam w sobie wiele spokoju (oraz właściwie w każdej chwili mogłabym pójść spać).

– Byłaś chora?

– Nie. Miałam pod opieką troje chorych dzieci.

– I zajmowałaś się nimi tak intensywnie, że nie mogłaś ogarniać roboty?! Ty wiesz, co się tutaj działo??? Jesteś niepoważna! Więcej – jesteś nienormalna! – rozkręcała się Sylwia, alias Sindy.

– Co konkretnie jest we mnie nienormalne? To, że wyszłam za męża? To, że pielęgnowałam chore

dziecko... dzieci? Czy to, że te dwie sprawy były dla mnie ważniejsze niż praca?

– Jak sobie narobiłaś dzieci, to się z nimi bujaj, twoja rzecz! Wiesz, co się stało przez twoją nieodpowiedzialność? Numer nie poszedł do druku na czas!!! Zdajesz sobie sprawę, jakie to są koszty???

Jesteś gotowa je ponieść?

No proszę: awansowałam na dziecioroba. Twardo postanowiłam jednak nie dać się wyprowadzić z równowagi.

– Chwileczkę. – Zrobiłam ręką gest, jakbym chciała powstrzymać jej słowotok. – Próbujesz powiedzieć, że to z mojej winy? Przecież przed urlopem przygotowałam wszystko, co się dało. Napisałam szesnaście przepisów, które Jacek miał obrobić graficznie. Ustawiłam wam przypominacze w mejlach, co kiedy musicie oddać. Rozesłałam tabelki, czego od kogo brakuje – wystarczyło, żebyście raz zadziałali jak dorośli samodzielni ludzie. Jeśli nie umiecie pracować bez bata, poganiacza, czyli mnie... to... to jest wasz problem.

– Zrobiłaś się bardzo bezczelna.

– Kiedy wejdiesz między wrony... – rzuciłam sentencjonalnie.

Przez chwilę mierzyłyśmy się wzrokiem.

– Miało cię nie być tydzień. Powiem ci, co zrobiłaś: olałaś nas i swoje obowiązki. Nie wierzę w te głodne kawałki o chorobach. Na pewno wzięłaś lewe zwolnienie i urządziłaś sobie podróż poślubną. Naszym kosztem.

– Nie osądzaj mnie podług siebie. Nigdy nie wzięłam lewego zwolnienia.

Sindi przewróciła oczami, jakby jej się zrobiło niedobrze.

– Święta Magdalena zawsze bez skazy! – wygłosiła z przekąsem.

Święte to są moje tabletki, które pozwoliły mi przetrwać całą tę rozmowę bez szwanku. Połączone moce kapsulek, które łykam, uspokajających drażetek do ssania, których używam co rusz, i melisy, którą mi Staś parzy dwa albo trzy razy dziennie, zrobiły ze mnie oazę spokoju.

– Do czego zmierzasz? – spytałam więc niemal uprzejmie. – Czego ty ode mnie chcesz?

Sindi wykrzywiła się w brzydkim cynicznym uśmiechu.

– Za opóźnienie ktoś musi ponieść konsekwencje. A odpowiedzialność nie lubi być rozmyta. Lepiej wskazać jednego winnego. Ktoś, kto nie rozumie filozofii tej pracy i przez trzy tygodnie, zamiast zasuć, siedzi sobie bezproduktywnie w domu, jest świetnym kandydatem.

– Praca w domu to jest korporacyjny nonsens, w który nie dam się wciągnąć – wygłosiłam z przekonaniem. – Wykonuję swoją pracę tutaj, od dziewiątej do siedemnastej, najlepiej jak potrafię. I nie będę jej robić w domu, bo mam prywatne życie.

Prywatnym życiem najwyraźniej dotknęłam czułego punktu Sindi, bo jej twarz zmieniła się na jeszcze bardziej rozżłoszczoną. Zbliżyła ją do mnie i wysyczała jak jakaś Disneyowska zła czarownica:

– Jesteś szurnięta. Z kosmosu. Kompletnie do nas nie pasujesz.

Uff, Jagodo, mówię Ci, na kłopoty nie masz jak farmakologia. Cała ta rozmowa po mnie spłynęła. Byłam pewna swoich racji i potrafiłam nie dać się ponieść złości. Może dlatego, że od dwóch tygodni wszelkie złości wyładowuję w domu?... – ot, taka ponura pociecha.

Tak czy owak niech nowa naczelna przyjdzie jak najszybciej, bo to bezhołowie nikomu nie służy. I niech się okaże sensowną babką.

Całusy

Malina

Od: jaga.jablon@gmail.com

Do: malina_m@malibox.pl

Data: 14.04.2016

Temat: Szczęściary

Co chatka, to zagadka – to przysłowie doskonale pasuje do tego, co za drzwiami domów prywatnych. Ocena z zewnątrz prawie zawsze mylna: nie doceniamy lub przeceniamy, błędnie ozłacamy lub oczerniamy. W pracy zaś, a już szczególnie w korporacji, można typować bez pudła. Tu działają mechanizmy wzięte wprost z praw ewolucji: struktura dziobania jest stała, wygrywają najsilniejsi, plankton może ginąć, bo jest go masa. Nie liczą się intelekt i błyskotliwość, tu się szuka popularnej przeciętności. Istotne za to są umiejętność dopasowania się, ślepa na morale lojalność. Dwa możliwe warianty: jesteś kobietą i masz szefa kobietę lub jesteś kobietą i masz szefa faceta. Solidarność jajników podpowiada, że sytuacja numer jeden jest dla ciebie korzystniejsza, no bo przecież kobieta kobietę zrozumie. Nic z tego! Przełożony płci przeciwnej to zdecydowanie szczęśliwszy los. Nie oczekuje od ciebie pracy po godzinach i zostawiania chorego dziecka przypadkowym opiekunkom, bo wie, że taka rola kobiety – w końcu ma żonę, której w niczym nie wyręcza. Nie jest zazdrosny o twój wygląd, przymioty ciała i ducha – z oczywistych względów. Swoje szefowanie uznaje za naturalny element rzeczywistości – w końcu jest mężczyzną i nawet mu do głowy nie przyjdzie, że mogłabyś zagrozić jego pozycji zawodowej. Kobieta szef – źle, bardzo źle. Żeby dojść, gdzie doszła, musiała wiele poświęcić. Dzieci nie ma lub wynajmuje im płatną mamę bis. Życie uczuciowe kuleje, bo nie ma czasu, a są stresy. Od swoich podwładnych oczekuje takiego samego poświęcenia z tą różnicą, że one mają porzucić aspiracje i nadzieje, że kiedyś zajmą jej miejsce. Sprawdziłam kilka razy tę teorię – bez pudła. Działała nawet w przypadku Troglodyty. Nie przepadaliśmy za sobą, ale to się nie kładło cieniem na pracy – każde robiło swoje i tyle. Szef facet nie musi z tobą pić kawusi i wyciągać cię na plotki.

Obym się myliła, Malino, ale nie sądzę, by po nastaniu Jowity sytuacja się zmieniła. To znaczy, myślę, że się zmieni – na gorsze. Korpoświat to nie jest miejsce dla delikatnych ludzi – i nawet nie próbuj ich zbawiać.

Rozmawiałam dziś z Kasią. Była spięta, jakby żałowała tego wybuchu szczerości. Przez chwilę próbowała sprawę zbagatelizować, umniejszyć.

- W każdej rodzinie są problemy.
- Ale nie w każdej są przemoc i lęk.
- Aż tak źle nie jest, daję radę przecież...
- A dzieci? Też dają radę?

Z grubej rury, wiem. Kasia zaczęła chlipać.

- No to co ja mam robić? To mnie przerasta.
- Zbierz się – dla siebie, dla córek. Idź na terapię.
- Ja?! Przecież to on pije i jest agresywny.

– Jego nie zmienisz, sam musi chcieć się leczyć. Sobą się zajmij, wreszcie siebie postaw na pierwszym miejscu. Wzmocnisz się, to pomyślimy co dalej.

- Ale dzieci... kto się nimi zajmie, ja nie umiem zresztą, tak przed obcą osobą...

– Terapeuci pracują i przed południem, to raz. Potraktuj to jak wizytę u księdza albo lekarza – też obowiązuje ich tajemnica.

Od słowa do słowa Kasia odważyła się na pierwszy krok. W poniedziałek ma wizytę. Nie, nie zrobiłam przyspieszonego kursu z psychologii – zaprocentowała rozmowa z Jerzym.

Jestem gotowa odwołać większość narzekań i żali. Prawdziwe z nas szczęściary, Malinko. Zrównoważony, odpowiedzialny i normalny facet to jak najszczęśliwszy los na loterii (ekscytujący seks przemilczam, bo nie pasuje do zestawu, nadmieniam tylko, że też występuje). Zdaje się, że obie mamy fuksa w grze w los.

Twoja J.

Do: jaga.jablon@gmail.com

Data: 17.04.2016

Temat: Pochwała zwykłości

Kochana J.,

gdybym się z Tobą nie przyjaźniła, to byłaby naprawdę irytująca cecha: to, że masz zawsze rację. Tym razem jednak Ci daruję, bo: 1) Cię lubię oraz 2) bo całkowicie się z Tobą zgadzam.

Tak, jesteśmy szczęściami.

Widać to zwłaszcza w odniesieniu do innych. Do Twojej Kasi. Do moich sąsiadek z bloku, wiecznie poszukujących singielek. Do...

W piątek uciełam sobie niespodziewanie dłuższą pogawędkę z fotoedytorką Marzenką. Spotkałyśmy się po pracy na peronie stacji Powiśle. Czekałam na pociąg do mojego nowego domu, a ona, jak się okazało, jeździ tą samą linią do siebie. Podeszła do mnie z sympatycznym uśmiechem i zagadnęła. Słyszała, że wyszłam za mąż, w żartach zapytała, jak to się robi. „Wychodzi za mąż?” – zdziwiłam się kurtuazyjnie. „Nie, znajduje fajnego, normalnego faceta!”. I tak od słowa do słowa opowiedziała mi o swoich perypetiach. Rozwiedziona, z nastoletnią córką. Nowego towarzysza życia szuka na portalach randkowych. Jagodo, co tam się wyprawia!... Z rozmowy z Marzenką wnoszę, że łatwiej znaleźć dowolnego dziwaka, fetyszystę, seksoholika, świra wyszukanego lub zupełnie zgrzebnie powszedniego, nieudacznika, flirciarza, swingersa lub kryptożonatego niż... zwykłego faceta. A jeszcze większe wyzwanie to zwykły szukający zwykłej! Nie seksbomby, nie call girl, nie apetycznej bezpruderyjnej dwudziestki bez zobowiązań. Żyjemy w przewrotnych czasach, w których zupełnie niespektakularna zwykłość jest towarem deficytowym i bardzo poszukiwanym, ale praktykowana jest przez nielicznych. Durny pęd ku oryginalności głupio ludzi powichrował, aż stali się oryginalni, samotni i nieszczęśliwi.

Na szczęście Jerzy i Staszek wyraźnie się temu oparli. Nasze zuchy! Nasi twardziele!

W naszym domu szczęście mieszka z całą pewnością. Jest teraz na jakiś czas (jaki? To pytanie nurtuje mnie teraz bardziej niż jakakolwiek zagadka wszechświata) nieco słamszone obecnością małych nieproszonych gości, ale przecież to się kiedyś skończy. Gdybym wiedziała kiedy, byłoby mi znacznie łatwiej. Odliczałabym czas, co dzień skreślała jedno okienko w kalendarzu – i może nawet udawałoby mi się być miłą dla Alana i Adriana. Tak, bo mam świadomość, że traktuję ich szkaradnie. Okazuję uczucia i zainteresowanie mężowi, Irencie, nawet psu i kotom, a wobec „tych dzieci” pozostaję lodowata, jakby od środka zmrożona, skostniała, niezdolna do żadnego przyjaznego gestu.

Staś widzi to i pozostaje siłą spokoju. Nie piętnuje, nie krytykuje, nie próbuje mnie nawracać, a jedynie sam stara się jakby kompensować im mój désintéressement. Zwrócił mi uwagę, że to jest klasyczne przeniesienie negatywnych uczuć. Tak naprawdę jestem wściekła na Bodzia i Violetkę. To z nimi mam problem, to oni są winni tego, że dzieciaki wylądowały u nas – ale z niemożności osiągnięcia tych nieodpowiedzialnych rodziców przenoszą całą złość na ich dzieci. Karzę ich więc za to, że dorośli z ich otoczenia nie nauczyli ich higieny, kultury, form towarzyskich. Niby wiem, że to nie jest wina tych dzieci, ale skoro pod ręką mam nie dorosłych, którzy zawinili, zaniedbali, lecz Alana i Adriana – wszystko odbija się na nich właśnie.

– Wina? – spytałby w tym miejscu Stasiak (wiem, bo odbyliśmy i taką rozmowę). – Musisz zrozumieć, że oni dostali od swoich najbliższych to, co w ich mniemaniu było dla nich najlepsze: słodycze. Tablety. Dużo swobody. Dużo wolności. Samodzielność. Beztróskie dzieciństwo. Choć trudno ci to przyjąć, bo miałaś bardziej wymagających rodziców – to też są wartości. Może nigdy nie będą mieć świetnych ocen czy światowych manier, za to będą mieli całkiem sporo przebojowości, wiary we własne możliwości, pewności siebie i odwagi. Właśnie dlatego, że nikt ich nie strofował, nie układał, nie ograniczał.

Rzeczywiście, w głowie mi się to nie mieściło.

– Nie ograniczał czy puszczał samopas we wszystkim?! – zachnęłam się w obronie swoich przekonań. – Nie ograniczali ich myciem się, dobrym wychowaniem, kulturą?! To są ograniczenia, które zostały tym szczęśliwcom darowane?...

– Kultura źródłem cierpień – zacytował Stach refleksyjnie. – Pokuś się czasem, w formie ćwiczenia umysłowego, o spojrzenie na to z innej strony. To naprawdę może być ożywcze. I zbliży cię do zrozumienia. A od zrozumienia już tylko mały krok do akceptacji.

Dziękuję, postoję. To znaczy, pozostanę tymczasem przy swoim.

„Mali nieproszeni goście” – Boże, piszę o nich jak o insektach, wszawicy czy mrówkach faraonkach. Widzisz? Zamierzałam opowiedzieć Ci o swoim małżeńskim szczęściu, a tymczasem znów wyszła mi księga skarg i zażaleń. Popatrz, jakie to przykre, że tak trudno jest utrzymać w ryzach złe uczucia... To dlatego tak niebezpieczne jest wszelkie przesadne dołowanie, bo można się pogryźć. Dosłownie jak w grząskim bagnie.

Stop więc negatywnemu myśleniu! Zażyłam nową porcyjkę moich ziołowych uspokajaczy i już do Ciebie piszę to, co tak naprawdę chciałam.

Otóż – tak, jestem szczęściarą. Mam w Stasiu przyjaciela, fajnego spacerowicza, rozmówcę, cudownego przyszywanego tatę dla Irci. Nasz seks jest wreszcie wspaniały, bez poczucia winy z powodu cudzołóstwa; otworzyłam się i znajduję w nim już tylko przyjemność i radość – aż nie mogę się doczekać wieczorów, taka się ze mnie zrobiła domatorka. Przez to uspokojenie sumienia moje doznania fantastycznie się spotęgowały. Wreszcie jest tak, że współzycie daje mi siłę, radość i pewność siebie (nawet cera jakby wypiękniała!).

Ten dobry mąż wczoraj skopał kawałek trawnika, żebym sobie urządziła kwietną rabatkę. Natychmiast pojechałam do najbliższego centrum ogrodniczego, gdzie przepuściłam więcej pieniędzy, niż to było rozsądne (uwielbiam centra ogrodnicze!!!). Kupiłam mnóstwo bratków, bo najtańsze, a takie wdzięczne i kolorowe, parę prymulek, żonkili, tulipanów. Sadzenie tych klejnotów było czystą radością. Widząc mój zapal, Stasiak żartuje, że zabraknie mi trawnika do upiększania. Koniecznie przyjedź zobaczyć. Koniecznie z Hanią!

Jutro obejmuje panowanie nowa szefowa. Oczywiście wszystko Ci opowiem – na razie powiem tylko: obyś tym sakramenckim razem bardzo się myliła!

Całuję serdecznie

M.Ś.

Od: jaga.jablon@gmail.com

Do: malina_m@malibox.pl

Data: 19.04.2016

Temat: Bambino nie dla dzieci

Kilka kropel aromatycznej oliwki, by nadać dłoniom przyjemną miękkość i oczekiwaną posuwistość ruchów. Po krótkiej gimnastyce, gdy palce są już gibkie i ciepłe, dłonie przenoszą się na skórę ramion leżącej obok kobiety. Masaż zaczyna się niespiesznie – najpierw koliste dotknięcia – od kręgosłupa, w kierunku barków, które mają przyzwyczaić do dotyku. Zrazu delikatne muskanie płynnie przechodzi w pełniejszy kontakt fizyczny: skóra zaczyna pocierać o skórę, obie oddają sobie swoje ciepło. Dłonie zjeżdżają w okolice talii, rytmicznie uciskając ciało. Teraz, punkt po punkcie, zajmują się kolejnymi kręgami, najpierw tymi na wysokości uroczych dołków lekuchno nad pupą (potrzebna kolejna porcja oliwki, bo pierwsza aplikacja już wykorzystana, a nowe rejony skóry coraz delikatniejsze i bardziej rozgrzane), później tymi poniżej, u szczytu apetycznego rowka (oliwka zaczyna być zbędna – zastępuje ją perlisty pot), by płynnie przejść do...

Nie, Madziu, to nie opis moich i Jerzego wiecznych sekscesów. To streszczenie przygotowania do nowego zawodu, z dłońmi Jerzego w roli głównej. Po części teoretycznej kursu przyszła pora na praktykę.

– Tak to wygląda. Najpierw wiedza konkretna, medyczna, a potem jej wprowadzanie w życie. – Jerzy wyciągnął się na fotelu, wysuwając przed siebie dłonie i bawiąc się palcami.

– No tak, tak, nie samą teorią... – uprzejmie potwierdziłam, składając kaftaniki Hani do wiklinowego kosza.

– Bo może się okazać, że mimo podręcznikowego przygotowania nie ma efektu terapeutycznego, ponieważ brak zdolności manualnych...

– Zaraz, zaraz! A gdzie twoja obrączka? – Puste miejsce po złotym krążku na błyszczących od oliwki palcach Jerzego sprawiło, że senność i zmęczenie gwałtownie odpłynęły.

– Ach, w portfelu, musiałem zdjąć do masażu.

– Ale co ci przeszkadza obrączka, kiedy jakiś inny kursant zajmuje się twoim kolanem albo barkiem?

– Nie, nie moim. Dzisiaj ja masowałem, a nie byłem masowany. Poza tym – co za zbieg okoliczności – uwierzysz, że jestem jedynym facetem na tym kursie?

Uwierzę. Wiara, wierność – ważne punkty w związku.

– A reszta to kto?

– No jak to kto, Groszku? Kobiety. Innej ewentualności nie ma.

– Ciekawe. Pewnie panie pięćdziesiąt plus, które straciły pracę i szukają nowego zajęcia, by dotrzeć do emerytury?

– A skąd! Młode dziewczyny. Albo po liceum, albo po studiach. Niektóre rzucają pracę w korporacji, inne nie mają ochoty na osiem godzin w sklepie lub w biurze. Bardzo przedsiębiorcze, zaradne. Młode pokolenie wie, czego chce.

Czy ja też jestem młodym pokoleniem, Malino?...

– I one chcą się zajmować tymi rzepkami albo łokciami?

– Słuchaj, to nie oddział rehabilitacyjny. Owszem, po to jest teoria, żeby nikomu nie zrobić krzywdy, ale akurat wczoraj ćwiczyliśmy relaksacyjny masaż pleców. Taki od barków, w dół po kręgach, od części szyjnej przez piersiową, lędźwiową, krzyżową aż do guzicznej. Uciskanie odpowiednich partii mięśni, konkretne ruchy dłoni, by usunąć zmęczenie i rozgrzać mięśnie. Wyczerpujące, mówię ci. Nieźle się napracowałem. Niby nieduża powierzchnia, bo moja partnerka to szczupła dziewczyna, no ale to i tak potrzeba kondycji. Moje biedne, spracowane dłonie. – Uśmiechnął się do mnie swoim firmowym uśmiechem.

W opisie Jerzego pobrzmiwała przede wszystkim medycyna, jednak mnie wyobraźnia podpowiadała scenę jak z początku mejla. Znasz mnie, nie jestem ani zazdrosna, ani przeczulona i kiedy indziej bym się specjalnie nie przejęła taką sytuacją, ale teraz jest inaczej. Trudno mi się przyzwyczaić do swojego nowego ciała. Wiem, wiem, od porodu nie minął jeszcze miesiąc, a dochodzenie do kondycji sprzed ciąży zajmuje dobre pół roku. Tyle tylko, że tym razem idzie jakby ciut oporniej. Waga wróciła do pięćdziesięciu sześciu kilogramów, ale talia wciąż tylko subtelnie zarysowana, z pewnością nie w formę klepsydry. Skóra na brzuchu taka jakby rozpulchniona galaretka, która za długo stała poza lodówką. Piersi – owszem, krągłe, pełne, ale przed karmieniem. Bo po – zdecydowanie przygaszona jędrność. Cera nagle utraciła promienistość, włosy też odchodzą trudy stanu brzemiennego. Natura się sprzyściła – teraz czas na odchowanie bezbronny ssaka, a nie karesy.

Przez chwilę miałam pokusę, by się załamać, zagryźć deprechę czekoladą (i to niekoniecznie gorzką), ale mam lepszy pomysł: w sobotę idziemy do lasu. My dwie pary butów sportowych i dwa dresy. Dwie godziny szybkiego marszu, do zadyszki i potów. Pomoże nam i na ciała, i na głowy. Tobie też – odstaw te wszystkie proszki. Przecież wiesz, że one za Ciebie życia nie przeżyją. Trzeba nam czynu,

a nie chlipania w kącie.

Stara Jagoda powraca. Do boju, Malino!

Ścisk

J.

Od: malina_m@malibox.pl

Do: jaga.jablon@gmail.com

Data: 21.04.2016

Temat: Jowita

Jej...

nie spodziewałam się, że Ciebie też może dotyczyć uczucie zazdrości. Nie wiem dlaczego myślałam, że nie – zawsze byłaś taka „ponad”: ponad różne drobne brzydkie ceszki. Zahartowana moralnie, nie zniżalaś się do nich.

Ale i rozumiem.

Połówg to w żadnym razie nie jest czas, kiedy kobieta czuje się ponętnie. A w czasie długich godzin z jeszcze mało interaktywnym dzieckiem czasu na rozmyślania, co robi mąż, gdy go nie ma, jest aż nadto...

Tylko że – Jago, wariacie, widziałam, jak Jerzy na Ciebie patrzy. Jesteś jego ziszczonym marzeniem, miłością życia, wybranką i różą. Takiej kobiety się nie zdradza – nawet w niesfornych myślach, z masowanym, przypadkowym ciałem. Nic Ci nie grozi! Daj spokój!

Co zaś do mnie i ewentualnych zagrożeń, to na szczęście chyba jednak jest czysto. Nie, nie chodzi o Staszka! O niego jestem spokojna, on zdaje się mieć tę samą moralną poprzeczkę co Ty.

Chodzi o pracę.

W poniedziałek zjawiła się Jowita. Widywałam ją dotąd sporadycznie, bo prowadziła tę Twoją rubrykę w formie zajęcia dodatkowego, przesiadując jeszcze przy redakcji „Testosteronu” na IX piętrze. Ale wiesz? Wydaje się normalna. Przedstawiła się nam, opowiedziała o wcześniej piastowanych stanowiskach; niektórym to się szczęści! Wygląd – dobrze ostrzyżone włosy, starannie wyrównane brwi, stosowna warstwa makijażu. Ubiór: raczej modna niż bardzo elegancka (szara wełniana sukienka, wiśniowe rajstopy i szpilki, świetny fason). Po biżuterii znać zamożność, ale nie kapie złotem.

Co mnie zjednało? Nie jest siksą ani chudą szczapą!!! Starsza od nas o jakieś pięć lat, biuściasta i biodrzasta. Wprawdzie między jednym a drugim ma godną pozazdroszczenia talię, którą ta sukienka bezwstydnie eksponowała – ale jednak w przeciwieństwie do naszych redakcyjnych koleżanek najwyraźniej nie waży 40 kilo (wraz z sukienką).

Czuję więc, że będzie dobrze: okrągli ludzie są fajni!

A jak już jesteśmy przy okrągłościach – jeszcze dziś wieczorem koniecznie podstaw Jerzemu do doskonalenia masażu jedyne w swoim rodzaju ciało: swoje własne.

On niech się szkoli, a Ty zrelaksuj się niebotycznie!

Tego życzę serdecznie

Malina

Od: jaga.jablon@gmail.com

Do: malina_m@malibox.pl

Data: 22.04.2016

Temat: Re: Jowita

Madziu,

oczywiście życzę nam obu, by nasza nowa szefowa okazała się fajnym człowiekiem. Krągłość można brać za dobrą monetę, puszyste miśki wydają się bardziej sympatyczne od ostrolicych sępów. Przypominam Ci jednak, że tłścioszek Neron kazał zabić swoją matkę, uśmiercił żonę i puścił z dymem Rzym, że o dręczeniu chrześcijan nie wspomnę. Nie wszystko złoto, co otyłe.

Wczoraj zadzwonił do mnie Troglodyta – rzecz bez precedensu. Wiesz, jakie łączyły nas relacje – przede wszystkim zawodowe, bez żadnego kumpłowania się. Różnie go oceniałam – i prywatnie, i zawodowo. I trochę bym mu mogła zarzucić, ale w pracy nigdy nie posunął się do jawnego świństwa. Otóż zadzwonił, by się pożegnać. Powiedział, że odchodzi, że awans, że wyzwania i nowe struktury. Oboje taktownie przemilczeliśmy przyczyny i kulisy tej zamiany miejsc. Pytał o samopoczucie moje i Hani, chyba nawet się nie zmuszał do tego zainteresowania. Podziękowałam i zapytałam o jego następczynię.

– Wiesz, przez rok chyba nie musisz się tym martwić.

– Martwić... dlaczego?

– Zawsze czepiałaś się słówek, ha, ha, ha. Tak mi się powiedziało, chodzi o to, że..

– ...posłuchaj. Na sam koniec możemy chyba porozmawiać szczerze?

– Chyba możemy. Mimo wszystko cenię twoją, nazwijmy to, bezkompromisowość. W ocenie tego, które cechy charakteru są zaletą w pracy, a które w niej przeszkadzają, mogę się różnić z moją następczynią. To ci chciałem powiedzieć.

Nie ciągnęłam go za język, to jednak facet – z nimi trzeba wprost, nie naokoło, a na wprost zabrakło mi odwagi. Chyba rozumiem, co mi chciał powiedzieć. No nic, nie nastawiam się źle, zwłaszcza jeśli Ty masz całkiem dobry odbiór. Zresztą – jedenaście miesięcy to dużo czasu.

Z innego poletka: rozmawiałam wczoraj z Kasią. Pytałam, jak było na pierwszym spotkaniu z terapeutką. Kasia powiedziała, że okropnie.

– Ale dlaczego? Była niemiła?

– Nie, to nie to. Było kulturalnie, spokojnie i chyba kompetentnie.

– To o co chodzi?

– Zasugerowała, że jestem ofiarą przemocy domowej...

– A ty myślisz inaczej?

– Nie, poczekaj, nie o to mi chodzi. Że mąż może być alkoholikiem – to też mogę chyba przyjąć.

Ale...

– Ale?...

– Że ja jestem współuzależniona. Że takie indywidualne wizyty mi nie pomogą, że powinnam chodzić do grupy, z innymi współuzależnionymi!

– I co cię tak ubodło w tej diagnozie?

– No jak to co?! Ja z innymi ofiarami? Żonami pijaczków spod sklepu, udającymi się po zasiłek z podbitym okiem? Przecież to... to... jakiś margines, patologia, a ja... my... no to nie dla mnie!

Chyba udało mi się namówić Kasię, by choć raz poszła na takie grupowe spotkanie. Jestem przekonana, że znajdzie tam takie kobiety jak ona sama – zadbane, wykształcone, spokojne, porządne. Oby się w nich przejrzała – może wtedy zrozumie, że choroba i uzależnienie mogą się skrywać pod zadbaną i przyjemną dla oka postacią.

Dziękuję Ci za miłe słowo dla mojej i Jerzego miłości. Czuję, że możesz mieć rację.

Nie odpuszczam Ci/nam jednak tej aktywności fizycznej. Przyjedź jutro i idźmy w ten las. Dobrze nam to robi, zobaczysz. Ruch i kobiece towarzystwo – zbawienne połączenie.

Całuję

J.

Od: malina_m@malibox.pl

Do: jaga.jablon@gmail.com

Data: 24.04.2016

Temat: Wiosna kontra Królowa Śniegu

Kochana moja!

Leśny marsz w Twoim doborowym towarzystwie ogromnie mi się podobał. Dotleniłam się. Odetchnęłam. Znalazłam wiosnę. Mieszkamy w najlepszej dzielnicy!!!

Niestety ładna pogoda wyгнаła z domu także małe potworki. Konkretnie do naszego ogródka, gdzie tak zawzięcie grali w gałę, że z mojej kwietnej rabatki pozostały żalosne resztki. Żeby jednak nie było za mało kolorowo, wydobyli ze składziku farbę, którą Stach malował meble Irci... i pomalowali nimi koty.

Tak, dobrze czytasz. Koty.

Jak ja wrzeszczałam, Jagodo! Nie widziałaś mnie nigdy w takiej akcji, ja siebie też nie. Puściły wszelkie hamulce mitygowania się przed Iryskiem, Staśkiem, nimi samymi w końcu. Dobry nastrój po naszym spacerze prysł jak bańka. Padło wiele wstrętnych słów.

Rozczarował mnie też sam Stasiak, który nie sprawował należytego nadzoru, zupełnie nieodpowiedzialnie ucinając sobie drzemkę. Przecież te diabelskie nasienia równie dobrze mogły nas puścić z dymem!!!

I wiesz, co mnie przeraziło najbardziej?

Że w odpowiedzi na mój atak sprawiali wrażenie – nawet ten trzyletni odrostek – jakby to po nich spłynęło.

Nie przeprosili. Nie zwiesili głów. Nie okazali skruchy. Słowem nie zareagowali, jak można by się spodziewać po normalnych dzieciach. Zamiast tego łypali kontrolnie spod tych swoich grzywek, kiedy mam zamiar skończyć. Łypali, dodam, spojrzeniami złymi, bezczelnymi, wyluzowanymi. Jeszcze nigdy nie miałam ochoty tak dać komuś klapsa. Kandydaci na przyszłych dresiarzy.

Jaka przyszłość nas czeka, gdyby dalej z nami mieszkali, aż do nastu lat, trudnego wieku, okresu buntu (który w zasadzie już się zaczął)? Drobne złodziejstwa. Używki. Szemrane towarzystwo w myśl „ciągnie swój do swego”. Realne zagrożenie, że Irenka także się stoczy. (Co by dzisiaj robiła, gdybym zostawiła ją z nimi w domu zamiast podrzucić na czas naszego spaceru do Was?). Aż w końcu któryś zakradłby się do nas z siekierą i tyle.

Plus rozpad małżeństwa, to pewne. Bo wiesz, jaki jest pomysł Staśka na to wszystko? „Może powinniście pójść razem do psychologa”. „Wy – czyli kto?”, pytam zimno. „Ci na linii konfliktu, czyli ty i oni”.

Nie wierzę, żeby to miało coś dać. Czuję, że ich szczerze nie znoszę i nie wyobrażam sobie, by cokolwiek mogło to zmienić.

Zwłaszcza że... wcale nie mam ochoty ich polubić. Nie lubię ich świadomie i z rozmysłem. Są ucieleśnieniem wszystkiego tego, od czego zawsze w życiu starałam się trzymać z daleka.

Dlaczego, do cholery, mnie to spotyka?...

Wieczorem poszłam do kościoła i nie wiedziałam, o co się modlić. O dar otwartości na nich? Nie mógł mi przejść przez gardło. O siły, żeby wyjść z tej próby zwycięsko? Już samo pozostanie przy życiu i przy zdrowych zmysłach byłoby zwycięstwem. O zmianę w nich? Jakoś w to nie wierzę...

Najbardziej kusząca była modlitwa o to, by zniknęli z mojego życia równie nagle, jak się pojawili. Najlepiej jutro.

Ściskam słabo

Załamana

Od: jaga.jablon@gmail.com

Do: malina_m@malibox.pl

Data: 26.04.2016

Temat: Punkty widzenia a punkty siedzenia

Madziu,

nie wiem, od czego zacząć. Chyba od spraw najważniejszych – jesteś moją najbliższą przyjaciółką, osobą, która zna mnie najlepiej z każdej strony, tej brzydszej także. W drugą stronę to również działa. Przez wiele lat nasza przyjaźń miała komfortowe warunki do rozwoju: życie płynęło nam spokojnym trybem, mąż, dzieci, trochę szczęścia. Czasem emocje podgrzane (potomstwo), zwykle letnie (mężczyźni, praca). Wciąż byliśmy tą samą Magdą i Jagodą co w podstawówce. Dwie ułożone, odpowiedzialne, dobre dziewczyny. Podskoków nie było, ale i potknięcia nas omijały. Zeszły rok zmienił wszystko. Obróciłyśmy w perzynę dotychczasowe życie i teraz od podstaw budujemy nowe. A przy okazji wychodzą z nas zachowania, o które nigdy byśmy się nie posądzały. Raz jeszcze potwierdza się teoria, że znamy się na tyle, na ile nas sprawdzono. Ciebie zaś nikt nie sprawdzał na okoliczność wychowywania obcych dzieci, a mnie – na wypadek tarapatów finansowych.

Próbuję wyobrazić sobie siebie w sytuacji jak Twoja. Pewnie reagowałabym odmiennie. Wiesz dlaczego? Bo dzieci – wszystkie – wydobywają ze mnie najlepsze uczucia. Rozczulam się, martwię, boję, czy nie dzieje im się krzywda. Nad każdym rozpięłabym ochronny matczyzny parasol. Dlaczego? Dużo o tym myślałam ostatnio. I doszło do mnie, że taka postawa nie wynika ze szczerzłotego serca, a raczej z deficytów odczuwanych w dzieciństwie. Źle znosiłam swoje jedynactwo. Byłam tak zwanym późnym dzieckiem (tata miał czterdzieści siedem lat, gdy się rodziłam – w tamtych czasach to było niespotykane), rodzice bardzo mnie kochali, ale mieli swoje intensywne życie zawodowe i prywatne. A do tego byłam jedynym dzieckiem w całej rodzinie. Rosłam więc wśród dorosłych, podskórnie czując, że nie powinnam rodziców zbyt mocno absorbować, że powinnam się uczyć, być grzeczna. Bardzo ich kochałam i zrobiłabym wszystko, żeby byli ze mnie dumni. Udało się. Jagódka – ideał. Jagódka – mądra. Jagódka – cicha. W środku zaś czułam się piekielnie samotna. Trudno mi było się zaprzyjaźnić, bo jakoś nie pasowałam do rówieśników (nic dziwnego). Aż w końcu poznałam Ciebie. Zaskoczyło. Niby inne miałyśmy domy, ale wydaje mi się, że u Ciebie babcia odegrała dużą rolę. Myślę się?...

Kiedy rodzice umarli – dramat na całego. Odszedł cały mój bezpieczny świat, zostałam z niczym. Gdybym miała rodzeństwo...

Pewnie dlatego poszłam w tę wielodzietność. Bardzo chciałam mieć gwarny, tętniący życiem dom. I chciałam, żeby moje dzieci nie czuły się samotne. Z rodzeństwem spędzasz największą część życia. Jeśli uda się zbudować siostrzano-braterską więź, dostajesz dodatkową polisę na życie. Rodzeństwo to taki przyjaciel, z którym jeszcze geny cię łączą.

Skoro mnie – która zaznała smak rodzicielskiej troski, czułości i miłości – coś w duszy drapie, to jak się muszą czuć dzieci, którym los podarował mniej zaangażowanych rodziców? Ta myśl mi stale towarzyszy, w przypadków Waszych odrzuconych chłopców – także.

Absolutnie Cię nie oceniam. Wręcz przeciwnie, bardzo Ci współczuję. Wiem przecież, że jesteś dobrym człowiekiem, autentyczną katoliczką, więc te uczucia muszą być podwójnie nieprzyjemne – raz, bo ich doznajesz, dwa – bo się ich wstydzisz.

Może ten terapeuta to nie jest głupia myśl? Może pomoże Ci się dogrzebać do przyczyn takiej nienawiści? Bo może – paradoksalnie – wcale nie chodzi o tych chłopaczków, o ich rodziców, tylko o coś głębszego?...

Mnie zaś zaczynają dusić finanse. Wiesz, że jest krucho. Jerzy, zaczął od oparów winy wobec Doroty, rozliczył się z nią jak dżentelmen. Wszystkie oszczędności poszły na Słoneczną, a i tak mamy do zapłacenia ostatnią ratę poprzedniej właścicielce. Niby połowa wspólnego majątku z Piotrem jest moja, ale bój o nią będzie ciężki. W niedzielę napisałam do niego długi list. Bardzo pokojowy i pokorny.

Wydawało mi się, że skoro majątek faktycznie wspólny, bo połowa sumy na dom pochodziła ze sprzedaży mieszkania po rodzicach, to uregulowanie pomażeńskich finansów będzie formalnością. Nic z tego. Żal, uraza, złość wzięły górę. „Niczego Ci nie będę ułatwiał. Zresztą zostałem sam i już sam będę, więc cały mój majątek, w tym dom, odziedziczą dzieci. Chcesz je pozbawić stabilnej sytuacji finansowej?”. Co masz powiedzieć, gdy były mąż wyciąga na linię ognia dzieci? Nic. Oddaję pola pani prawnik. Gdy tylko uzbieram na zaliczkę dla niej.

Nigdy nie musiałam się boksować z życiem o pieniądze. Nie to, że rozpusta i szastanie, ale zawsze czułam się bezpiecznie. Teraz – nie. Przez chwilę nawet miałam cichy żal do Jerzego, że zostawia tę nieźle opłacaną robotę i idzie w jakiś kaprys, niepewne marzenie. Tylko skoro spłukał się do cna na nas, w tym też na moje dzieci, a teraz chciałby zmiany w pracy, bo już ma dość poprzedniej, to czy mam prawo go oceniać? Zresztą wierzę, że dobrze na tym wyjdzie – ma dryg do biznesu. Byle przetrwać trudny czas.

Ale się rozписаłam! To jeszcze tylko jedno – dostałam dziś mejl od naszej nowej szefowej. Przedziwny. Raz, że po imieniu – nie znoszę takiego tykania. Dwa – że z pytaniem, czy mogę przyjechać do pracy na spotkanie „w celu omówienia sytuacji zawodowej i ustalenia obowiązków”. W pierwszym odruchu chciałam odpisać, że chętnie. Za jedenaście miesięcy. Dałam sobie na wstrzymanie. Wiesz, o co chodzi?...

Przyjeżdżaj do mnie. Las nas koi, a obie tego potrzebujemy.

Całuję mocno

J.

Od: malina_m@malibox.pl

Do: jaga.jablon@gmail.com

Data: 28.04.2016

Temat: Dziwne rozmowy

Hej, Jago,

słuchaj – w teorii ja to wszystko, o czym piszesz, rozumiem i popieram. Od lat daję na dziecięce hospicja, fundacje rozwoju, dzieci z Afryki, WOŚP. Uprawiam wszelkie możliwe zbiórki: żywności, nakrętek, ubrań, zabawek. Jeżdżę z darami do domu samotnej matki. Tylko wierz mi, praktyka, przekłeta praktyka – i to nie od święta, a na co dzień, pod własnym dachem, wbrew swej woli to naprawdę coś zgoła innego. Rozumiem, że oni potrzebują miłości i wsparcia. Ale nie umiem im ich dać. Może rzecz w tym, że nie miałam możliwości sama o tym zdecydować? Może to silny wewnętrzny bunt przeciw tej polityce faktów dokonanych? Czuję się jak mimowolny uczestnik jakiegoś przewrotu i nowy porządek wcale mi się nie podoba. Jak mam mówić i zachowywać się, jakby mi się podobało, skoro się nie podoba, i już?...

Zostawmy to na razie, bo chciałam Ci opowiedzieć coś innego. Otóż czasami całe dni mijają podobne jeden do drugiego, a czasem jednego dnia wydarza się kilka znamienych spraw. Dziś był dzień zaskakujących rozmów. Dokładnie trzech.

Pierwsza miała miejsce w nowym gabinecie Jowity, już w naszej redakcji. Do Ciebie napisała, mnie jeszcze przed zebraniem zapowiedziała, że po nim chciałaby ze mną porozmawiać. Zdenerwowałam się trochę, bo raz, że pewnie wyjdę z pracy dużo później. Dwa – nigdy nie wiadomo, czego po takiej rozmowie należy się spodziewać. Próbowałam podpytać, ale mnie zbyła.

W końcu o 17.20 zebranie dobiegło końca, a ona poprosiła, bym przyszła do niej o 17.30.

Gdy weszłam, zaproponowała mi miejsce na jednym z tych nowoczesnych przeźroczytych krzesełek, co to zawsze się boję, czy pode mną nie pękną. Sama pozostała w fotelu za biurkiem. Kończyła coś pisać.

– Słyszałam o pani wiele... różnego – zaczęła wreszcie (zauważ, że ze mną na „pani”). A ja od razu się zestresowałam, taką miałam nadzieję, że tam padnie „dobrego”.

– Przyszła pani do nas niedawno i z kompletnie nieprzystającego środowiska. To mogłoby tłumaczyć pani brak doświadczenia... – ciągnęła, a ja czułam, że już wiadomo, że z tej rozmowy nie wyniknie nic dobrego. – Tylko czy my mamy czas szkolić niedoświadczone osoby? – spytała retorycznie. – Krótko mówiąc, wydaje mi się, że łączenie funkcji sekretarza redakcji i redaktora działu kulinariów panią przerosło. Spróbujemy pozostać tylko przy sekretarzowaniu, z tym powinna pani dać sobie radę.

– Nie przerosło! – zaprotestowałam. – Wprawdzie to zbiegło się z różnymi zdarzeniami w moim życiu prywatnym, ale zaręczam, że wszystko rzetelnie przygotowałam...

– Te dwie sfery trzeba kategorycznie oddzielać – przerwała mi szefowa. – Tu nikogo nie obchodzi pani życie prywatne.

– Kategoryczne podziały są niemożliwie – upierałam się jednak głupio. – Przecież nie żyje się wyłącznie pracą, człowiek to nie maszyna. W redakcji czasopisma powinniśmy być kreatywni, a inspirujemy się nie czym innym, jak życiem właśnie...

– Reszta zespołu jakoś daje sobie radę? – Szefowa wymownie zawiesiła głos.

Złożyłam broń.

– A więc to przesądzone... Mogę wiedzieć, kto przejmie moją działkę?

Mięśnie jej dobrze zakonserwowanej twarzy lekko drgnęły.

– Widzę, że pani zżyła się z nią już aż nadto. Doktor Ewa będzie w tym świetna.

Czyli ja byłam nieświetna. Mhm.

Wracałam do domu spóźniona o czterdzieści pięć minut i w dodatku na tarczy. W każdym razie mnie nie zwolniła, pocieszałam się. Ale jakoś nie było mi do śmiechu.

W domu opowiedziałam o tej dziwnej rozmowie Stasiowi. Atmosfera była sprzyjająca. Byliśmy po kolacji, on krzątał się wzdłuż blatu, porządkując i zmywając, a mnie posadził przy stole i podał herbatę. Na marginesie Ci powiem, że bardzo lubię ten podział ról.

– Dopiero co czciliśmy mój awans, a tu taki klops – skarżyłam się. – Kasę też pewnie zabiorą...

– Takie jest życie, kochanie. Raz górka, raz dołek. Raz pod górkę, raz z górki... – Stach pucował patelnię z nieodgadnionym uśmiechem. – Poradzimy sobie.

– W takim zagęszczeniu gór i dołków dostaję zadyszki – mruknęłam.

– A w górach wolisz wchodzić czy schodzić?

Zastanowiłam się.

– Najbardziej lubię iść po płaskim – zdecydowałam w końcu. – Ale położonym dość wysoko – dodałam, na wypadek gdyby to wciąż jednak była metafora życia, a nie pytanie trekkingowe.

Usta Staśka rozciągały się w coraz szerszym uśmiechu. Odstawił patelnię i wytarł ręce.

– Widzę więc, że dobrze wybrałam! – oznajmił zagadkowo.

– Co dobrze wybrałaś? Mnie?

– Ciebie przede wszystkim. – Cmoknął mnie bardzo miło. – Ale też miejsce na naszą podróż poślubną! – Podszedł i siorbnął łyk z mego kubka.

Ożywiłam się.

– Taak? Powiesz coś więcej? Mów zaraz!

– Zapraszam panią na przedłużony weekend majowy w Bieszczadach! – rzekł uroczyście, pocałował mnie w rękę i zajrzał w oczy, czekając na efekt.

– Taak?... – powtórzyłam, by zyskać na czasie i zająć jakieś stanowisko.

Czy ja się cieszę? Po prawdzie liczyłam na nieco bardziej luksusowy słoneczny tydzień w ciepłych krajach, ale w obecnej sytuacji chyba faktycznie lepiej zacisnąć pasa... Poza tym na te luksusy w piątkę to już na pewno nas nie stać.

Co zaś się tyczy Bieszczad... Ostatnim razem byłam tam na studiach, zresztą z Tobą, szmat czasu

temu! Było dziko i cudownie, pamiętasz?

A poza wszystkim zdecydowanie potrzebuję odmiany i przewietrzenia. Może nawet wszystkim nam dobrze to zrobi?

Tak, chyba się cieszę, uznałam w końcu.

– Fajnie!

– Zarezerwowałem przytulny pensjonat w dobrym miejscu wypadowym. Wyjeżdżamy pojutrze, wracamy siódmego. A w czasie między pierwszym a siódmym chodzimy po górach. A dokładniej po połoninach. Czyli tak jak lubisz: wchodzimy na górę i potem długo po płaskim. A wokół świeże powietrze! Przyroda! Widoki!... – roztaczał wizje Staś.

Jego entuzjazm łatwo się udzielał. Z wolna się zapalałam. Nagle przygasłam.

– Skarbie, przecież ja nie wiem, czy dostanę urlop! Zwłaszcza w kontekście dzisiejszej rozmowy...

Staś posłał mi wspierający uśmiech.

– Pierwszy, drugi, trzeci to wolne. Potrzebujesz raptem trzech dni. W ostateczności weźmiesz na żądanie.

– Nie wiem, czy to jeszcze nie zaogni sprawy...

Stach przystawił sobie taboret blisko mnie.

– Z tego, kochanie, co opowiadasz o stosunkach w swojej pracy, myślę, że to, co zrobisz lub czego nie zrobisz, ma znaczenie drugorzędne. Jak to mówią: jak chcesz uderzyć psa, to kij się zawsze znajdzie. A może właśnie powinnaś wypocząć i nabrać zdrowego dystansu do tego waszego piekiełka? To na pewno nie zaszkodzi. A może pomoże?

Nie byłam przekonana.

– Nie daj się zwariować: to tylko trzy dni! – Stach dmuchnął mi w grzywkę i szturchnął w bok jak kumpel.

– Te trzy dni mogą urosnąć do rangi problemu...

– Ale jeśli pokażesz, jak łatwo cię zastraszyć, to będą tobą manewrować – rzekł Stach.

I z tym musiałam się zgodzić.

Wieczorem niespodziewanie zadzwoniła do mnie niedawna sąsiadka Wanda.

– Witaj, Madziu! Jak też ci się mieszka w Wawrze? – zagadnęła na początek.

– Pięknie tu jest. Małe domki o spadzistych dachach, wille letniskowe sprzed stu lat, świdermajery, ścieżki biegowe i rowerowe, lasy... – roztoczyłam sielskość, kulturalnie przemilczając problemy. – A co u ciebie, Wandeczko? – Czułam, że opisy przyrody to grzeczny wstęp do tematu właściwego.

– To wspaniale. Chętnie wproszę się kiedyś na kawę. A tymczasem u mnie... dzwonię do ciebie, bo... bo... chciałam się podzielić dobrą nowiną.

Elokwentna Wanda tak mogła dukać tylko o jednym.

– Jesteś w ciąży! – palnęłam.

– Jestem. – Wanda głęboko odetchnęła. – Wiem, że nam sekundowałaś, dlatego dzwonię.

– Tak się cieszę, kochana!

– Och, a my!... Tyle lat czekania, tyle lat starań!

– Który to tydzień?

– Jutro kończę dwunasty. Powiedzieliśmy sobie z Janem, że to ostatnie podejście do in vitro. Oboje tak ciężko odchorowywaliśmy każdą porażkę... Oczywiście wiedziałam już wcześniej, ale nie chciałam zapeszać. Rozumiesz, prawda?

– Rozumiem.

– Nie znamy jeszcze płci, ale jedno jest pewne: to będzie prawdziwe królewiatko. Czuję, że rozpieścimy je bez miary! Ptasiego mleka mu nie zbraknie.

Rozmawiałyśmy jeszcze chwilę, a gdy odłożyłam telefon, zajrzałam do pokoju Irci – czy też Irci, Alana i Adriana. Stach czytał mojej córce i swoim dwóm stryjeczным bratankom do snu. Na skrzypnięcie

drzwi podniósł głowę i posłał mi wesołe spojrzenie. Irysek też się uśmiechnęła, a chłopcy wzmożyli czujność: znów przyszedł z burą o coś?

– Chciałam tylko powiedzieć dobranoc – wyjaśniłam i wycofałam się.

Tych dwóch chyba nikt nie wyczekiwał i nie traktował jak królewiątka, pomyślałam i zupełnie zniechęcało mi się ich żal.

Pozdrawiam Cię

Zadziwiona

Od: jaga.jablon@gmail.com

Do: malina_m@malibox.pl

Data: 29.04.2016

Temat: Niemile złego początku

No nie! Zachowam się jak najupiorniejsza ciotka i zapytam retorycznie: A nie mówiłam?! Coś musi być na rzeczy, skoro nawet Troglodyta mnie ostrzegał przed Jowitą, a Beata, opowiadając kiedyś o niej, użyła sformułowania „Pani Miotła”, bo tam, gdzie ją korporacja wysła, energicznie sprząta, wprowadzając nowe porządki i nowy zespół. Należy przy tym podkreślić, że nowe nie znaczy dobre lub lepsze. Znaczą po prostu nowe. Przykro mi, Madziu, naprawdę. Wiem, że to połączenie idealnie się sprawdzało w Twoim przypadku: sekretarstwo wychodziło Ci doskonale, bo jesteś poukładana, terminowa, rzetelna, a pisać o gotowaniu może tylko ktoś, kto ogromnie lubi siedzieć w kuchni, pichcić i jeść. Trudno wymyślić lepszą kandydaturę niż Magdalena Świerk.

Musi Ci być nieswojo. Szkoda, że nie pracujemy teraz razem – stres rozłożyłby się na pół. À propos pracy: odpisałam Anecie, że z przyjemnością się spotkam, ale bliżej końca mojego urlopu macierzyńskiego, czyli w lutym przyszłego roku. Odpowiedź przyszła błyskawicznie: „Jadwigo, rozumiem. Zadzwoń za kwadrans, porozmawiamy”. Zdębiałam. Miałam silną pokusę, by nie odbierać, ale to głupio we własnym domu uciekać od swojego telefonu. Zawsze zresztą powtarzam, że trzeba brać byka za rogi, więc gdy odezwała się pogodna melodia dzwonka, przełknęłam ślinę i nacisnęłam zieloną słuchawkę. A potem odbyłam dość kuriozalną rozmowę:

– Dzień dobry, Jadwigo, tu Jowita Konieczna, twoja nowa przełożona.

– Dzień dobry, Jowito (przełamałam się w końcu, jeszcze by tego brakowało, żeby ona do mnie po imieniu, a ja do niej „pani”), tu JAGODA Flizowska, twoja nowa podwładna.

– Jagoda to twoje imię?

– Tak, od trzydziestu sześciu lat.

Tak mnie pomyliła tylko Dorota, pamiętasz, Malino? Ciekawa zbieżność...

– Sądziłam, że po prostu używasz zdrobnienia. Zresztą niestotne. Jak się miewasz ty i twoje dziecko?

– Dziękujemy. Obie – Hania i ja – mamy się dobrze.

– Znakomicie. Z pewnością świetnie sobie radzisz, ale sądzę, że masz opiekunkę, tak na wszelki wypadek?

Ale jaki wszelki? Jak złamię obie nogi lub stracę wzrok?

– Nie, sama się opiekuję córeczką. Po to są urlopy macierzyńskie.

– Oczywiście. Można je jednak skrócić i wcześniej wrócić do pracy.

– Oczywiście, ale ja nie planuję.

– Zastanów się, Jagodo. Długo pracujesz w NASZEJ firmie, twoje doświadczenie by się przydało. Na początku może być pół etatu. Mam kilka wypróbowanych opiekunek, mogę ci polecić. Zresztą na pewno przyda ci się oddech od spraw domowych. Ile można siedzieć z dzieckiem, prawda?

Nieprawda. I w ogóle nie mam ochoty na ten temat z tobą rozmawiać – tak chciałam odpowiedzieć,

ale dobre wychowanie (niech to szlag!) wzięło górę.

– Yyyyyy... no Hania jest malutka, więc teraz to nie, no... nie wiem...

– Spokojnie, masz czas do namysłu. Zadzwoń za miesiąc.

To zdecydowanie lepszy moment. Hanka będzie miała już trzy miesiące, czas najwyższy, by się przestać ze sobą cackać i wziąć z życiem za bary, co nie, Malino? Mówię Ci – i nawet mi nie zaprzeczaj – to dopiero początek problemów w NASZEJ pracy.

Tak mnie to rozstroiło, że Jerzy już od progu zauważył mój nędzny humor.

– Co tam, Groszku? Hania dała ci do wiwatu? A może dzieci?

– Nie, Jureczku, dzieci to samo dobro w najczystszej postaci. Zresztą już grzecznie śpią. To nowa szefowa.

I opowiedziałam o swojej rozmowie i Twoich przejściach.

– A, widzisz. Dużo dłużej znam ten świat i wiem, że korporacje to rzadko pachnące kwiatem łąki. Zdecydowanie częściej to mroczne tereny bagienne. Też mam już dość, stąd ta zmiana. Widzę, że jesteś sceptyczna, ale wiesz co? Z tego może być jeszcze niezły biznes. Coś tam sobie zaczynam w głowie i kieszeni układać. Teraz jednak mam dla ciebie coś ciekawszego. Nowe techniki relaksacyjne. Bardzo relaksacyjne...

Wieczór upłynął mi niezwykle miło: nastrojowe świece, rozgrzane dłonie Jerzego, aromatyczna oliwka i cudowne odprężenie. Tak, wyobrażam sobie, że z tego może być niezły biznes – to znaczy z pierwszej części. Druga – choć może żal, że ten talent nie zostanie odkryty przed szerszą publicznością – niech pozostanie teatrem dla jednego widza: Jagody.

Całuję

Zrelaksowana J.

Od: malina_m@malibox.pl

Do: jaga.jablon@gmail.com

Data: 30.04.2016

Temat: Komu w drogę...

Jaguniu,

gdyby jednak Jowita Cię przekonała do powrotu, obiecaj, że rozważysz moją kandydaturę na opiekunkę. Referencje ostatnio mam fatalne, ale budzi się we mnie jakiś maleńki zew poprawy... Na razie pst, nie zapieszajmy. Zobaczymy, jak przetrwam w tych górach.

Bo co do nas to właśnie jedziemy. Samochód z największym trudem spakowany, aviomarin zaaplikowany, pogoda zamówiona.

Między planami a realizacją drobiazgi się nie zgadzają: miała być grecka wysepka we dwoje, są polskie góry z trójką dzieci. Ale kto wie? Doświadczenie uczy, że czasem imprezy albo wyjazdy, po których niewiele się spodziewamy, mile zaskakują.

Trzymaj kciuki, żeby to był jeden z takich przypadków, bo jakoś zadziwiająco dobrze się na niego nastroiłam.

Ahoj, przygodo!

Malina wysokopienna

Od: jaga.jablon@gmail.com

Do: malina_m@malibox.pl

Data: 1.05.2016

Temat: Re: Komu w drogę...

Szerokiej drogi, Malino!

Dobre nastawienie to połowa sukcesu. Zresztą warunki całkiem niezłe – romantyczny maj, dzięki Bieszczady, widoki zapierające dech w piersiach i wiatr płaczący włosy. Pamiętasz, dokąd ja pojechałam w pierwszą podróż poślubną? Nad Bałtyk. W grudniu. W sztormy, zawieje i zamiecie. Jeśli na podstawie pierwszego wspólnego wyjazdu nowożeńców można wnioskować o ich przyszłym życiu, to Wasza podróż wcale nie rokuje źle.

I mimo króciuteńkiego stażu już macie ze sobą dzieci. I to nawet troje.

Całusy, wiesz, że Cię Kocham!

J.

PS

Daj znać, kiedy dojedziecie. Staszek kierowca to dla mnie nowe i nieznane zjawisko.

Od: malina_m@malibox.pl

Do: jaga.jablon@gmail.com

Data: 2.05.2016

Temat: Osiem etapów drogi

Dojechałam, dojechaliśmy, nie desperuj. Powiedz tylko, dlaczego, do cholery, zaaplikowałam ten aviomarin dzieciom, a sobie nie? Myślałam, że wyrosłam z choroby lokomocyjnej? Że przednie siedzenie jest uprzywilejowane? Że mogę sobie bezkarnie wertować w podróży przewodnik i mapę i nic mi nie będzie?!

Otóż było. Zatrzymywaliśmy się po drodze osiem razy. Raz – na tankowanie i siku, drugi raz – na rozprostowanie kości i piknik, trzeci – na kawę z termosu i wybieganie się dzieci. Pozostałe razy rzygałam do rowu. Chwała Staszкови, że za każdym razem zdążył. I że za żadnym razem nie stracił cierpliwości i nie odjechał, zostawiając mnie w danym rowie.

Ech!

Pensjonat ładny, łazienka czysta, jedzenie może być.

Co do gór – nie myliły mnie wspomnienia: są piękne! A do tego satysfakcjonujące, bo nietrudne. Podejść i zejść niewiele i nie są strome. Połoniny – wspaniałe. Widoki niby najlepsze są jesienią, ale i wiosną, powiem Ci, jest prześlicznie. I pogodę mamy. Nawet dzieci jakby mniej niesforne.

A mąż na szlaku – najlepszy na świecie! Dziarski, opiekuńczy, wesół, dodający werwy, niegubiący szlaku, obracający utyskiwania w żart. Niosący najcięższy plecak i nienarzekający na nic. Podtrzymujący, gdy trzeba. Biorący na barana, gdy któreś z najmłodszych bardzo już jójcało.

Tak że strzeż się, moja dotychczasowa towarzyszko, masz godnego konkurenta!

Serdeczności ślę z wyżyn

M.

Od: jaga.jablon@gmail.com

Do: malina_m@malibox.pl

Data: 3.05.2016

Temat: Majóweczka

Uuuuu, współczuję. Mało romantyczny początek podróży poślubnej. Cóż, starzejesz się. Kiedy byłyśmy młode, żadne warunki nam nie szkodziły – rozklekotany autobus, śmierdzący upiornym plastikiem polonez, głośno stukająca kolejka. Dobrze wiedzieć – na następną wspólną wyprawę (narobiłaś mi apetytu – tyle fajnych mamy wspomnień z naszego szwendania się po świecie) zabieram dużo woreczków foliowych.

U nas spokojnie. Prace w ogrodzie, wyprawy do lasu, pierwszy koc na świeżej trawie. Rodzinne ciepło i nuda. Wieczorem spotykam się z Kasią – w tej nowej herbaciarni, otwartej niedawno przy skwerku.

Całusy dla wszystkich Świerków!

J.

Od: malina_m@malibox.pl

Do: jaga.jablon@gmail.com

Data: 8.05.2016

Temat: Pan Bóg nierychliwy...

Jagulcu,

czy pamiętasz nasz studencki wyjazd w Bieszczady sprzed stu lat? Może nie pamiętasz tras, wyglądu pól namiotowych czy w kim aktualnie się kochałaś, ale nie możesz chyba nie pamiętać, jak niemal wszyscy struliśmy się jakąś bieszczadzką bakterią, pijąc byle gdzie nieprzegotowaną wodę.

Wówczas ten los został mi oszczędzony. Świadczyłam usługi pielęgniarskie kolejnym poszkodowanym, w tym chyba także Tobie. Parzyłam Wam miętę i – co tu dużo mówić – wynosiłam miski.

Z jakiegoś powodu założyłam wtedy, że mam żelazny żołądek i takie rzeczy się mnie nie imają.

Otóż myliłam się.

Choć tym razem nieprzegotowanej wody używałam jedynie do płukania zębów (no dobrze, dwa razy napiłam się ze strumyka – wszyscy się napiliśmy), zatrucie dosięgnęło właśnie mnie. Czwartego dnia rano obudził mnie silny odruch wymiotny. Piątego dnia w góry nie poszłam wcale. Siłą i groźbą wypchnęłam towarzystwo, by poszli w trasę beze mnie. Stasiek kazał mi przysiąc, że zadzwonię, gdyby tylko coś się działo. Nie było jednak takiej potrzeby. Zostałam w pokoju i w gruncie rzeczy spędziłam nie najgorszy dzień na snobistycznej leżance na tarasie, z książką, miską, kolejnymi herbatami i widokiem na góry. Bardziej niż boleści brzucha doskwierało mi zażenowanie, że oto Staś (i reszta) znów ogląda mnie miotającą wiktem.

Na drogę powrotną zabezpieczyłam się taką ilością aviomarinu, że niemal całą ją przespałam. Minus tego taki, że wcale nie zmienialiśmy się za kierownicą, ale przewodnik stada dał radę.

Pan Bóg nierychliwy, ale sprawiedliwy – widać każdy bieszczadnik musi choć raz w życiu zaliczyć tam „to”.

Ściskam Cię mocno

Górzystka po przejściach

Od: jaga.jablon@gmail.com

Do: malina_m@malibox.pl

Data: ...05.2016

Temat: Podróż w głąb siebie

Malinko,

coś musiało Cię dopaść – może jakiś wirus? Niby dziwne, że tylko Ciebie, ale Staszek odporny, bo wciąż wśród dzieci, Irenka zaprawiona w przedszkolu, a chłopcy – wzięwszy pod uwagę dość spartańskie warunki chowu – chyba wcale nie chorują.

Szkoda, bo miałam nadzieję na krótką wspólną kawę. A tak to Ty pewnie jeszcze nie w formie, a ja się trochę boję o ewentualne zarażenie Hani.

Chciałam Cię po prostu zobaczyć, uściskać, wypytać o tę Waszą podróż, stęskniłam się za Tobą. A –

i jeszcze chciałam opowiedzieć Ci o Kasi. Wyobraź sobie, że się przełamała i poszła na zajęcia grupowe dla współuzależnionych kobiet.

– Nie uwierzysz, Jagodo, kogo tam poznałam! – oznajmiła mi podekscytowana.

– No, kogo?

– Fajne babki. Takie zwyczajne, jak ty i ja. A nawet taką ze świata show-biznesu. To znaczy, jej mąż jest znanym prezenterem, a ona żoną przy mężu, ale zna ten świat od podszewki. Bardzo niefajny świat zresztą. – zmarkotniała na chwilę.

– Ach, no widzisz, wszędzie dobrze, gdzie nas nie ma. Odnalazłaś się w tej grupie?

– Chyba tak. Na razie niewiele mówię, przede wszystkim słucham innych kobiet. A one jakby mówiły o mnie, opowiadały moją historię. Zdaje się, że zaczynam rozumieć, po co to wszystko jest. One opowiadają straszne rzeczy, ale to mimo wszystko krzepiące, że komuś też coś takiego się zdarza. Że nie tylko ja...

Bardzo się cieszę z odwagi Kasi. Przyznać się przed sobą i innymi to pierwszy krok w długim marszu do zdrowienia. Ważne, że ten marsz już się zaczął.

Optymistycznie zatem Cię ściskam

Twoja J.

Od: malina_m@malibox.pl

Do: jaga.jablon@gmail.com

Data: 9.05.2016

Temat: Na zieloną trawkę

Jago,

Jowita wyrzuciła mnie z pracy. Jestem w szoku, cała się trzęsę. Powiedziała, że mam niepoważny stosunek oraz przedkładałam sprawy prywatne nad zawodowe. Oczywiście, że przedkładałam, każdy normalny człowiek przedkłada! Jak z tym w ogóle dyskutować? Ale stosunek mam poważny i wywiązuję się z obowiązków. Nie chciała jednak słuchać moich argumentów.

Mimo wszystko usiłowałam się bronić. Zapytałam, czy to mój urlop na żądanie przesądził o jej decyzji? Przyznała, że owszem. „Jak to, przecież pracownik ma prawo z niego korzystać!” – oponowałam. Ale to – rzekomo – tylko dowodzi mojego nonszalanckiego traktowania obowiązków.

Tere-fere, Jagodo. Pismo z decyzją o wypowiedzeniu miało datę drugiego maja. W żaden sposób jednak to mnie nie pociesza. Z czego będę żyć?...

A może to kara za moje (wiadome) grzechy?

Magda

Od: jaga.jablon@gmail.com

Do: malina_m@malibox.pl

Data: 9.05.2016

Temat: Re: Na zieloną trawkę

Co?! Ale jak to, Malino?! No nie mogę uwierzyć! A to szuja! Jak tak można? Przecież wcale cię nie zna, nic o Tobie nie wie, nie ma pojęcia, jak rzetelnym jesteś pracownikiem! A że masz życie prywatne – to ma być zarzut?! Przecież każdy normalny człowiek ma życie prywatne, wyłączywszy psychopatów.

Rany, jak bardzo mi przykro. Gdzie teraz jesteś? Jeszcze w pracy? Chcesz i możesz teraz porozmawiać?

Całuję, całuję

J.

Od: malina_m@malibox.pl
Do: jaga.jablon@gmail.com
Data: 9.05.2016
Temat: Re: Re: Na zieloną trawkę

W pracy, w pracy, ale porozmawiać wolałabym później, z domu. Nie mam poczucia, że otaczają mnie tu życzliwi ludzie, wręcz przeciwnie – na przykład Sylwia nawet nie próbowała ukryć triumfu. Piszę teraz do Ciebie w łazience z telefonu. Szefowa nie zwolniła mnie z obowiązku świadczenia pracy, najwyraźniej jeszcze się przydam przez te dwa tygodnie (czarnej roboty zawsze jest tutaj sporo, nie?). Czuję, że to będą dwa tygodnie kopciuszkowego oddzielania maku od popiołu.

Ściskam
Kopciuszek

Od: jaga.jablon@gmail.com
Do: malina_m@malibox.pl
Data: 9.05.2016
Temat: Re: Re: Re: Na zieloną trawkę

Jasne. Trzymaj się, nie daj się.
J.

Od: malina_m@malibox.pl
Do: jaga.jablon@gmail.com
Data: 10.05.2016
Temat: Dom to ostoja

Hej, Jago,

wiesz? to wruszające, ile dobra wyzwala się w ludziach, kiedy zachodzi pilna potrzeba wsparcia kogoś bliskiego. Wczoraj wruszyliście mnie Wy oboje – Ty i Staś. Twoja niezapowiedziana wizyta (Dziękuję! Przyjaźń to fenomenalna sprawa!!!), a potem prawdziwie kojący wieczór z nim. Powiedziała mi tyle miłych rzeczy!... Że jestem zdolna i błyskotliwa, i urocza, tak że z całą pewnością znajdę sobie nową, jeszcze lepszą pracę, a zanim to się stanie, to on przecież jest w stanie nas utrzymać. Tu ośmieliłam się polemizować – Staś nie ma żadnych kredytów, ale ja owszem – monstrualny, na mieszkanie. On jednak uspokaja, że w razie potrzeby ruszymy jego oszczędności i jakoś to połatamy. A pracę przecież „znajdziesz szybciej, niż myślisz!”.

Swoją drogą, muszę chyba zmodyfikować ogłoszenie o wynajmie mieszkania. Przez cały kwiecień zadzwoniły w jego sprawie trzy osoby, nawet nie wiem, czy poważnie zainteresowane, czy tylko orientacyjnie chcące wyrobić sobie zdanie o cenach w tamtej okolicy. Obniżę cenę najmu, by wypuścić je jak najszybciej. Prawda?

Wracając do Stasia, wsparł mnie nie tylko dobrym słowem, lecz także tą całą swoją Staszkowatością. Był opiekuńczy i serdeczny, żartował, że z jednej – powinnam teraz szukać pracy u szefa mężczyzny, z drugiej strony deklarował, że na samą myśl już jest o mnie zazdrosny (dobre sobie: sam pracuje niemal z samymi kobietami!). To jest niewypowiedziana ulga, kiedy po samotnym etapie życia dzielisz je z człowiekiem pogodnym, zaradnym, energicznym, a do tego wodzącym za tobą zakochanym wzrokiem...

Gdy uśpiliśmy dzieci, relaks z mężem przybrał inne oblicze – bezwstydne, radosne, łakome, erotyczne. Czy to nie jest niepoważne myśleć w dniu, kiedy zwalniam cię z pracy, jak jesteś szczęśliwa?

A jednak tak myślałam.

Zasypiając, byłam już gotowa stawić czoła wszystkim Sylwiom, Jowitom i korporacjom. Nic nie jest tak ważne jak dom.

Całuję
Świerczynowa

Od: jaga.jablon@gmail.com

Do: malina_m@malibox.pl

Data: 11.05.2016

Temat: Na karuzeli życia

Madziu,

życie nie przestanie mnie zadziwiać. Dziś rano, gdy porządkowałam pocztę (dziewięćset sześćdziesiąt siedem mejli od Ciebie! – zgrałam na dysk zewnętrzny z myślą, jak przyjemnie będzie na emeryturze poczytać nas sprzed trzydziestu lat), z ciekawości sprawdziłam, co działo się rok temu. I wiesz co? W liście z ósmego maja, gdy pisałaś mi o tym, jak zadzwoniła do Ciebie żona Wiktora, domagając się zwrotu męża, był taki fragment: „Nigdy nie straciłam pracy, Jago. Ale wyobrażam sobie pozbawioną skrupułów szefową, która identycznym tonem mogłaby wygłosić: zwalniam panią ze skutkiem natychmiastowym. Zwalniam panią z funkcji kochanki mego męża. Czas wypowiedzenia: dwa miesiące”.

Zatem już nie musisz sobie wyobrażać pozbawionej skrupułów szefowej...

Ale, ale – mimo tej niewątpliwie przykrew sytuacji widzę aurę szczęścia nad Tobą. Przed rokiem marzenie o spełnionej miłości właśnie się z hukiem roztrzaskało. Nie było już Wiktora (baaardzo dobrze, jak się okazuje, Opatrzność nad Tobą czuwała, bo to był jednak niepoważny, kłamliwy i zupełnie nierokujący na wspólną przyszłość facet), była za to praca. Teraz nie masz pracy, ale idziesz przez życie ze Staszkiem, który nie dość że sam się dzielnie opiera wszelkim życiowym wichurom i burzom, to jeszcze nad Tobą rozkłada parasol. Szczęściara z Ciebie – i tej myśli się trzymaj!

A co do pracy – na pewno coś znajdziesz. Masz duże doświadczenie, dobre wykształcenie, jesteś miła i umiesz współpracować. A do tego czytasz i piszesz ze zrozumieniem, co – nawet w naszej branży – nie jest takie oczywiste. I jeszcze Ci powiem, sięgając do dużego worka z moimi korporacyjnymi doświadczeniami – że za jakiś czas (po wykonaniu brudnej pracy) pozbawiona skrupułów szefowa naszej szefowej powie jej: „Zwalniam panią ze skutkiem natychmiastowym”.

W piątek idę na spotkanie z moją panią prawnik. Rzeczywistość mocno mnie docisnęła – karta kredytowa poszła w użycie, zaliczka wpłacona. Nie udało się polubownie załatwić sprawy o podział majątku z Piotrem. Smutno mi z tego powodu. Rozumiem jego żal, emocje, ale na tyle ile mogłam, uczyniłam im zadość, całą winę za rozpad związku biorąc na siebie, choć przecież nigdy nie jest tak, że pary się rozstają, bo jedno jest idealnym aniołem, a drugie diabłem wcielonym – wina się rozkłada, nawet jeśli nie po połowie, to obciąża oboje.

Pa, Przyjaciółko

J.

Od: malina_m@malibox.pl

Do: jaga.jablon@gmail.com

Data: 13.05.2016

Temat: W rocznicę objawień fatimskich...

Kochana J.!

Śmieję się, pisząc do Ciebie teraz, śmieję i trochę płaczę, na przemian, ale nie, nie, nic się nie martw, nic się nie stało, choć i zarazem stało się bardzo dużo.

Śmieję się, bo przeczytasz tytuł i zaraz sobie pomyślisz, że będę Ci tu pisała o Maryi, pastuszkach i Fatimie albo namawiała na pielgrzymkę tamże (swoją drogą, to wcale niezła myśl! Sama chciałaś niedawno reaktywować nasze wojaże! Mam zresztą coraz więcej powodów, by się tej Wybawicielce w jakimś stosownym miejscu pokłonić).

Śmieję się też z obrotu spraw, który jest tak zachwycający, tak pozytywny, że to cud być musi, cud odkryty dziś właśnie w rocznicę wiesz już czego.

Teraz myślisz, że zwariowałam. Nie zwariowałam, Jaguniu. JESTEM W CIAŻY!!!

Rzecz wyszła na jaw dziś podczas rutynowej wizyty u ginekologa. Ósmy tydzień, doliczając te dwa przed zapłodnieniem, czyli chyba owoc naszej drugiej poślubnej nocy (bo pierwszej nie było – pamiętasz: chłopaki, szok, piżama i spanie z Ircią).

A ja myślałam tyle rzeczy... Że okres mi się przesuwa ze stresu. Że mam chorobę lokomocyjną. Że się zatrulałam w Bieszczadach. I z tego wszystkiego też mi się chce serdecznie śmiać.

A płacz? Ze wzruszenia, Kochana. Z radości. Z tego, że gdy powiedziałam Stasiowi, to i jemu zaszkliły się oczy, i szkliły potem jeszcze, gdy oglądał pierwsze wydruki usg, na których oczywiście nic nie widać, ale on już sobie wszystko wyobraża, szczęście wprost u nas wybuchło jak majowa przyroda wszędzie wokół i buzuje, i NIE JESTEM W TYM SAMA.

Może jednak jestem bliska zwariowania. Ze szczęścia.

Malina w ósmym

Od: jaga.jablon@gmail.com

Do: malina_m@malibox.pl

Data: 13.05.2016

Temat: Re: W rocznicę objawień fatimskich...

Madziuuuuu!

Aż mi palce drżą i nie mogę trafić w okienka z literkami na telefonie. Czekam na panią prawnik. Zadzwońię po spotkaniu!

Całuję Cię, Was!

J.

Od: jaga.jablon@gmail.com

Do: malina_m@malibox.pl

Data: 13.05.2016

Temat: Już z domu

Dzwoniłam, ale nie odbierałaś – zadzwonię jeszcze raz, wieczorem.

Wciąż się ekscytuję tą wiadomością! Patrz, ja też taka niekumata – niby troje dzieci, a do głowy mi nie przyszło, że to Twoje jeżdżenie do Rygi w te i nazad to może być ciąża. A przecież to takie oczywiste, że przykładna katoliczka od razu po ślubie postępuje jak Pismo Święte każe: „Bądźcie płodni i rozmnażajcie się, abyście zaludnili ziemię i uczynili ją sobie poddaną”. Jesteś także karną obywatelką i nie pozostawiasz propozycji 500 plus bez odpowiedzi. Cesarzowi co cesarskie, co boskie Bogu.

Idealnie – cała Malina! (cmok, cmok)

Za chwilę będziecie naprawdę wielką rodziną. Nawet już jesteście – w tych emocjach ostatnich dni zapomniałam zapytać o chłopców. Coś się wyjaśnia – w którąś ze stron?

A, no i najważniejsze!!! Przy okazji spotkania z panią prawnik opowiedziałam jej o Tobie.

Widziała, że jestem podeksytowana, i zapytała o powód. No to odpowiedziałam, że przyjaciółka w ciąży i taka radość, super po prostu. Ona mi na to, że gratuluje, bo to najważniejsze w życiu, nie praca, nie kasa, tylko rodzina. Przytaknęłam, że owszem i nawet brak tej pracy Cię nie martwi, choć chwilę temu dostałaś wypowiedzenie.

– Ale jaką chwilę temu? Kiedy to było? – pani prawnik błyskawicznie przełączyła się z trybu prywatnego na zawodowy.

– No, cztery dni temu.

– Cztery? A w ciąży to przyjaciółka musi być przynajmniej cztery–pięć tygodni, skoro już wie, prawda?

– Od nocy poślubnej. Drugiej. No od końca marca.

– A zatem szef może sobie tym wypowiedzeniem toaletę wytapetować. – Błysnęła uśmiechem, jak sęp, który wypatrzył bezradną ofiarę.

Że też o tym nie pomyślałyśmy od razu! Kobiety w ciąży zwolnić z pracy nie można. Nie szkodzi, że nie wiedziałaś o swojej brzemienności w dniu wypowiedzenia. Wracasz teraz z zaświadczeniem od lekarza i piłka znowu w grze.

Całusy, Farciaro!

J.

Od: malina_m@malibox.pl

Do: jaga.jablon@gmail.com

Data: 17.05.2016

Temat: Samo dobro

Jagodo,

dziękuję Ci, że jesteś. Odwiedziny Waszej piątki w sobotę były rewelacyjne. Dawno się tyle nie śmiałam... i nie gotowałam tak dużo!

Okazuje się, że w modelach 5 + 5 nadal można być spontanicznym. Wpadać do siebie, razem obierać ziemniaki, podśpiewywać, składać altankę – co w założeniu miało być chyba lekcją stolarki dla Alka i Adriana, a znienacka załapali się na nią jeszcze Jerzy i Jeremi. (Dyskretne rozterki Jurka, czy spróbować praktycznej nauki heblowania, czy jednak oszczędzić dłonie masażysty przed drzazgami i szorstkością – bezcenne!).

Fajnie jest mieszkać w sąsiedztwie!

Sama zresztą nie wiem, komu dziękować i za co jeszcze: za Ciebie, za Stasia, za Iryską, za fasolkę w brzuchu, za dom, za las, za pracę, której jednak nie straciłam... Wam – za miłość i przyjaźń, Bogu – za wszystko. To jest tydzień cudów. Nie – to całe życie jest cudem.

Tym bardziej wstyd mi teraz, że tak wyrzekałam na tych chłopców, których los rzucił do nas, by rozgrzali się przy naszym domowym ognisku. A przecież kiedy byłam sama z Irenką, tyle osób przygarniało nas do siebie, by choć na chwilę rozjaśnić naszą samotność... Też grzałam się przy cudzym cieple, jak planeta – co tylko odbijać światło umie, a nie dawać. Powinnam zdobyć się na więcej szlachetności, gościnności, zrozumienia. Jestem to winna światu w rewanżu za całe dobro, które dostaję.

Takie jest moje postanowienie.

W teorii. W praktyce zaś w niedzielę urządziliśmy coś w rodzaju Dnia Dziecka.

Nie, nie odpuściliśmy nikomu kąpieli – przeciwnie, pojechaliśmy całą piątką na basen.

Zaleta chodzenia na basen z dziećmi jest taka, że nie musisz pływać w zimnej, głębokiej wodzie, bo masz doskonałą wymówkę, by pozostać w ciepłym brodziku.

Po basenie Staś namówił mnie na oszczędzanie sił i zamiast do domu na obiad pojechaliśmy na pizzę. Niezdrową, tuczącą, pyszną, wielką jak młyńskie koło, uginającą się od składników,

z niedozwoloną na co dzień coca-colą. Dzieci były wniebowzięte, ja właściwie też. Dodatkowy plus ciąży: na długie dziewięć miesięcy zapomnij o diecie i talii! Co więcej: możesz mieć zachcianki!!!

Wieczorem usiedliśmy z przyszłym ojcem na ławce i rozkoszowaliśmy się widokiem kwitnących jabłoni. Ich płatki wirowały w lekkim wietrze, a potem miękko padały na wszystko jak jedyny w swoim rodzaju majowy śnieg. Dzieci siedziały opodal na kocu – chłopcy z tabletami (Dzień Dziecka), Irenka – rysując coś zawzięcie. W końcu wzięła kartkę, podeszła do nas i z namaszczeniem wręczyła dzieło Staśkowi. Sama zaś zastygła w pozie oczekiwania na pochwały.

Staś zepsuł pozę, zgarnawszy artystkę na kolana.

– „Dla taty” – przeczytał. – A kto jest na tym obrazku?

– Rodzina w górach – rzekła twórczyni.

Zapuściłam żurawia. Na obrazku były dwie góry, rwąca rzeka, mizerny mosteczek, a na nim wielki mężczyzna trzymający na rękach kobietę, dziewczynkę i dwóch chłopców.

– O! – zakrzyknął „tata”. – Ale mamy przecież nie nosić... I nie przechodziliśmy przez taką rzekę...

– Ale jakby trzeba było, tobyś nosił – objaśniła Irenka, pocierając nos. – A rzeka była na jednym obrazku u świętego Krzysztofa, bardzo fajna. I on też nosił, jak ty.

W poniedziałek z samego rana poszłam do ginekologa jeszcze raz (fortunnie przyjmuje właśnie w poniedziałki i piątki – kolejna sprzyjająca okoliczność!). Nie byłam umówiona, liczyłam więc na przychylność innych pacjentek i wpuszczenie mnie gdzieś między nimi. By zyskać na czasie, przyszłam z samego rana, na ósmą, z dzieciarnią nieodwiedzioną jeszcze do przedszkola. W takiej gromadzie zobaczył mnie lekarz zmierzający w lekkim spóźnieniu do gabinetu.

– O! To już tyle drobiazgu jest w domu?

– Dzień dobry, panie doktorze. – Wstałam z krzeselka. – Mam do pana prośbę. Chodzi o wydanie zaświadczenia o ciąży...

– Wejdźmy – powiedział i zaprosił mnie do środka.

Tam krótko powiedziałam mu o zwolnieniu z pracy i że potrzebuję zaświadczenia, by mnie przywrócono.

Doktor pokiwał głową.

– Wyobraża sobie pani, jaka atmosfera przywita tam panią po niechcianym powrocie?

– Domyślam się – bąknęłam.

– W trosce o dobro ciąży chyba wolelibyśmy tego uniknąć? – Popatrzył badawczo.

– Wolelibyśmy – przyznałam cicho. – Choć nie mamy w zwyczaju takich ucieczek...

– Czasem trzeba zdecydować się na coś dla dobra sprawy – orzekł lekarz i wypisał mi zwolnienie.

Dla odmiany lekarskie.

Niestety nie dam Ci satysfakcji, opisując reakcję Jowity na tę woltę. W kwestii mego dobrostanu Stach podzielał bowiem opinię lekarza i zaoferował się, że sam zawiezie do firmy zarówno zaświadczenie o ciąży, jak i zwolnienie.

Jak zaproponował, tak też zrobił – wczoraj, gdy tylko wrócił z pracy (o czternastej – znów korzystny zbieg okoliczności!). Załatwił to bardzo w swoim stylu: żadnych sensacji, doręczył je po prostu kadrowej, nawet nie wstępując do redakcji – i tyle.

A jak już o wilku/świętym Krzysztofie/„tacie” mowa – uważa on, pewnie słusznie, że chłopcy muszą mieć zajęcie, dlatego na środę zaplanował drugi etap prac nad altanką, a na sobotę – budowanie szałasów w lesie na lewo od nas. Może przyślesz Jeremiego na praktyki?...

Pozdrawiam z dobrostanu

Malinka

Od: jaga.jablon@gmail.com

Do: malina_m@malibox.pl

Data: 19.05.2016

Temat: Praca cię wyzwoli/zniewoli

Widzisz, Malino, jak się w życiu zmieniają priorytety?... Pamiętasz, jak zaczynałyśmy swoje prace i jak się wtedy emocjonowałyśmy? Ty – poczuciem odpowiedzialności i misji, a ja – blichтром kolorowego medialnego świata? Wydawało mi się, że mam takie fajne, ekscytujące życie, w którym nie ma czasu na codzienne i przyziemne sprawy, jak rodzina, obowiązek, wycieranie kolejnych małych nosów, pieczenie szarlotki i cosobotnie pobyty na placu zabaw. Praca była taka ważna i ja w niej też byłam taka ważna. A teraz?... Po kilkunastu latach patrzę na to już zupełnie inaczej. Nie mam złudzeń co do życia w korporacji – tu panuje prosta zasada: dostosuj się albo zgiń. Do tej pory jakoś się udawało wymykać spod tej reguły i nawet czasami miałam poczucie, że mogę być użyteczna tą swoją pisaniną – artykuły na ważne dla kobiet tematy (zdrowie, relacje w związku, macierzyństwo) i listy od czytelniczek mnie w tym utwierdzały. Atmosfera w pracy też była znośna, bo trafiali się i fajni ludzie. A teraz...

Głupio mi trochę, bo to przecież ja Cię namówiłam, żebyś przyszła do nas, pokazując Ci tę miłą twarz naszej firmy.

Wyobraź sobie, że dziś rano miałam telefon z pracy. Jowita Konieczna. Zadzwoiła z pytaniem, czy wiem, że jesteś w ciąży. Zatkło mnie, przez dłuższą chwilę milczałam.

– Pytam cię o to dlatego, że podobno się przyjaźnicie. – To podobno było mocno zaakcentowane.

– Przepraszam, ale to pytanie pozazawodowe, a wolałabym nie mieszać wątków prywatnych i zawodowych.

– Zatem rozumiem, że się przyjaźnicie... Sprawa ma charakter zawodowy, ponieważ wiem, że to ty poleciłaś Magdę na stanowisko sekretarza, co nie skończyło się dobrze.

– Tak, to ja. I podtrzymuję te referencje. Magda jest rzeczowa, odpowiedzialna i...

– I w ciąży.

– To chyba nie jest karalne?

– Ironia jest nie na miejscu. Zakładam, że wiesz, że Magdy by już z nami nie było, gdyby nie ta ciąża. Wcześniej ślub, dzieci, urlopy: trudno mieć zaufanie do takiego pracownika.

– Ale te urlopy, dzieci i śluby to całkiem normalne sprawy. Kodeks pracy je dopuszcza.

– Jakbym ją słyszała! Nie mówię, że nie dopuszcza, ale jako szefowa mogę dobrać pracowników wedle innych kryteriów. Zresztą nieważne. Ważne jest natomiast to, że Magda uciekła na zwolnienie i potrzebne jest zastępstwo. Skoro ją polecałaś, to może weźmiesz część odpowiedzialności na siebie i zaproponujesz kogoś odpowiedniego tym razem.

Policzyłam do trzech, uznałam, że nie ma sensu komentować, i byle skończyć tę absurdalną rozmowę, zaproponowałam Kysię Sałacińską, naszą wspaniałą redaktorkę na zlecenie. Bardzo doświadczona, mądra, pracuje w prasie wiele lat – zresztą znasz ją.

– Kto? A wiem. Nie, raczej nie. Wolę kogoś młodszego. Starzy redaktorzy tak wolno pracują.

Nie starzej się, Malino. Jeszcze dycha, no piętnaście lat i taki korpczołg wwalcuje Cię w ziemię jako nieużytecznego członka społeczeństwa. Na szczęście Hania się rozdarła, więc nie musiałam już słuchać i odpowiadać, nastąpiło chłodne pożegnanie.

Zdaje się, że i ja nie będę mile widziana w „Być Kobietą”.

Może to czas, by i w życiu zawodowym inaczej wszystko poukładać? Wczoraj przez chwilę rozmawiałam z Kasią. Wciągnęła się w ten nowy świat. Chodzi na terapię grupową, była na spotkaniu AA dla współuzależnionych. Zaczyna inaczej patrzeć na życie. Zwierzyła mi się, że chciałaby zacząć pracować. Żeby wyjść z domu, przełamać to swoje zamknięcie. Żeby się w czymś sprawdzić i spróbować uniezależnić finansowo od męża. „Tylko wiesz co, Jago, nie chcę mieć szefa nad sobą. Chcę

po raz pierwszy w życiu sama podejmować decyzje. Jeśli będzie porażka, to będzie moja porażka. Jeśli sukces, też mój”.

Najpierw Jerzy, teraz sąsiadka. Jerzy pilnie się uczy o przyczepie mięśni i punktach spustowych, naciska, ugniata, oklepuje, a także wypełnia tabelki danymi i planuje biznes. Kasia chce zacząć mniej spektakularnie, bardziej chałupniczo. W piwnicy robi sobie pomieszczenie na pracownię florystyczną – z wiankami, ikebanami i innymi dekoracjami z suszonych kwiatów. Fajny pomysł, bo wycucie stylu i gust ma po mamie.

No nic. Uciekam, bo za chwilę piłkarskie przedszkole Jeremka.

Całuję

J.

Od: malina_m@malibox.pl

Do: jaga.jablon@gmail.com

Data: 22.05.2016

Temat: Skrojona na (czyją?) miarę

Droga J.,

zawstydzające są takie rozmowy, w których musisz udowadniać, że nie jesteś wielbłądem, bo twoje życie nie kończy się na pracy. Kurczę, faktycznie musimy pomyśleć o jakiejś alternatywie. Krysia za stara?! *O, tempora...*

Tymczasem na Margeretki...

Na dziś zaprosiliśmy do siebie moich rodziców. Pretekstem był zbliżający się Dzień Matki. Przekonałam mamę, że najlepszym prezentem dla niej z tej okazji będzie niegotowanie obiadu, posiedzenie w zieleni, może wspólny spacer?... Zresztą specjalnie przekonywać nie musiałam: rodzice przybyli skwapliwie, bo aż od ślubu nie składało nam się widywanie.

Za tym „nieskładaniem się” stałam konkretnie ja. Najpierw byłam zbyt rozbita historią z chłopcami i nie chciałam pokazać się staruszkom w złej formie psychicznej – przez telefon łatwiej podtrzymywać wrażenie niezmaczenie szczęśliwej młodej mężatki. Nie wyobrażałam sobie też zabrania urwisów do domu rodziców – konserwatywnego, zagraconego, pełnego ceramicznych figurynek i innych potencjalnych zarzewi konfliktu. Już gdy byliśmy u Was, drżałam o różne rzeczy. Przeczuwałam też, że o ile ja mam z akceptacją A. i A. duży problem, o tyle mama będzie miała problem ogromny.

I nie pomyliłam się.

Rodzice przyjechali po dwunastej. Ciekawie rozejrzeli się po obejściu i domu, tata z uznaniem wyrażał się o fachowo przyciętych drzewach owocowych (Zna się na tym czy blefował? Kto go tam wie), mama – o domu i jego przytulnym wystroju. Staś nie szczędził wtrąceń, że wystrój to moja zasługa, ja się mitygowałam, że przecież podstawy pozostały bez zmian z jego kawalerskiego życia.

– Ale smaczki dodałaś ty! – upierał się i było to oczywiście miłe.

Stęskniona Ircia obłapiała to babcię, to dziadka, a oni nie szczędzili jej serdeczności, pochwał i prezentów.

Z Alkem i Adrianem poprzestali na przywitaniu.

Zebrałam od wszystkich zamówienia na kawę, herbatę i sok i poszłam do kuchni. Mama ruszyła za mną.

– Oni ciągle tu są?! – Przewróciła oczami, co, jak rozumiem, miało wyrażać oburzenie i solidarność ze mną. – Czy ci ludzie są niepoważni? Wrobili was w darmową opiekę, a sami co? – nakręcała się. – To jest bezpardonowe żerowanie na braku asertywności Staszka. Powinniście coś z tym zrobić.

Dziwnie się czułam, słuchając jej tyrady. Przecież ze wszystkim się zgadzałam, nieświadomie

powtarzała moje własne utyskiwania i jętrzenia, dlaczego więc teraz było mi nieswojo? Może dlatego, że Alek i Adrian też słuchali – z saloniku, oddzielnego od kuchni kawałkiem cienkiej ściany.

– To nie kwestia braku asertywności, mam – zaproponowałam. – On im sam zgłosił swoją gotowość do takiego rozwiązania, a oni z tego skorzystali.

– Wykorzystali, moja droga, nie skorzystali. Wykorzystali waszą poczciwość.

Ta poczciwość nie brzmiała jak komplement, raczej jak wytknięcie jakiejś wstydlivej cechy.

– Nie czuję się zbyt pocziwa...

– Ale twój mąż taki właśnie jest – rzekła ze znawstwem mama.

– Jest ich najbliższą rodziną – powtórzyłam argument Staszka.

– Ale to nie powód, żeby dać sobie wchodzić na głowę! Przecież to nie są jacyś uchodźcy, którzy nie mają innego wyjścia, jak wlepić komu popadnie swoje dzieciaki i uciekać! Wyobrażam sobie, jak musi ci z tym być ciężko. – Pokręciła głową ze zboląłą miną. – A Irencie!... Przecież to takie wrażliwe dziecko... Widziałam ten jej pokój. Miało być cukierkowo, a tu czołgi, jakieś patyki i ten dziwny zapaszek.

– Zapaszek?

– Wystarczy na nich spojrzeć, by wiedzieć, czego się spodziewać – zakończyła konfidencjonalnym szeptem, który, idę o zakład, dotarł do niepowołanych uszu małoletnich.

A ja nagle zobaczyłam w mamie siebie – jak w lustrze, co zamiast odzwierciedlać lub wykrzywiać, postarza o pokolenie.

To nie był miły widok. Widzieć własne cechy, wstydlive i chowane, tu – wybujałe i rozrośnięte. Dotknęło mnie to. Więcej – zatrwożyłam się. Naraz dotarł do mnie cały sens pracy nad sobą, nad swoimi mrocznymi cechami, bo nieupilnowane urosną w siłę, rzucą cień na te dobre, zachwaszczą cię jak baobaby na planecie Małego Księcia.

Przez całą wizytę rodziców nie dawało mi to spokoju. Nie miałam mamie za złe jej słów i przekonań; w gruncie rzeczy przecież je nawet podzielałam. No, może odrobinę rodzice mogliby się jednak wysilić i wznieść ponad siebie. Może mogliby na przykład nie ignorować tak ostentacyjnie chłopców przy jednoczesnym hołubieniu Irysa? Albo przywieźć im po jakimś drobiazgu? Albo zagadnąć, albo zmierzwić włosy?

Tylko czy ja sama zagaduję ich, dam im drobiazgi albo mierzwię włosy?... Och, Jago, dlaczego bywam tak uczuciowo tępą? Czy z innymi też tak jest? Czy dopiero, gdy widzisz, jak inna matka krzyczy na dziecko, a ono się kuli pod jej słowami jak przed ciosem, dociera do ciebie, jak ty krzywdzisz własne, gdy zdarza ci się je upokorzyć?

Czułam się podle – i w czasie ich wizyty, i kiedy pojechali. Chłopcy zachowywali się źle, Irenka zachowywała się źle, rodzice zachowywali się źle. Było mi wstyd we wszystkie strony: za siebie, za swoją nową rodzinę, za rodziców. Ten zwielokrotniony wstyd przytłoczył mnie jak wielki ciężar. Stach po swojemu: widział i nie komentował. Posyłał mi tylko pełne wsparcia spojrzenia, przytulenia, uściśnięcia. Kiedy było potrzeba, obracał w żart, udawał, że nie rozumie.

Gdy mama z tatą pojechali, Staś zaczął szykować siebie i dzieci do kościoła, a ja, zupełnie dla siebie nietypowo, wymówiłam się zmęczeniem.

– Muszę się położyć – powiedziałam, choć to, co miałam do przemyślenia, można było zrobić w dowolnej pozycji.

Mąż przyjął tę wymówkę za wystarczającą.

– Tylko nic nie sprzątaj! – Pogroził palcem, ucałował mnie i poszli.

A ja wyjęłam stary rodzinny album, który prowadziła kiedyś moja babcia. Zdjęcia były powklejane porządnie, równo, w czarnych rożkach, wedle dat i tematyki, i opisane równą dawną kaligrafią. Dopiero teraz zwróciłam uwagę na specyficzne rozplanowanie niemal wszystkich „rozkładówek”: otóż pośrodku babcia najczęściej umieszczała siebie: a to swój portret w wianuszku braci, a to siebie nad morzem

pośród pejzaży, a to w otoczeniu rodziny. W najlepszym wypadku pozycję Słońca naszego rodzinnego układu dzieliła z dziadkiem – należycie w nią wpatrzonym, do końca życia rozmiłowanym w niej admiratorem.

Graficzne ujęcia fotografii dobrze oddawały nasze rodzinne relacje. Babcia była personą pełną gębą. Szalenie mi imponowała. Była bardzo schludna, władcza, szanowana i poważana w towarzystwie, prawdziwa imperatorka. Włosy ułożone w kilka falek zawsze trzymały się nienagannie. Chodziła wyprostowana, mówiła wyraźnie ładnym, donośnym głosem. Dezaprobatę wyrażała wydukiem dużych, kształtnych warg, aprobatę – cieniem królewskiego uśmiechu, na który każdy chciał zasłużyć. Dość długie, kształtne, bardzo twarde, niepomalowane i zawsze czyste paznokcie dodawały jej drapieżności. Sprawowała nad resztą rodziny prawdziwą dyktaturę, nikt nie ośmielał się z nią dyskutować.

Władowała także mną. Uwielbiałam to. Mając taką babcię za kapitana, mogłam być pewna, że włos mi z głowy nie spadnie – dlatego bez zająknięcia spełniałam każdą jej wolę.

Bo babcia miała w zwyczaju wygłaszać takie sądy, którym należało się podporządkować:

Nie pisz lewą ręką, to wstyd! Pójdiesz do szkoły i dzieci będą się z ciebie śmiały! Masz tu zeszyt, siadaj i ćwicz prawą. Tylko nie oszukuj!

Po co chcesz iść na podwórko? Będziesz grzebać w piasku z tymi zasmarkanymi dziećmi? Koty się tam załatwiają, tam nie ma nic interesującego.

Niech ona się nie zadaje z tą Ilonką, to taki flejtuch (Ilona, która w przedszkolu miała nie tylko palce, lecz także całe dłonie, a czasem także i buzię poplamione flamastrami, dziś jest wziętą graficzką). Powinna sobie znaleźć lepsze towarzystwo. (Dobra wiadomość: Ty nie budziłaś zastrzeżeń).

I tak dalej: Nie garb się. Nie leń się. Jedz wszystko. Jedz nożem i widelcem. Poczytaj coś wartościowego. Chodź do kuchni, nauczę cię lepić pierogi. Dziewczynka powinna umieć takie rzeczy.

Dziewczynka powinna to, dziewczynka powinna tamto. Pod czujnym okiem babci wyrosłam, Jago, na osobę znakomicie ułożoną, dość zahukaną oraz piekielnie skrępowaną.

I teraz pytanie za sto punktów: kto sobie lepiej poradzi w życiu: ja (moja mama, Joanna, Irenka, Julcia, Antek – bo choć babci już nie ma, wszyscy kultywujemy jej tradycję) czy Ilonka (która nie może opędzić się od zleceń i ponoć zarabia krocie), Alan, Adrian i masa kreatywnych, wyluzowanych, trochę niechlujnych, trochę bez manier osób wokół nas?

Co lepiej uczy bycia szczęśliwym: życie pełne form i nakazów czy pełna swoboda?

Która strona ma rację???

Pozostawiam Cię z tym pytaniem z nadzieją, że mi odpowiesz. Przeczuwam bowiem, że to jest życiowa kwestia do pilnego rozstrzygnięcia. Sprawa najwyższej rangi, od której zależy i szczęście nas, i naszych mężów, i naszych dzieci. I dzieci, którymi jednej z nas przyszło się, czasowo lub na stałe, opiekować.

Pozdrawiam Cię sztywno

Trzydziestosześcioletnia wnuczka swojej babci

Od: jaga.jablon@gmail.com

Do: malina_m@malibox.pl

Data: 24.05.2016

Temat: Re: Skrojona na (czyją?) miarę

Madziu,

maj bucha zielenią za oknem, słońce rozkosznie przygrzewa, trawniki osypane płatkami przekwitających drzew owocowych, a ja, na Twoje zlecenie, zastanawiam się nad tym, skąd przychodzimy, dokąd idziemy i w jaki sposób wybieramy drogi.

Człowiek rodzi się z potencjałem intelektualnym zapisanym w genach i z już ukształtowanym

temperamentem. Te dwie cechy można wychowaniem, przykładem, pracą modyfikować, ale znacząco ich nie zmienisz. Praktyka dnia codziennego pokazuje, że ta teoria jest prawdziwa. Matylda jest spokojna, rozważna, ale równocześnie uparta, nieskora do żadnych kompromisów. Jej zdanie albo śmierć. Nie złości się, po prostu dobitnie ogłasza swoją opinię i już. Jeremi to dusza towarzystwa, żywiołowy do granic mojej wytrzymałości. Z drugiej strony nie ma w nim nic z buntownika, jest mu szczerze przykro, kiedy się pokłócimy, i jak najszybciej dąży do zgody. Dwoje moich dzieci, chowanych (chyba) tak samo. Bardzo się od siebie różnią. Ode mnie też. Z tym miałam największy kłopot. Myślałam (o ja naiwna!), że moje dzieci będą takie jak ja. W sam raz grzeczne, w sam raz spokojne, w sam raz energiczne, w sam raz się uczące – no złoty środek po prostu. Taką siebie pamiętam z dzieciństwa. Poskarżyłam się kiedyś Jerzemu na swoją bezradność pedagogiczną – nie umiem czasem zareagować, bo nigdy się nie zachowywałam tak, jak moje potomstwo.

– Byłam grzeczna. Może kiedyś dzieci były grzeczne?

– Nie sędzę. Też byłem dzieckiem, jeszcze wcześniej niż ty, i bywałem niegrzeczny.

– Ale był większy dystans między dziećmi a rodzicami. Ja bym się na przykład nie odważyła stanowczo wyrazić swojego odmiennego zdania, a w ogóle robiłam wszystko, żeby rodzice byli ze mnie zadowoleni. Oni oczywiście nie wymuszali takich zachowań.

– Pewna jesteś?

– Oczywiście! Bardzo mnie kochali i...

– Ja nie mówię, że coś ci nakazywali. Może z jakiegoś powodu uważałaś, że musisz zasłużyć na ich miłość i uwagę?

– Nie, skąd! Ja po prostu byłam taka.

– Groszku, pięcio- czy siedmiolatki nie są same z siebie odpowiedzialne i rozsądne. Pomyśl nad tym w wolnej chwili.

Wolnych chwil nie było zbyt wiele, ale wracałam myślami do dzieciństwa. I wiesz co? Coś w tym, co mówił Jerzy, musi być. Bardzo byłam wdzięczna moim rodzicom, że się o mnie postarali. Tata był przed pięćdziesiątką, zawsze po dyrektorsku zapracowany, mama – zanurzona w pracę na uczelni, piękna, zadbana. I tu pojawia się ja. Rosłam w cieniu ich doskonałości, podczas gdy sama byłam... przeciętna. Chuda, patykowate nogi, szopa włosów na głowie, zawsze w nieładzie, buzia zsypana piegami, mleczna skóra, która się opalała na czerwono. Oni – jak pamiętasz – opaleni zawsze na piękny karmel, wyglądali jak z żurnala. Kiedyś – miałam ze cztery lata – ciotka Gabrysia na imieninach taty wyszeptła (to znaczy, przechyliła się w stronę mamy, ale mówiła na tyle głośno, że bez trudu usłyszałam): „Eluniu, aż trudno uwierzyć, że to kaczątko jest wasze. Może w szpitalu podmienili? Ha, ha, ha. No nie, żartuję, przecież ten góralski nos to ma po Tomku. No, mężczyźnie to dodaje urody, a u dziewczynki...”. Pamiętam, że się wtedy spłakałam w kącie. Mama mnie wycalowała, powiedziała, że kocha, ale ja myślałam tylko o tym, że się muszą za mnie wstydzić. Że im się nie do końca udało. Wiele rzeczy było po to, by im tę swoją nieudatność wynagrodzić. Uczyłam się wszystkiego, choć połowa mnie nie interesowała, a do części nie miałam predyspozycji. W efekcie w klasie maturalnej byłam bardzo dobra ze wszystkiego, ale z niczego wybitna. Równo, jak pod linijkę.

Chyba tego żałuję. Żałuję tej wiecznej napinki, ciągłego mustrowania siebie. Podświadomie pewnie zazdrościsz moim dzieciom, że one mają zdrowe podejście do życia, że siebie akceptują. Im jest ze sobą dobrze, są szczęśliwi. Ja chyba nie byłam. Ale wiesz co? Skoro tak jest, to znaczy, że udało mi się stworzyć im dobry dom.

Z perspektywy czasu i doświadczeń powiem Ci tak: najcenniejszą rzeczą, jaką możesz dać dzieciom, jest akceptacja – bezwarunkowa. Dbasz o odpowiednią temperaturę w gnieździe i chowasz do samodzielnego latania, pokazując, że zawsze jesteś obok. Wspierasz – bez względu na to, w jakim stylu i dokąd będą chciały polecieć.

Tylko tyle i aż tyle. Wciąż się tego uczę.

Całuję
Zadbana jedynaczka z nadszarpniętą duszą

Od: malina_m@malibox.pl

Do: jaga.jablon@gmail.com

Data: 28.05.2016

Temat: Grom z jasnej Brukseli

Moja Dobra Flizowsko,

to, co opowiem Ci dziś, możesz uznać za fantasmagorię, pobożne życzenie, sen na jawie, będziesz miała natomiast kłopot z uznaniem tego za autentyczną prawdę. A jednak: to się zdarzyło dziś i mam na to świadków.

Najpierw wstęp.

Choć szefowa chcąc nie chcąc musiała przywrócić mnie w szeregi pracowników i dostaję pełną pensję, zagrożenie jej utraty bardzo podziałało mi na wyobraźnię. Dlatego od pamiętnej rozmowy z Jowitą wzięłam się na poważnie za próbę wynajęcia mieszkania. Na poważnie, to znaczy z osobistym zaangażowaniem. Czyli za każdym razem, gdy ktoś chce je obejrzeć, nie wyręczam się sąsiadkami, tylko sama pruję przez pół miasta, otwieram, przewietrzam i... wkładam do piekarnika zagniecione w domu ciasto drożdżowe. Wanda twierdzi, że mieszkania najlepiej się sprzedaje na dobrą atmosferę. A tę się osiąga, sprawiając wrażenie, że toczy (toczyło) się tu syte, szczęśliwe życie. Najbardziej podatny na tę sugestię jest zmysł powonienia – dlatego potencjalnego klienta należy obezwładnić powalającym od progu zapachem domowego chleba lub ciasta. Ja wprawdzie nie chcę sprzedać mieszkania, tylko je wynająć, ale nie zaszkodzi się wysilić: zależy mi przecież, by znaleźć najemcę jak najprędzej. I to najlepiej statecznego, porządnego, łasego na sztuczki z powonieniem...

Z przewożeniem ciasta, które potrzebuje wyrastania w ciepłe, jest trochę zachodu, ale na razie tylko jedno miało zakalec.

Aha, bo w tym tygodniu mieliśmy już trzy drożdżowce.

Wczoraj mój telefon znów zadzwonił. Miły facet wyznał, że szuka mieszkania z przyjacielem.

– W sensie wyposażenia? – zapytałam kretyńsko, a on szczęśliwie uznał to za zabawne.

– Nie, przyjaciela już mam. I razem szukamy mieszkania do zamieszkania. Zależałoby nam natomiast na dobrze wyposażonej kuchni i przyjemnym wystroju.

Zatliła się we mnie nadzieja. Z nową werwą zagniotłam więc kolejne ciasto i pojechałam tam półtorej godziny przed umówionym spotkaniem, by na wejście przyjaciół chałka roztoczyła pełną gamę swego waniliowo-drożdżowo-maślanego uroku.

Do czterech razy sztuka, Moja Droga! Panowie Ryszard i Leszek spałaszowali pół placka, wychwalili wystrój, stargowali cenę o sto złotych i podpisali ze mną umowę! A także wpłacili kaucję, pobrali klucze... i zapisali sobie przepis na ciasto, który po tylu pieczeniach podałam im już z pamięci.

Do domu wracałam jak na skrzydłach. Taki zastrzyk finansowy! Tak dobrze rozegrany plan! Jestem dorosła, samodzielna, przedsiębiorcza. Lepiej późno niż... jeszcze później!

Pod naszym domem parkował jakiś duży, dość zużyty samochód, ni to osobowy, ni to dostawczy. Co więcej, w naszej słynnej altance siedzieli jacyś goście i gromko o czymś rozprawiali.

Otworzyłam sobie bramę, zaparkowałam, a z altanki wybiegli Alan i Adrian, by zamknąć za mną wrota – jeden prawe, drugi lewe. Taka nasza nowa świecka tradycja.

– Kto to do nas przyjechał? – zapytałam.

– Mama i tata! – Alek mało nie pękł z ekscytacji.

– Żartujesz?! – Sama także mało nie pękłam.

Nie żartował. Za chwilę już na własne oczy dojrzałam Violettę w bardzo krótkiej, obcisłej,

fluorescencyjnej sukience i Bodzia, nietypowo dla siebie kolorowego: w koszuli w hawajskie palemki i zachody słońca. Chłopcy wcisnęli się na ławkę obok swoich marnotrawnych rodziców. Staś zrobił mi miejsce obok siebie.

– Dzień dobry – przywitałam się.

– Cześć, cześć, kochana! – Violetta objęła mnie wylewnie i ucałowała. – Oj, czekaj, bo ci zostawiłam szminkę! – Jęła pocierać intensywnie mój policzek.

– Dzieńdoberek! – Bodzio także był w podejrzenie dobrym humorze. Może przywieźli nam jeszcze jakieś dzieci? Poszukałam odpowiedzi w oczach Staszka, ale on tylko się uśmiechnął, nic mi nie przekazując.

– To może zaczniecie opowiadać jeszcze raz, żeby Dusia też była na bieżąco? – zlitował się w końcu Stach.

– No więc przedwczoraj wyjechaliśmy na zawsze z Brukseli. – Violetta z przyjemnością podjęła przerwany wcześniej wątek. – Po drodze zatrzymaliśmy się jeszcze pod Berlinem w Tropical Island, żeby coś mieć z życia i z tego harowania i odpocząć sobie przed powrotem. Zaraz pokażę ci fotki w telefonie, chłopcy i Stasio już oglądali... – Żółtym i fioletowym paznokciem wystukała na komórce kod odblokowujący. – Jeny, jak tam jest zaje...

– Powrotem?? – zainteresowałam się.

– He, he! – Bodzio zaśmiał się jak krasnolud, który szykuje jakiś zmyślny fortel.

– Tak... – rzekła nieuważnie lisica. – O, tu masz, oglądaj odtąd, pod tą palmą to ja jestem, a tu za wodospadem Bodzio zaraz będzie skakał do takiego oczka wodnego. Wszystko normalnie prawdziwe!

Wzięłam telefon i posłusznie przesunęłam wzrok i palec przez kilkadziesiąt ujęć niemieckich tropików.

Irenka pilnie zaglądała mi przez ramię.

– To ciepłe kraje? – spytała zaciekawiona.

– Nie, to Niemcy, kwiatuszku – pospieszył z wyjaśnieniem Staś. – Taki park rozrywki plażowej.

Oddałam telefon.

– Napijcie się czegoś? Przywiozłam kawałek ciasta... – Sięgnęłam do płóciennej torby i wyjęłam na stół blachę z połową drożdżowca.

– Siedź, kochana, wszystko mamy, Staś nas tu podjął już zupą, no pięknie tu macie, w maju to każda lichota wydaje się piękna, nie? – przemówiła Violetta, wszystko na jednym oddechu.

Ja się zapowietrzyłam, natomiast Stasiak zupełnie niestosownie zachichotał.

– Ja ciasta zawsze chętnie – oznajmił Bodzio.

Wysłałam Irenkę do kuchni po talerzyki i nóż.

– Coś zaczęłaś mówić, że to koniec waszego pobytu w Brukseli? – Dyskretnie skierowałam rozmowę na interesujący mnie tor.

– Kochana, co my przeżyliśmy! – Violetta zrobiła dramatyczną minę. – Historia jak z filmu, mówię wam! – Sprawdziła wzrokiem, czy słuchamy uważnie. – Normalnie ja pracuję w Brux, w takiej ekipie sprzątającej, a Bodzio na budowie. Ale nasz szef, Czarek, to jest bardzo obrotny człowiek i zatrudnia ludzi w różnych specjalizacjach. Ma kontakty, wynajmuje dziewczyny jako hostessy i kelnerki, a facetów jako ochroniarzy na różne imprezy zamknięte. Stawki są wyższe niż nasze, praca lekka i fajna, więc zaczęłam się koło niego kręcić, żeby nas tam wkręcić.

Spięta mina Bodzia świadczyła o tym, że wspomnienie o „kręceniu” i „wkręcaniu się” Violetty do dziś mocno go stresuje.

– No i się udało! Obskoczyłam jeden bankiet i promocję w hipermarkecie, było bardzo fajnie, wiesz, chodzisz sobie po sali, częstujesz gości tartinkami, ładnie się uśmiechasz, a kasa leci. Za trzecim razem udało się wkręcić też Bodzia, żeby stanął na ochronie. To miało być party biznesowe jakichś gości z Kataru czy skądś tam. Czarek dał nam takie czapeczki i fartuszki i mówił, żeby najlepiej przyjść

w ciemnych spodniach, białych koszulkach i ze związanymi włosami, ale mnie się ta robota coraz bardziej podobała i chciałam się też podobać gościom – a jak tam mieli być sami biznesmeni, to na pewno lubią sobie na kobitkę popatrzeć. Chciałam też, żeby Czarek zauważył, że jestem zmotywowana do pracy. Trzeba jakoś się wyróżniać, nie? Jak ktoś ma walory, to nie powinien ich szczeniść światu.

Staś skwapliwie przytaknął, a ja zupełnie przypadkiem kopnęłam go w kostkę.

– Włożyłam żółtą sukienkę, co mam teraz, żeby wyglądać elegancko, Bodzio wbił się w służbowy garnitur sekiurity, ledwo, ledwo, bo jest muskularny, a oni tam same takie rozmiary dla wypierdków mieli... No, nieważne.

Bodzio z dumą wypiął muskularną oponę brzucha.

– Jak przyjechaliśmy na miejsce, to się okazało, że te Katarry to jacyś Arabowie są, w chałatach, szalenie tradycyjni i zadzierający nosa.

– Mają ropę, to się panoszą – rzucił tonem wtajemniczonego Bodzio.

– Wszyscy na mnie zerkali, aż sobie pomyślałam, że oni naprawdę wariują na punkcie blondynek. Uśmiechnęłam się do tego i owego, niech coś mają z życia. Wtedy dwóch z nich do mnie podeszło i coś zaczęli nawijać, pokazując na moje nogi i włosy. Myślałam, że chcą się z bliska przyjrzeć takiej jasnej kobiecie, więc wyeksponowałam dekolt i tak machnęłam kitą, aż włosy omiotły i tartinki, i smagnęły jednego z tych panów. A on gej chyba jakiś, albo przeciwnie, taki wierny żonkoś, choć jak oni tam po tyle żon mają, to chyba trudno mówić o wierności?... W każdym razie odskoczył jak oparzony i się zezłościł. Zaczął coś pokrzykiwać i mi wygrażać. Bodzio do czasu patrzył na to wszystko ze swego stanowiska cierpliwie, aż w tej chwili krew go załała. Drażliwy jest na tym punkcie, żeby mnie obce chłopy obstępowały. Mogą sobie popatrzeć z daleka, widoki są za darmo, ale pokrzyzczyć to sobie na mnie może najwyżej mąż.

Jak nie doleciał do tych pieniaczy, jak nie przyłożył jednemu i drugiemu z liścia, tamci w szoku, bo się nie spodziewali, jak Polak będzie bronił godności kobiet. Jeden człowiek na tych czterdziestu rozbójników!... – Violetta rzuciła mężowi spojrzenie przepełnione podziwem. – Jeszcze gorzej, bo zaraz się zlecieli inni ochroniarze, żeby ich rozdzielić. Jeden złapał mnie i chciał wyprowadzić, ale zaczęłam wierzgać i pisać, przecież nie zostawię Bodzia samego. Wtedy jak spod ziemi wyrósł przy nas Czarek, bardzo zacięty, kazał nam natychmiast wyjść, a sam pobiegł przeproszać tych, co ich tam Bodzio troszkę poturbował...

Słuchaliśmy z zapartym tchem.

– Potem Czarek wrócił i urządził nam kosmiczną awanturę, że jesteście tłuści, co wylecieliście krowie spod ogona, że się miałam ubrać stosownie, a nie jak lafirynda, że urażiliśmy wrażliwość gości ze Wschodu... A czy oni nie urażili wrażliwości Bodzia, że on musiał im te wąsate nosy łamać?!

Wzdrygnęłam się.

– Daj spokój, człowieku! – Bodzio lekceważąco machnął ręką.

– Ja mu tej lafiryndy nie podarowałam i też mu pocisnęłam, że za grosz nie ma jaj, zupełnie jak cała ta Europa Zachodnia, co się chce na siłę wszystkim przypodobać. Żeby na swoim terenie Europejczyk się musiał dostosowywać do durnych zasad jakiejś arabskiej niasiadówki?!

– Poprawność polityczna to kanał – poparł żonę Bodzio. – Wszyscy wiedzą, że gównu śmierdzi, ale mówią, że pachnie. A dopóki udają, że go nie widzą, to też go nie sprzątną. Przez to kulturalne, psia ich mać, zakłamanie też mieliśmy już dosyć tej Brukseli.

– Ale zapłacić za pół miesiąca nam powinien – uzaliła się Violetta. – Tymczasem on nam powiedział, że to jest zwolnienie dyscyplinarne i żadna kasa nam się nie należy.

Dobrze, że mieliśmy trochę zaoszczędzone, to jeszcze pojechaliśmy się odstresować w tym Tropical Island.

– I co będzie dalej? – spytał pogodnie Staszek.

– Dalej? Normalnie. Wróciliśmy, bierzemy chłopaków, jedziemy do domu, babcia już pomału

dobrzeje, będzie git.

– A... plany zawodowe? – zapytałam najdelikatniejszym głosem, jak się tylko dało.

– Tysiaka przywieźliśmy, zaraz dostaniemy zaległe pięćset plus razy dwa, to do wakacji przepękamy i jeszcze zabierzemy chłopaków nad morze. A jak nie będzie pogody, to choćby i do Tropical Island, a co! Jak, Alanku, Adi? Chcielibyście?

– Serio?! – Chłopcy chłonęli te rewelacje całymimi sobą.

– A co! – Bodzio klasnął w stół. – Obejdziemy się bez brukselskiej łaski! Mamuśka tak dobrze wygląda w kostiumie, że musimy ją trochę powłóczyć po plażach!

Violetta posłała Bodziowi pełne słodczy spojrzenie.

– A z tatusiem wszędzie będziemy bezpieczni, bo jakby co, to to jest prawdziwy facet, nie jakiś metroseksualny mydłek.

Bodzio sapnął z miną herosa.

– Z samych pięćset plus dacie radę przeżyć? – Przykro mi, ale musiałam o to zapytać. Bo jeśli ich plany poprzestają na utrzymywaniu się z rządowej pomocy, to pewnie od września powinnam z powrotem zaklepywać dla ich synów miejsca w warszawskich placówkach oświatowych.

– W sumie dalibyśmy... – Violetta wzruszyła ramionami. – Ale Bodzio jest teraz taki oblatany w nowoczesnych europejskich standardach, że od sierpnia chyba poszuka jakichś fuch przy ocieplaniu domów.

– Ocieplanie, dachy, wykończeniówka, człowieku, wszystko! – ożywił się Bodzio. – Jak się namyślicie doprawić trochę tę waszą chatynkę, to też przyjadę pomóc. Po kosztach! – zastrzegł z nagle poważną miną. – Za chłopaków.

– No dobra! To my się już będziemy zbierać. Adrianek, zbieraj rzeczy, pakuj plecak, całuj wujka i ciocię, Alan, nie chcesz siku?...

...I nie minęło pół godziny, a już ich nie było. Szczypałam się w rękę, by sprawdzić, czy nie śnię. Nie śniłam.

Stach objął mnie w pasie.

– Powinnaś założyć szkólkę efektywnej modlitwy.

Posłałam mu pytające spojrzenie.

– Wszystkie twoje modlitwy jedna po drugiej zostają wysłuchane! – Mrugnął do mnie. – To co robimy z tak pięknie rozpoczętym dniem?

Co zrobiliśmy? Wzięliśmy Iryska i Carlosa i poszliśmy na długi spacer. A potem, przy kolacji, wspominaliśmy różne zgrywy Alana i Adriana. Kotom odrosła sierść. Na rabacie rosły nowe kwiaty. I nikt już się nie złościł, nawet ja.

Pozdrawiam Cię

Magda

Od: jaga.jablon@gmail.com

Do: malina_m@malibox.pl

Data: 30.05.2016

Temat: Mniejszy gromek

Życie nie przestanie mnie zaskakiwać, Madziu – taka jest jego natura, że co rusz coś się dzieje. Żeby sobie z tymi nieoczekiwanymi zmianami radzić, trzeba je brać naturalnie, z dobrodziejstwem inwentarza – od rodziny Staszka wszyscy moglibyśmy się uczyć...

U mnie też pewne zaskoczenia – skala mniejsza, prawda, ale jednak coś się dzieje:

Wielki Błękit w Ustce ma zaszczyt zaprosić Panią Jagodę Flizowską wraz z mężem i córką na

Bajeczny Weekend 1–3 lipca 2016 roku. Zakwaterowanie w pokoju Superior, z widokiem na morze. Zapewniamy śniadania i obiadowe kolacje. W cenie zaproszenia nielimitowany dostęp do strefy basenów i saun, a także pakiet „Naturalne Piękno” (masaż relaksacyjny, wybrany zabieg na twarz, pobyt w grocie solnej i na słonecznej łące).

Do zobaczenia

Hotel Wielki Błękit

Najpierw wyciągnęłam tę kartkę z dużej koperty. Przeczytałam, oniemiałam i wtedy zauważyłam, że w środku jest jeszcze jedna koperta, mniejsza. Rozerwałam, a tam:

Groszku,

postanowiłem zrobić Wam prezent: Tobie na Dzień Matki, Hani – na Dzień Dziecka. Po raz pierwszy wspólnie obchodzimy te święta, a uczymy je 1 lipca, kiedy to... zaprosiliśmy do nas naszą córkę. Potrójna okazja wymaga należytej oprawy. Pięknie odnowiona Ustka z kawiarniami, moło i portem zapewne ucieszy Cię bardziej niż dzikie ostępy Piasków, gdzie w zeszłym roku spotykaliśmy się na nocnych randkach.

Całuję Cię (tam, gdzie lubisz)

Twój J.

Bardzo miło zaczął mi się ten dzień, Malinko. Taki prezent od rana dobrze nastraja – przydało się, bo później było trudno. U mnie bowiem nie ma odpływu dzieci – stan liczebny to niezmienna trójka. Hania skończyła dwa miesiące i kolki zaczynają słabnąć. Natura chyba wie, że nawet najbardziej kochająca matka więcej nie zniesie. W przypadku starszych dzieci takich ograniczeń nie ma, a Matylda i Jeremi intensywnie testowali moją cierpliwość. Po obiedzie zapakowałam Hanę do wózka i poszłyśmy w kierunku szkoły. Akurat była przerwa, więc spokojnie poczekałam, aż opadnie pył bitewny i ujrzę gdzieś swoje dziecko. Matyśka była na placu zabaw. W skarpetkach. Białych. Choć teraz ten ich firmowy kolor był już tylko odległym wspomnieniem. Na pytanie, gdzie ma buty, odparła, że zostały na basenie. Westchnęłam głęboko, bo basen jest dwa kilometry od szkoły. Najpierw jednak musimy pójść po Jeremiego, pół kilometra w stronę przeciwną, czyli odległość wzrasta do trzech kilometrów. Trudno.

– No to wkładaj czeski, w tych kapciach pójdziemy na basen.

– Nie mogę, mam tylko jedną. Jednego.

– A gdzie drugi kapeć?

– Zgubił się.

– Jak można zgubić kaptcie?!

– Normalnie. Miałam dwa na nogach, zdjęłam sobie pod ławką i na przerwie był już tylko jeden.

Więc najpierw poszłyśmy szukać kaptcia. Znalazł się w sali gimnastycznej. Matylda uznała jednak, że nie chce brudzić czesek, więc na basen pójdzie w kłapkach. Skarpet jednak nie zdejmie, bo zakurzą jej się stopy, a kobieta nie może mieć brudnych. Zatem w wersji faszynfromraszyn – odwinięte na kostkach brudne skarpety, na to kłapki – poszłyśmy po Jeremiego. Miał dwa kaptcie i szczęśliwie nie był dziś na basenie, więc na wejściu odetchnęłam z ulgą. Za wcześniej.

– Pani Jagodo, Jeremi dziś dokazywał.

– To znaczy?...

– Poprzeklejał wszystkie naklejki z imionami na szafkach.

– Jeremku, tak było?

– Tak.

– A dlaczego, powiesz mi?

– Podejrzywałem, że to będzie śmieszne.

– I było?

– Chyba tak. Nikola się śmiała.

Kolejny kwadrans spędziliśmy na ponownym oklejaniu szafek. W tym czasie Hania się obudziła, zatem musiałam ją nakarmić. Kwadrans wystarczył, żeby Jeremi się popstrykał z Matyldą. Najpierw on ją wyśmiał, że zgubiła kapeć, potem ona w odwecie wyrzuciła jego sandał przez okno. Zgadnij, kto go wyciągał z gęstego żywopłotu?... Droga na basen upłynęła nam w miłej ciszy, bo przez blisko trzy kwadransy oboje przetrawiali moją burę. Adidasy Matyśki się znalazły, więc już w lepszych humorach szliśmy do domu. Po drodze tylko jedno starcie – o picie. Oboje zażyczyli sobie jakiegoś kolorowego badziewia w pstrokatych butelkach, ja obstawałam przy wodzie mineralnej.

– Nie lubimy mineralnej. Jest niedobra. (Jeremi)

– Dobra jest. I zdrowa. (ja)

– Niby zdrowa, a i tak wszyscy umrzemy. (Matylda)

– Ja nie umrę, prawda, mamu? (Jeremi)

– Umrzesz. Tak jest skonstruowany świat, to naturalne. (ja)

– Nie chcę. Jest mi smutno. (Jeremi)

– Mój biedny synek. Co by cię pocieszyło? (ja)

– Fruktokola. (Jeremi)

Po czterech godzinach od wyjścia z domu byłam z powrotem. Akurat na kolejne karmienie Hani, robienie podwieczorku, wieszanie prania, odkurzanie, przygotowanie kolacji, kąpanie Hani, mycie Jeremiego, karmienie Hani, czytanie bajki Jeremkowi.

Jest po dziewiątej, Jerzy jeszcze nie wrócił, a ja myślę sobie, że 500 plus jest pewną osłodą nie tylko dla rodziców Alana i Adriana. Oni się zrelaksują w niemieckich tropikach, ja przeputuję kasę w aptece. Potrzebuję czegoś na wzmocnienie, siłę, odporność, uspokojenie, lepszy sen, mniejszy apetyt i troje dzieci. Przyrostu naturalnego ten program nie zwiększy, ale może poprawi przeżywalność rodziców.

Całuję

Matka minus

Od: malina_m@malibox.pl

Do: jaga.jablon@gmail.com

Data: 30.05.2016

Temat: Dzień, zwykły dzień

Jagodo,

dziś był... nie, nie był: dziś jest taki piękny dzień!

Obudził mnie... śpiew ptaków. Nie mdłości, nie budzik do pracy, nie tramwaje. Leżałam przez pewien czas i słuchałam treli, patrząc jednocześnie w kwadrat zieleni, którą widać przez nasze okno. (Jak wiadomo, patrzenie na zielen jest korzystne).

Potem obudził się Staś. Zobaczył, że nie śpię, przeciągnął się i spojrzał na mnie tak ciepło, tak czule... że roztopiłam się pod tym spojrzeniem jak woskowa świeczka. Nic już nie musiałyby dodawać, ale on wymruczał:

– Jestem z tobą bardzo szczęśliwy. – A w oczach zapaliły mu się wesołe iskierki, które tak kocham.

Ta sielska scenka trwała tylko parę chwil – on zaraz musiał wstać do pracy, ja – obudzić Iryskę, zrobić śniadanie, zawieźć ją do przedszkola... Ale to wystarczyło, by u samego zarania dnia zaczerpnąć solidnej porcji dobrej energii. Ach!... Kochanie i bycie kochanym, odnalezienie w czyichś oczach akceptacji i czułości, których tak łakniemy – to wszystko jest jak szklanka świeżo wyciśniętego soku

z pomarańczy albo haust krystalicznego powietrza. Cudownie, wspaniale energetyzuje.

Staś rano nic nie je – umył się tylko, ubrał, nakarmił koty, pogłaskał mnie po brzuchu i pojechał. My dwie zaś zafundowałyśmy sobie omlet z dżemem, kawę Inkę, a potem serię dziewczyńskich rytuałów – wybór stroju, czesanie, pogaduszki. O ileż więcej znajduje się w takich chwilach przyjemności, kiedy nie trzeba wciąż zerkać na zegarek i ponaglać...

– Ciekawe, co teraz robią Alanek i Adrianek – rzuciła Irenka w samochodzie.

– O tym samym myślę! – powiedziałam i tak faktycznie było. Chłopcy zniknęli z naszego życia równie nagle, jak się pojawili. A ja – dziwna rzecz – myślałam o nich teraz więcej, niż gdy tu mieszkali. Czemu służą takie życiowe lekcje – zderzenia obyczajów o mocy niemal Wielkiego Zderzacza Hadronów? I komu miały posłużyć – mnie, im, nam wszystkim?... A może to głupie doszukiwać się we wszystkim życiowych lekcji? Może rację ma stoicki Staszek, który przyjmuje rzeczy takie, jakie są, bez roztrząsania, za to ze spokojem i pełen pozytywnego nastawienia? Czy mogłabym się zmienić w takiego Staszka?

W drodze powrotnej z przedszkola zajrzałam na rynecek. Stragany z kolorowymi warzywami działają na mnie jak magnesy. Najsilniej jesienią, ale wiosna i lato też mają mocne atuty: najpierw nowalijki – sama nazwa już jaka ładna, czuła – jak konwalijki, prawda? Wszystkie te warzywa w wersjach junior: botwinka, karotka, świeży szpinak, szczaw, bób, a potem groszek czy fasolka. Sezon na pachnące z daleka truskawki, płynnie przechodzący w sezon na czereśnie. Pierwsze, małe i kwaśne, a jednak tak cieszące, jabłka.

Krótko mówiąc, obłowiłam się w parę kilogramów sezonowych pyszności.

Potem poszłam na godzinny spacer z psem.

Błądziłam po leśnych ścieżkach i myślałam także pozwoliłam błądzić.

Na przykład zastanawiałaś się czasem, co mogłabyś robić, gdybyś nie była dziennikarką? Ja mam sekretną alternatywę, której – idę o zakład, każde pieniądze! – nigdy byś nie zgadła.

Chciałabym mieć wielką szklarnię i hodować w niej kwiaty i pomidory.

Gdy byłam mała, chodziliśmy czasem z rodzicami i Joanną do wujka, brata taty, na działkę. To był niewielki miejski ogródek, z pewnie niewielką szklarnią, lecz gdy się ma kilka lat, nawet małe rzeczy wydają się ogromne.

Ta szklarnia to był odrębny klimat, świat, cały kosmos... Dwie ścieżki wiodące wzdłuż szklanego budynku nawet dla mnie były wąskie, pozarastane, trzeba było iść nimi ostrożnie, by nie strącić żadnego owocu ani nie złamać pędu. Pomidory pięły się, wiły i pęczniały na znacznie wyższych ode mnie tyczkach. Popodwiązywane nabrzmiałe kule sprawiały wrażenie, jakby zaraz miały się urwać z więzów, gotowe do ucieczki dzięki swemu słusznemu ciężarowi i witalności napiętej skórki.

Było tam duszno, wilgotno i niepokojąco, bo oddychało się z trudem, jakby powietrza miało zaraz zabraknąć. Do tego pachniało tak, że przesywały mnie dreszcze. Znikałam tam, nabożnie przejęta, kiedy tylko mogłam, i przeżywałam trudne do wytłumaczenia dziecięce misterium. Przypuszczam, że nawet to, że wybieram ciężkie, słodkie perfumy ma jakiś tajemny związek z tamtą fascynacją.

Tak... Zatem szklarnia. A w niej kwiaty, dla kolorów i fasonów, i pomidory – dla szaleństwa i zapachu.

A Ty? Co zawodowo chciałabyś robić, jeśli nie to, co robisz?

Po powrocie z lasu zabrałam się za kolejną lubianą czynność: moją kuchenną alchemię. Zakupione rano warzywa przerobiłam na zupę (botwinka, ziemniaczki, koperek) i tartę (szpinak, beszamel).

A potem przeczytałam Twój mejl. Oraz poprzedni. A także moje. Aż dotarłam jeszcze raz do tych o naszym dzieciństwie i zamyśliłam się głęboko.

Niby zwyczajne to było dzieciństwo. Wychowałyśmy się w pełnych, niepatologicznych rodzinach. Byłyśmy zdrowe i kochane. A jednak od zarania jakieś nazbyt poważne. Karne, ułożone stare malutkie – jakbyśmy już wtedy wiedziały, co mówił młodzieży Jan Paweł II – o tym, by od siebie wymagać, nawet

jeśli inni od nas nie wymagają.

Te jego słowa – gdy je poznałam nieco później – robiły na mnie kolosalne wrażenie. Co więcej, myślę, że one nas obie dobrze definiują. Nieświadomie idąc za radą papieża, wymagałyśmy i wymagamy od siebie... delikatnie mówiąc, dużo. Takie byłyśmy jako dzieci i takie jesteśmy jako dorosłe. Co gorsza, te wymagania stawiamy też innym. Dzieci mają być porządne i koniecznie czyste, siostry powinny nas bardzo kochać, mężowie na wskroś moralni, pracodawcy – uczciwi i rozumiejący...

Na ogół to dobrze, ale czy nie myślisz czasem, że powinnyśmy sobie i innym trochę odpuścić? Machnąć ręką, nie strofować, na chwilę spuścić z (dobrego) tonu, jak spuszcza się psa ze smyczy?...

Tylko jak???

Tym razem, Moja Miła, zamiast spa przydałby nam się jakiś weekendowy kurs luzu. Masz jakiś pomysł?

Całuję Cię
Sztynniara

Od: jaga.jablon@gmail.com

Do: malina_m@malibox.pl

Data: 1.06.2016

Temat: Dzień Dziecka

Sztynniaro,

nie jest za mną tak źle, bo za chwilę napiszę coś, za co każdy terapeuta dałby mi medal. Albo przynajmniej cukierka. Jak wiesz, bardzo lubię mieć rację, ponieważ brak racji oznaczałoby, że czegoś nie wiem/nie dopatrzyłam, że nad czymś nie panuję. A ja lubię ogarniać wszystko. Zawsze lubiałam, to znaczy, zawsze czułam, że muszę. No bo jak nie ja, to kto? Jagoda to zbawca ludzkości – lokalnie i globalnie. I teraz uważaj, bo nadeszła wiekopomna chwila: przyznaję Ci rację. Jesteś sztywniara. I masz przyjaciółkę sztywniarę. Odnotuj dzisiejszą datę w kalendarzu i oddziel grubą krechą.

Ufff!!!

Żeby być uczciwą tak do końca, to przyznam Ci się, że te topniejące chęci/przymus, by wszystko mieć pod kontrolą, nie wynikają tylko z uświadomienia sobie, że coś w życiu robię nie tak. To jeden element. Drugi jest taki, że najzwyczajniej brak mi czasu i sił, by niepodzielnie panować w tym moim mikroświecie. Za dużo wszystkiego dokoła: dzieci, pracy, obowiązków, problemów, emocji, spraw. Są dwa rozwiązania: odpuścić albo zwariować. Wybieram wariant numer jeden. I wiesz co? Już zaczynam odczuwać zbawienny wpływ tej zmiany. Schodzi ze mnie napięcie (cholerne bóle głowy, których początek bierze się w twardych jak skała ramionach i równie betonowej szyi), próbuję żyć trochę wolniej, ciesząc się chwilą, która jest właśnie teraz. Nie wybiegam myślami do przodu, żeby kiedyś tam doczekać efektów tego, nad czym pracuję w danym momencie. Jeśli piekę grządkę z ostróżkami, to nie po to, żeby przez tydzień mieć z głowy ten cholerny obowiązek, który muszę jak najszybciej odbębnić, bo lista spraw do załatwienia długa. Nie, nie, nie. Tak było kiedyś. Teraz rozkładam sobie matę na trawie, zakładam rękawice i niespiesznie, małą motyką wzruszam ziemię. Przesypuję w palcach jej grudy, czuję mokro-korzenny zapach. Wyciągam nieproszonych zielonych gości, delikatnie uklepuję ziemiste podłoże. Idę wyrzucić chwasty do kompostownika, przy okazji dosypując bakterii i zalewając całość wodą, by w dolnej części przyzmy pojawił się czarnoziem, który przywróci te wszystkie niechciane odpadki do odwiecznego cyklu życia. I nawet grzebiąc w ogrodowym śmietniku, zwracam uwagę na soczystość zieleni rosnącej obok brzozy, na biedronkę przycupniętą na gałęzi jeżyn, na piękno różano-waniliowych kwiatów wiciokrzewu. To wszystko, co kiedyś było niedostrzeganym i niedocenianym tłem, teraz tworzy jakość każdej przeżywaną chwili.

Wcale się nie dziwię, że poczułaś zew natury i zapragnęłaś hodować kwiaty w szklarni. Skąd

wcześniej miałybyś wiedzieć, że takie zajęcie Cię pociąga, skoro żyłaś w ograniczonym kieraciku: mieszkanie (blok w bezdusznym otoczeniu innych bloków) – praca (biurko, komputer, tabelki, terminy, reguły) – przedszkole (byle się nie spóźnić!). W takiej rutynie gubi się wszystko: zapał, inwencję, pomysły, a przede wszystkim myśl, że można inaczej. Wystarczy drobiazg, który Cię wyrzuci ze znanej orbity i nagle widzisz świat inaczej.

A tak w ogóle, to wiesz co? Ten pomysł ze szklarnią nie jest zły! No, może nie od razu szklarnia, bo to wyzwanie finansowe, ale co byś powiedziała na... sklep ogrodniczy? Za naszym leśnym parkiem jest działka do wydzierżawienia – od miasta. Całkiem spora, ze dwa tysiące metrów. Ogrodzona, z tyłu ładny szpaler choin. Poza tym pusta, tylko utwardzona żwirem. No i świetnie położona, tuż obok głównej drogi. I tania! Gdzie haczyk, czujnie zapytasz? Ano nic nie można na niej zbudować, bo obok i pod spodem stacja uzdatniania wody. I działalność ma być nieuciążliwa dla mieszkańców. A czy bratki, pelargonie, róże, jabłunki i tuje są uciążliwe? Nie są. A czy w okolicy jest sklep ogrodniczy? Nie ma – tylko wielkie centrum hipermarketowe, pięć kilometrów od nas, przy wylotówce. A czy zapotrzebowanie na zieleń jest? No ba! Same domki, a niedaleko także działki rekreacyjne warszawiaków. Malino! – doznałam olśnienia – to jest pomysł na nasze życie zawodowe i wspólne! W pracy nie masz już czego szukać, gdy wrócisz po macierzyńskim – Jowita powita Cię papierami z wypowiedzeniem. Ja również nie mam serca do tego zajęcia, bo korpoklimaty i korpopoludzie mi obrzydli. Ogrodnictwo praktykuję od kilkunastu lat, chętnie się douczę. Ty za pewno też. Kasa – cóż... Ale pamiętasz to mądre zdanie: „Ja nie mam nic, ty nie masz nic, to razem mamy właśnie tyle, by zbudować wspaniały sklep ogrodniczy”. Tak to mniej więcej szło. Ziemia obiecana na horyzoncie!

Całuję,

J.

PS

Kurs luzu, mówisz? Tu też mam propozycję – jestem dziś wulkanem pomysłów! Jedziemy nad Świder. W sobotę, po śniadaniu. Poproś Staszka, by zajął się Irysem, ja odciągnę solidną porcję mleka i wyślę Jerzego z Hanią do dziadka. Koc, ręczniki, torba plażowa, a w niej woda, winogrona, truskawki, chleb ryżowy, krem do opalania, okulary przeciwsłoneczne. Kostiumy, dorzucisz w myślach, sądząc, że mój luźniejszy stosunek do życia zaowocował pominięciem ważnego punktu z listy. Otóż nie! Tuż przed Karczewem jest uroczą łąka wiślanego piachu, gdzie wstęp mają tylko beztekstylni. Tak, tak, Malinko, jak szaleć, to na całego!

„MANIFEST CZERWCOWY”

Spisany dnia 1.06.2016 r. gdzieś nad rzeką Świder w okolicach Karczewa, w obopólnym Negliżu Górnym i Dolnym.

My, niżej podpisane, Magdalena Świerczyna i Jagoda Flizowska, uroczyście zobowiązujemy się do tego, że:

1. Będziemy żyć uczciwie, w prawdzie i w spokoju ducha, ale bez kategorycznych zasad. Reguły odtąd będziemy ustalać same ze sobą na bieżąco, wedle swoich sumień, serc i rozumów, ale bez zapiekłej nadgorliwości.
2. Będziemy dla naszych bliskich DOBRE, co znaczy: wyrozumiałe, cierpliwe, niegderliwe, przyjmujące z pokorą, że inne nie znaczy gorsze, a nasze nie znaczy: jedyne słuszne.
3. Dla innych ludzi też takie będziemy, choć nie damy sobie wejść na głowę.
4. Każda z nas będzie też dobra dla samej siebie! Koniec ze stawianiem sobie wymagań nie z tej ziemi i ciągłym dążeniem do doskonałości.
(Nie musimy też koniecznie nosić rozmiaru 36).
5. Na różne sposoby będziemy kultywować naszą przyjaźń, co będzie polegało w szczególności na częstych spotkaniach, przynajmniej raz w roku jednym wspólnym wyjeździe do spa i jednym wypadzie w nieznane.
6. Raz na zawsze zrywamy z „ja bym nigdy”. Wyrzucamy z naszej mowy i myśli wszelkie zarzekania się i ograniczające nas sformułowania typu „ja się do tego nie nadaję”.
7. Zamiast tego pozwalamy naszym myślom swobodnie meandrować wokół nawet najbardziej zwariowanych marzeń, w tym także pomysłu wspólnego biznesu w postaci sklepu ogrodniczego (w dalszej przyszłości może też szklarni).
8. Kończymy z ocenianiem, wartościowaniem i dyskretną nutką wyższości. Każdy ma prawo żyć po swojemu.
9. Jesteśmy zdrowe, piękne, mądre i kochane. I to jest nieskończenie wspaniałe.
10. WSZYSTKO JEST MOŻLIWE!!!

Jagoda i Malina

Table of Contents

[Strona tytułowa](#)
[Szczęściary](#)
[Strona redakcyjna](#)